Kalendarz ścienny
GRATIS!

LESZEK CZARNECKI
ROMAN GIERTYCH
ADAM HOFMAN
KULISY SKANDALU

ZAKIWANA KONFEDERACJA

KTO NAM KIBICUJE W WALCE Z MECHANIZMEM (NIE)PRAWORZĄDNOŚCI

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE
Nr 48 (417) 2020
23–29 listopada 2020
CENA: 6,90 zł
(w tym 8% VAT)

ZNÓW CHCĄ ZABIĆ NASZEGO PAPIEŻA

UJAWNIAMY SZOKUJĄCĄ MANIPULACJĘ

WATYKAŃSKI RAPORT

W SPRAWIE BYŁEGO KARDYNAŁA THEODORE'A MCCARRICKA JEST NAJLEPSZYM DOWODEM NA NIEWINNOŚĆ JANA PAWŁA II

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694

eprasa.pl 65676c2001

30 listopada w tygodniku **SIECI**

dodatek patriotyczny

Sławni Polacy, którzy zmienili świat

- **JAN SZCZEPANIK** – zwany „polskim Edisonem”, wymyślił kamizelkę kuloodporną, pracował nad fotografią barwną, filmem dźwiękowym i telewizją
- **HENRYK MAGNUSKI** – wynalazca walkie-talkie, które służyło aliantom podczas II wojny światowej
- **MIECZYSŁAW BEKKER** – zasłynął pracami nad mechaniką czołgów, opracował też pojazd księżycowy

fot. Muzeum Politechniki Warszawskiej

PARTNER DODATKU

LOTOS

eprasa.pl 556766200f

Podpis byłby początkiem końca

Zastosowanie weta jest prawem każdego państwa członkowskiego. Nie oznacza chęci wyjścia z Unii Europejskiej, nie jest zbrodnią, atakiem, zamachem. Jest naszym PRAWEM – w sytuacji gdy mamy poczucie, że zagrożone są albo podstawowe interesy, albo coś jeszcze ważniejszego: bezpieczeństwo, suwerenność, sprawiedliwość. Tak jest w tym wypadku.

Jednocześnie weto nie jest sprawą błahą. Zwłaszcza w sprawie budżetu, w sytuacji pandemii. Będzie miało swoje konsekwencje, to nie będzie przyjemność. Prowizorium, z którego będziemy korzystali w razie przeciągającego się braku porozumienia, może się okazać rozwiązaniem bardzo kulawym, także dla naszego kraju. Czeka nas kosztowne politycznie straszenie „porozumieniem międzyrządowym", które miałoby zastąpić fundusz na walkę z kryzysem (do czego nie dojdzie, bo to niemal niewykonalne i w sumie bezsensowne). Ale to wszystko nie zmienia sprawy zasadniczej: Polska i Węgry nie miały innego wyjścia, niż sięgnąć po to narzędzie. Nie mogły się zgodzić na założenie obu krajom – i wszystkim innym członkom Unii jednocześnie – samozaciskającej się pętli. Nie mogły zaakceptować czegoś, co jest faktycznie mechanizmem politycznego zniewolenia.

Rząd próbował szukać porozumienia, przyjął za dobrą monetę obietnice z lipcowego szczytu, liczył na rozsądek, apelował o zrozumienie naszych racji, ale wszystko na próżno. Pycha Berlina i Brukseli okazała się tak wielka, że podjęto próbę złamania Polaków i Węgrów – dwóch narodów, które mają za sobą długą historię walki z potężnymi przeciwnikami i które czasem przegrywały, ale prawie zawsze walczyły.

W sumie kiedyś do tego musiało dojść. Bo historycy spojrzą na ten moment zapewne w ten sposób: dwie szczególne „prowincje", związane z imperium umowami o ścisłej współpracy, musiały w końcu wyznaczyć czytelną granicę agresywnemu Centrum, którego apetyty zdają się nie mieć końca. Bo Centrum wyraźnie idzie drogą Aten budujących Związek Morski formalnie oparty na idei współpracy i solidarności, ale w rzeczywistości w coraz większym stopniu dążących do pełnego podporządkowania, a nawet zniewolenia poszczególnych polis. Owszem, wiele państw-miast złamano, ale jednocześnie Związek okazał się zmarnowaną szansą cywilizacji greckiej. To była fałszywa droga.

Dziś Unia Europejska działa podobnie: oszukuje, kłamie, zwodzi, stosuje przemoc. Ale nawet w takich warunkach – stanowiących obecnie kontynentalną rzeczywistość – polski rząd musi dokonywać optymalnych wyborów. Tak, musi być również elastyczny, musi ustępować tam, gdzie może, musi prowadzić politykę realną, a nie postulatywną. I to czyni. Nie może jednak spętać sobie rąk raz na zawsze, nie może się zgodzić na redukcję do poziomu skrępowanej prowincji. Nie może tego zrobić zwłaszcza rząd odwołujący się do tradycji niepodległościowej. Mówiąc wprost, nawet możliwość dalszego trwania nie jest tu ceną, którą warto zapłacić.

Rząd musi zachować spokój. Musi jasno mówić, że chce porozumienia, że jest gotów do rozmów. Ale musi też psychicznie i politycznie wytrzymać ten definiujący moment. Bo nie jest tak, że nie mamy kart. Mamy, wśród nich karty najważniejsze: prawną, historyczną i moralną rację.

Oczywiście, jeśli Niemcy chcą zniszczyć swoje faktyczne imperium ekonomiczne, nie możemy im tego zabronić. Przestrzegać jednak warto. Na jakiej zasadzie sądzą dziś, że uda im się na długo spacyfikować Polskę w sumie tak prostymi, by nie rzec prostackimi, metodami? Znów pycha, pycha, pycha.

Powtarzam: nie było innego wyjścia. Rząd, który by się na to zgodził, zafundowałby Polsce piekło na dekady. Nawet jeśli opór przeciwko temu nowemu zniewoleniu przygasłby na jakiś czas, to później znów by ożywał. To byłby sztandar, po który sięgano by przy każdej kryzysowej sytuacji. To byłoby nieustanne źródło napięć. Długofalowo podpis byłby więc zapowiedzią końca polskiego członkostwa w Unii. Byłby to podpis samobójczy. Coś w rodzaju „nowego Monachium". Coś, co za rok czy dwa, a może szybciej, i tak przyniosłoby Polsce klęskę, a Europie potężne wstrząsy.

Takiego kagańca Polacy po prostu nie zniosą, nawet jeśli dziś wielu sądzi, że da się go zapiąć odpowiednio ciasno.

Jacek Karnowski

Autopromocja

SIECI spis treści

31 *Awantura o dotacje*
Konrad Kołodziejski

46 Merytokracja, arystokracja, oligarchia
Bronisław Wildstein

59 Święte brzemię Korony
Klara Pawlicka

NA POCZĄTEK

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **PAUL EKSIT**
Krzysztof Feusette

9 **NIEPRAWORZĄDNA PRAWORZĄDNOŚĆ**
Dorota Łosiewicz

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **OD CARYCY DO KANCLERZYCY**
Jan Pietrzak

13 **ILE EURO KOSZTUJE NIEPODLEGŁOŚĆ?**
Bronisław Wildstein

14 **WALIZKA MARCINA KWAŚNEGO**
Michał Korsun

15 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort

16 **FELIETONY**
Tomasz Łysiak, Piotr Cywiński

17 **CZAS PORTOWYCH INWESTYCJI**
Marta Kaczyńska-Zielińska

TEMAT TYGODNIA

22 **ZNISZCZYĆ AUTORYTET JANA PAWŁA II**
Grzegorz Górny

KRAJ

24 **Z PROF. MIECZYSŁAWEM RYBĄ**
rozmawia Michał Karnowski

28 **GRACZE**
Marek Pyza, Marcin Wikło

31 **AWANTURA O DOTACJE**
Konrad Kołodziejski

34 **ZAWIKŁANA KONFEDERACJA**
Stanisław Janecki

36 **JAK UPIEC PIECZEŃ PRZY STRAJKU KOBIET**
Jakub Augustyn Maciejewski

38 **Z ADAMEM SKOWRONEM**
rozmawia Aleksandra Jakubowska

42 **ANTYTERRORYSTA Z WYBORU**
rozmowa Doroty Łosiewicz

OPINIE

46 **MERYTOKRACJA, ARYSTOKRACJA, OLIGARCHIA**
Bronisław Wildstein

ŚWIAT

52 **„TO BĘDZIE KONIEC UNII"**
Goran Andrijanić

56 **GÓRSKI KARABACH: LEKCJA REALNEJ POLITYKI**
Jan Rokita

SIECI KULTURY

59 **ŚWIĘTE BRZEMIĘ KORONY**
Klara Pawlicka

62 **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba

64 **PEŁNA KSIĘGOWOŚĆ W NGO!**
Robert Tekieli

65 **WOJNA CYWILIZACJI**
Robert Tekieli

66 **CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski

GOSPODARKA

68 **Z ANDRZEJEM SKUBISZEWSKIM**
rozmawia Grażyna Raszkowska

KUCHNIA

72 **MOJE SMAKI: IWONA BLECHARCZYK**
Jolanta Gajda-Zadworna

73 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

74 **POWTÓRKI Z ROZRYWKI**
Hanna Karp

76 **„NOTORYCZNY OSZUST" I MODYFIKACJA GENETYCZNA**
Maciej Pawlicki

78 **TRUDNO POJĄĆ**
Alina Czerniakowska

79 **KRYZYSOWE ZARZĄDZANIE KULTURĄ**
Lech Makowiecki

79 **Z ŻYCIA KOŚCIOŁA**
Agnieszka Ponikiewska

80 **POWRÓT DO BARBARZYŃSTWA**
Jan Pospieszalski

81 **W ZŁOTYCH STRZĘPACH LIŚCI...**
Leszek Długosz

82 **JEDNA Z GŁUPSZYCH MYŚLI**
Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Reklama | 39/0820/F

eprasa.pl 65676c200f

PŁYN DO DEZYNFEKCJI RĄK

zawiera aż **80%** alkoholu

TRISEPT MAX

Bezpieczeństwo każdego dnia

– w miejscu publicznym, pracy i domu.

Skutecznie likwiduje wirusy, bakterie i grzyby.

Produktów biobójczych należy używać z zachowaniem środków ostrożności. Przed każdym użyciem należy przeczytać etykietęi informacje dotyczące produktu.

Trisept MAX, płyn. Produkt służący do higienicznej i chirurgicznej dezynfekcji rąk o działaniu wirusobójczym, bakteriobójczym, grzybobójczym. Produkt do powszechnego stosowania oraz do zastosowania w obszarze medycznym. Skład: Etanol 73%, Propan -2 ol, 10%, gliceryna 10%, woda oczyszczona. Producent: Tarchomińskie Zakłady Farmaceutyczne „Polfa" S.A. 03-176 Warszawa, ul. A. Fleminga 2. Nr pozwolenia na obrót produktem biobójczym: 8152/20. Wysoce łatwopalna ciecz i pary. Działa drażniąco na oczy.

TRI/514/19/08/2020

TZF

eprasa.pl 65676c200f

Sygnalista nadaje

Więcej niż krytyczny wobec rządu publicysta Waldemar Kuczyński nie kryje przerażenia tym, co sobą prezentują feministki i aborcjonistki. „Nie daj Bóg, by feministyczna i proaborcyjna lewica zdobyła władzę, bo urządzą totalitaryzm, wobec którego ten »komuny dni ostatnich« będzie rajem. Niech da pełne prawa reprodukcyjne kobietom, inna niż ich władza". Celne, ale być może jest już za późno. Flirt z diabłem zawsze kończy się zwycięstwem diabła.

Na te uwagi zareagowała Anna Adamczyk, „feministka, ekspertka od danych, koniara, doktorka nauk o Ziemi", promująca się hasłem „legalna aborcja teraz". Do publicysty skierowała takie oto przesłanie: „Hej, Panie Waldemarze, to »Wyp...ać!« z plakatu, który masz w tle, jest do Ciebie. Bo nie lubimy, jak jakiś dziad sk...n szczuje na nasze koleżanki, albo je obraża, bo nie podoba mu się w radiu ich głos. Wyp...laj, skarbie. W podskokach". Przesłanie było bez kropek oczywiście.

Waldemar Kuczyński rzeczywiście miał na swoim profilu plakat z napisem „Wyp...ać!". Już nie ma. Teraz ma sympatycznego motylka na niebieskim kwiatuszku. I choć Danton twierdził, że „rewolucja, jak Saturn, pożera własne dzieci", to wygląda na to, że w naszym przypadku w pierwszej kolejności pożera własnych ojców i dziadków.

Żeglując po opozycyjnym morzu, od wulgaryzmów uciec nie sposób. Oto wypowiedź pisarki Marii Nurowskiej: „Właśnie wysłuchałam wyznania człowieka chorego na covid, który żyje tylko dlatego, że zwolniło się łóżko po umarłej, a druga umarła odstąpiła mu respirator. (...) Teraz będę klęła, bo nie da się inaczej. Ku...wa mać! To ten pi...lony Duda odmawia pomocy ze strony Niemiec i ofiaruje się z NASZĄ pomocą! Ilu Polaków umarło sk...synu, dlatego że nie przyjąłeś tej pomocy". To jednak są zwykłe chamy. Żulia.

À propos niemieckiej pomocy. W odpowiedzi na niemiecką propozycję pomocy w walce z COVID-19 posłanka Joanna Lichocka stwierdziła: „Niech landy niemieckie oddelegują polskich lekarzy pracujących w niemieckiej służbie zdrowia do Polski na czas pandemii". Propozycja sensowna, ale w oczach niemieckich mediów w Niemczech i niemieckich mediów w Polsce niemal zbrodnicza. „Skandal w stosunkach polsko-niemieckich!" – ocenił „Bild", a „Fakt" z tym się zgodził. To jakiś nowy etap, w którym Niemcy są wyjęte spod jakiejkolwiek krytyki?

Przypomnijmy, że niemiecką pomoc w walce z epidemią zaproponował Polsce prezydent RFN w liście skierowanym do prezydenta Dudy. „Daj mi proszę znać, czy w obecnej sytuacji możemy coś zrobić dla Polski" – pisał Frank-Walter Steinmeier. Prezydent RP podziękował za gest solidarności, ale o pomoc nie poprosił, za to dodał: „Pamiętaj proszę, że również Niemcy mogą liczyć na Polskę". Słusznie, w kontekście naszych relacji i wyjątkowo fałszywej polityki Berlina wobec Warszawy każdy podarunek byłby zatruty.

Małgorzata Trzaskowska, żona prezydenta stolicy, została zapytana o efekty protestów tzw. Strajku Kobiet. „Myślę, że dadzą bardzo dużo. To zderzenie dwóch wizji świata i Polski. Tej nowoczesnej, pozytywnej i otwartej na wartości humanistyczne, i tej zamkniętej, wręcz fundamentalistycznej, za którą podążają naprawdę nieliczni" – oceniła. Tak, ciepłe, serdeczne, mądre twarze w typie pani Lempart to rzeczywiście humanizm prosto z Florencji. Podobnie jak hasła z protestów. Nie oszukujmy się – to barbaria, regres, zapaść, upadek.

eprasa.pl 65676c200f

Prezydent Wrocławia oczywiście ma inne zdanie. „Rozmawiałem z konsulem generalnym Niemiec we Wrocławiu. My na pomoc liczymy. Mam na myśli zarówno nasze miasta partnerskie w Niemczech, jak i landy, z którymi współpracuje samorząd województwa dolnośląskiego" – powiedział Jacek Sutryk, dodając: „Za część tych zadań odpowiadają struktury państwa polskiego. Samorząd polski, jakkolwiek zainteresowany rozwiązaniem tych spraw, nie może wychodzić przed szereg". To po co wychodzi? A ustrój Polski rzeczywiście wymaga korekty, w stronę unitaryzmu oczywiście.

Wicepremier i minister kultury ***Piotr Gliński*** wywalczył pół miliarda złotych na pomoc artystom. Wśród beneficjentów funduszu znalazło się wiele teatrów, filharmonii, ośrodków kultury czy agencji eventowych. Pieniądze miały trafić również do firm założonych przez znanych aktorów czy piosenkarzy, m.in. disco-polo. Wybuchła burza. Taka z piorunami. Bo jak to ujął sam premier Gliński: „Znane nazwiska plus pieniądze to wizerunkowe seppuku". Zwłaszcza na tle pandemii.

Pieniądze przyznano na podstawie ślepego algorytmu, ale problem jest głębszy. Bo tak szczerze, to czy zasilanie grubymi pieniędzmi tego, co nazywamy „życiem kulturalnym", jest rzeczywiście sensowne? Czy wyborcy prawicy powinni się cieszyć z tego, że państwo polskie troszczy się o poziom życia celebrytów, którzy w ogromnej większości obecnego rządu nienawidzą i dają temu wyraz? Może powinni, jednak się nie cieszą. Ale to prawda, dużo zniosą.

Pieniądze na swój teatr dostała także ***Krystyna Janda***. „Wnioskowaliśmy o 5,8 mln zł, tyle dokładnie wynoszą nasze straty, które zostały udokumentowane we wniosku, a otrzymaliśmy 1,8 mln zł wsparcia. Jestem więc trochę rozgoryczona, że naszym dwóm teatrom przyznano zaledwie 30 proc. kwoty, jakiej potrzebowaliśmy. Choć z drugiej strony cieszę się, że dostaliśmy chociaż tyle, bo myślałam, że pan minister nas skreśli". Dlaczego miałby skreślić? Za zdania typu: „Czuję się, jakby ktoś na mnie sr...ł cały czas"? Bez przesady.

Głos zabrał także Kazik Staszewski: „Nie nam oceniać, kto z nich [celebrytów] jest w tak tragicznej sytuacji, by rząd o taką zapomogę prosić. Jeśli nie widzą w tym jakiejkolwiek niestosowności, to niech biorą, jak dają. My nie prosiliśmy, chociaż sytuacja w Kulcie daleka jest od choćby różowej.

Niektórzy koledzy już zarabiają w inny sposób, dzieląc swój czas na pracę i próby. Właściwie wróciliśmy do czasów, gdy zaczynaliśmy. Jednak od tych... (z trudnością powstrzymujemy się od użycia wulgaryzmu) nic nie chcemy". Tak, w sferze refleksji jest wyraźny regres.

I jeszcze raz Kazik Staszewski: „Rząd nie może ci dać żadnych pieniędzy, bo ich nie ma. Jeśli jednak komuś daje, to znaczy, że przedtem komuś zabrał. Zabrał setkom tysięcy uczciwie pracujących ludzi, którym teraz na dodatek zamyka interesy. Nie chcemy tych ukradzionych wam pieniędzy". Teoretycznie słuszne, ale akurat ten rząd zabrał mafiom VAT-owskim i paliwowym, po czym oddał ludziom. W takich sprawach warto być precyzyjnym.

Z unijnego dyktatu w sprawie tzw. praworządności – w rzeczywistości mechanizmu zniewolenia politycznego – ucieszył się dawno niesłyszany Stefan Niesiołowski. „Nareszcie Unia podjęła decyzję, czekaliśmy na nią 5 lat. Jest to decyzja dobra dla Polski, a zła dla pisowskiego reżimu ponurej dyktatury" – stwierdził, dodając: „Albo demokracja i szacunek dla wartości unijnych, albo pieniądze. Unia to nie bankomat. Dziękuję z całego serca – nareszcie". Tyle im zostało: liczyć na klęskę Rzeczypospolitej z obcej ręki. Moralnie to więcej niż bankructwo.

W sprawie boju o suwerenność ***Donald Tusk*** ma do powiedzenia tyle: „Pytanie dnia. Kto kogo prędzej odspawa: PiS nas od Europy czy my PiS od władzy?". Co ciekawe, jeszcze dwa lata temu mówił o tej sprawie tak: „Nie tylko ze względu na to, że nie chciałbym, żeby Polska była karana, ale że generalnie dla Europy nie byłoby dobrze, gdyby mieszać te dwa porządki. (...) Pieniądze, które w budżecie przeznaczamy na różne kwestie, nie powinny podlegać kryteriom czysto politycznym". Co się zmieniło? Zamówienie?

Bardzo sensownie widzi sprawę Jerzy Buzek: „To weto rządu to weto dla naszych przedsiębiorców i samorządowców; dla młodych i seniorów; edukacji, nauki i kultury; to igranie ze zdrowiem i życiem w pandemii, weto dla pokoleń walczących o suwerenną Polskę i przyszłości Polek i Polaków; weto dla rozsądku i polskiej racji stanu". Pełna zgoda. Bez weta Unia zabierałaby pieniądze bez żadnych podstaw, na zasadzie zwykłego widzimisię. To groźne dla nas wszystkich. Dziękujemy za wsparcie, panie premierze. Pan rzeczywiście zawsze z Polską.

Fot. Andrzej Skwarczyński x2, Julita Szewczyk

eprasa.pl 65676c200f

Paul Eksit

My, tzn. ja i reszta naszego Stowarzyszenia im. Mędrców Brukseli, zjednoczeni w pragnieniu zagłodzenia pisowskich struktur do siódmego pokolenia, oddani walce ulicznej i zagranicznej, wierni Jego Ekscelencji nawet bez białego konia, zwracamy się do Waszej Jego Ekscelencji, Słońca Peru, przewodniczącego Europejskiej Gwardii Ludowej, naszej przedostatniej nadziei (bo myśmy na Borysie Borysławowiczu jeszcze krzyżyka nie postawili) – w imieniu swoim oraz koleżanek i kolegów, którym leży na sercu przyszłość Europy europejskiej. Radosnej, optymistycznej i kolorowej. Demokratycznej, liberalnej i lewicowej.

Zwracamy się do Jego Waszego Waszej Ekscelencji z pytaniem tyleż ważnym, co krępującym, gdyż nie chcielibyśmy być przez Was odbierani jako oszołomy czy ktoś na intelektualnym poziomie pisiora, mohera lub innego plebsu. Pytanie to konsultowaliśmy z licznymi przedstawicielami ulicznej opozycji i nie da się ukryć, że wyszło to słabo. Nikt, absolutnie nikt, nie wiedział, kim jest, czym się zajmuje i czemu zrówna nas z ziemią ta potworna kreatura, o której Jego Ekscelencja wielokrotnie wspominał w swych wystąpieniach. A jak mamy prowadzić skuteczną walkę uliczną, jak możemy na powielaczach drukować nocami wywiady Jego Ekscelencji dla mediów Jego Ekscelencji, jeśli tak naprawdę nie wiemy, kto jest naszym przeciwnikiem? Kaczyński – wiadomo. Ale kim jest ten nowy? Co to za jeden ten cały Paul Eksit, który czai się za rogiem, nawet wtedy gdy wszystkie domy w okolicy są okrągłe? I dlaczego PiS ma przy jego pomocy, jak się Ekscelencja wyraził w jednym ze swych historycznych tweetów, „odspawać nas od Unii Europejskiej", jeśli my wcześniej nie zdążymy „odspawać PiS od władzy"? Czy ten człowiek jest spawaczem? Jak generał Jaruzelski? No i jak odspawać PiS od władzy, skoro najbliższe spawanie urn wyborczych odbędzie się dopiero za trzy lata? Co możemy zrobić konkretnie tu i teraz? Czy malowanie po biurach poselskich, nachodzenie domów Przyłębskich, Kaczyńskiego, Pawłowicz czy Bąkiewicza na pewno wystarczy? Czy jeśli jeden z opozycyjnych radnych rzucił hasło, że bardziej przydałyby się nam koktajle Mołotowa, to brać go dosłownie czy jednak w przenośni? Co Jego Ekscelencja sądzi o tym, że twarzą ostatnich protestów stała się lesbijka, która wszystkim każe „wyp...alać", a mózgiem całej operacji – pisarka, która rzucała jajami w kolumnę rządową, choć, jak mówiła, przyjdzie czas także na kamienie? Jak widać, bezbłędnie Jego Ekscelencja diagnozował przed laty, iż Polacy to jest nienormalny naród.

KRZYSZTOF FEUSETTE

A teraz jeszcze ten Paul... Covid przeminie, PiS przeminie, nawet rządy pana Szłapki w Nowoczesnej, ale tego wstydu, tej hańby, tego ponurego czasu, gdy nie będzie można zwrócić się do Niemca czy Francuza „kolego z Europy", a w kinach będą grane wyłącznie polskie produkcje, nigdy z siebie nie zmyjemy. Jesteśmy w szoku nie mniejszym niż pan Sikorski z panem Halickim, że ta właśnie Polska, ten kaszalot bez posagu, ośmieliła się zgłosić weto wobec planów związku zjednoczonych republik europejskich. Jakby była Belgią albo Francją! I to kiedy? W czasie niemieckiej prezydencji zaprowadzonej w Europie w sposób pokojowy i – przynajmniej oficjalnie – tylko na pół roku! A my, przez ośmiokrotnie sfałszowane wybory, będziemy w tym renesansie niemieckiej demokracji jedli, jak zapowiada pan Biedroń, tylko „szczaw i mirabelki"? Czy w związku z tym Jego Ekscelencja mógłby przy okazji podrzucić polskojęzycznym Europejczykom, którzy jeszcze zostali w kraju, kilka pomysłów, jak przetrwać czas apokalipsy? Co kupić na zapas? Bardziej papier toaletowy czy „Gazetę Wyborczą"? A może to bez różnicy? My, oczywiście, nie tracimy ani przez chwilę wiary w końcowy sukces oraz polityczne zdolności Jego Ekscelencji, jednak warto się zabezpieczyć, prawda? O zakazie podróżowania nie ma nawet co wspominać, bo wiadomo, że jak nas ten Paul odspawa, to co najmniej na 123 lata. Zresztą i tak już wstyd gdzieś się pokazać. Albo odezwać. A skutki są takie, że myśmy z kolegą musieli w Bułgarii Rumunów udawać (na Niemców mieliśmy ubrania za słabe). Ale jeśli przy okazji brania Polski głodem paru wieśniaków wstydu nam za granicą nie narobi, to tylko lepiej.

No i ostatnie pytanie do Jego Ekscelencji i biegniemy na ulice walić w garnki, bo „wyp...alać" samo się nie zrobi. Nurtuje nas zasadniczo jeszcze jedna kwestia: mianowicie, czy jak już ten Paul Eksit zrówna nas z ziemią, a potem oderwie i wypluje poza granice cywilizacji aż do złych stron historii, to czy oznacza to, że niejaki pan W.Y. Pierre Paul już nas nie dopadnie? Bo opowiadał Jego Ekscelencja w grudniu 2019 r., iż ktoś na Twitterze napisał, że „nie grozi nam żaden Paul Eksit, tylko W.Y. Pierre Paul". I że Jego Ekscelencja „domyśla się, o co autorowi chodziło". My też się domyślamy. To trochę tak, jak było z Jego Ekscelencją przed sześciu laty, prawda? Wtedy także W.Y. Pierre Paul był już gotowy na spotkanie z Ekscelencją, ale Wasza Miłość przezornie był łaskaw wybrać exit. No i fajnie.

eprasa.pl 65676c200f

Nieprawoządna praworządność

W ostatecznym rozrachunku unijni urzędnicy chcą stworzyć mechanizm, w którym Komisja Europejska będzie mogła decydować o tym, kto ma rządzić w danym państwie

No i mamy wrzask na całą Europę, że znowu Polska nie chce tańczyć tak, jak jej zagrają. Wciąż problemy z tymi Polaczkami, że wszystko chcą robić po swojemu i nie chcą płynąć z prądem.

Tak np. przewodniczący grupy parlamentarnej Europejskiej Partii Ludowej Manfred Weber zarzuca Polakom i Węgrom, że przez ich weto do unijnego budżetu na lata 2021–2027 ucierpią miliony mieszkańców UE. Ale to Weber i inni eurokraci będą odpowiedzialni za ewentualne fiasko rozmów. Pomijając to, że pan Manfred mija się z prawdą, w przypadku weta będzie bowiem obowiązywało prowizorium budżetowe, a więc środki zostaną podzielone według zasad ze starej perspektywy finansowej, to moim zdaniem odpowiedzialnością za fiasko rozmów nad budżetem (jeżeli oczywiście te rozmowy ostatecznie fiaskiem się zakończą, bo na razie mamy przeciąganie liny) trzeba będzie obciążyć unijnych urzędników, którzy forsują zapisy niemające niczego wspólnego z praworządnością.

Unijni urzędnicy, którzy nawet nie pochodzą z demokratycznego wyboru, a ich stanowiska są wyłącznie wynikiem zakulisowych rozmów i politycznych negocjacji, chcą przeforsować mechanizm, który będzie narzędziem wywierania presji na rządy wybierane w demokratycznych wyborach, a więc posiadające legitymację społeczną, ale niepłynące z głównym nurtem unijnej polityki. W ostatecznym rozrachunku unijni urzędnicy chcą stworzyć mechanizm, w którym Komisja Europejska będzie mogła decydować o tym, kto ma rządzić w danym państwie. Kraj, który „podpadnie" KE i nie otrzyma środków z budżetu, siłą rzeczy może utracić społeczne poparcie. Brukselscy urzędnicy chcą więc stworzenia skrajnie antydemokratycznego instrumentu, który dla niepoznaki nazywają „walką o praworządność". Instrumentu, który może np. nakazać uznania za małżeństwo pary homoseksualne, nawet jeśli w konstytucji tego państwa stoi, że małżeństwo to związek kobiety i mężczyzny.

Zwolennicy mechanizmu praworządności powołują się na art. 7 traktatu lizbońskiego, który zaś odwołuje się do art. 2 TUE, a ten brzmi: „Unia opiera się na wartościach poszanowania godności osoby ludzkiej, wolności, demokracji, równości, państwa prawnego, jak również poszanowania praw człowieka, w tym praw osób należących do mniejszości. Wartości te są wspólne państwom członkowskim w społeczeństwie opartym na pluralizmie, niedyskryminacji, tolerancji, sprawiedliwości, solidarności oraz na równości kobiet i mężczyzn".

Niezwykle szeroka to definicja. Czy mieszczą się w niej np. organizowane w Belgii targi Men Having Babies, podczas których pary homoseksualne mogą wybrać surogatkę, która urodzi im dzieci? Co to ma wspólnego z poszanowaniem godności osoby ludzkiej i dlaczego nikt nie uruchamia procedury z art. 7 wobec Belgii?

Nie tylko nie wiemy więc, jak dokładnie miałoby być rozumiane pojęcie „praworządność", ale także w jaki sposób miałaby następować weryfikacja, czy dany kraj jest praworządny czy nie. Wielokrotnie w ostatnim czasie widzieliśmy np., że Parlament Europejski czy Komisja Europejska tworzyły swoje oceny i raporty nie na podstawie faktów, lecz przekazu pochodzącego od opozycji. Np. mówiąc o strefach wolnych od LGBT, opierano się na informacjach o tabliczkach rozstawianych w ramach happeningu przez działacza LGBT. Tymczasem uchwały samorządów dotyczyły edukacji i treści, jakie będą przekazywane młodzieży. Tak więc PE oparł się na rzeczywistości wykreowanej, a nie na prawdzie.

Jeśli zaś chodzi o samą definicję praworządności, art. 2 TUE to zdecydowanie za mało. Przykładowo Wojciech Sadurski proponuje jako minimum definicję: „niezawiśli sędziowie, organy państwowe respektują prawo, parlament nie zmienia prawa na każde polecenie partii u władzy". Nieprawoządne byłyby wówczas Niemcy, gdzie sędziów Federalnego Trybunału Konstytucyjnego wybierają Bundestag i Bundesrat, a więc politycy. Poza tym cóż dziwnego w tym, że prawo stanowi większość parlamentarna?

Dlatego Polska nie może zgodzić się na jakiś bliżej nieokreślony „mechanizm praworządności", jeśli nie zostanie on precyzyjnie opisany. W innym przypadku „mechanizm praworządności" będzie dowolnie nadużywany według kryteriów wyłącznie politycznych i całkiem uznaniowych, a na to rząd zgodzić się po prostu nie może. Choćby nie wiem jak mocno tupał pan Weber.

Dorota Łosiewicz

Mołdawia

Prozachodni nokaut

Zgodnie z przewidywaniami w drugiej turze wyborów prezydenckich w Mołdawii zwyciężyła była premier Maia Sandu (na zdj.), uważana za zwolenniczkę integracji z Zachodem. Sandu zdobyła blisko 58 proc. głosów, podczas gdy jej rywal – prorosyjski urzędujący prezydent Igor Dodon – jedynie 42 proc. W liczbach bezwzględnych na Sandu oddano 943 tys. głosów, z czego poza granicami kraju aż 243 tys. To właśnie ta niespotykana dotąd mobilizacja mołdawskich wyborców pracujących za granicą (głównie na Zachodzie) sprawiła, że Dodon został przez Sandu niemalże znokautowany.

Prezydent elekt już pierwszego dnia po wyborach wskazała, jaki będzie kierunek jej polityki zagranicznej. Zaprosiła do Mołdawii prezydenta Rumunii oraz odbyła „serdeczną" rozmowę telefoniczną z drugim sąsiadem – prezydentem Ukrainy Wołodymyrem Zełenskim.

W polityce wewnętrznej Sandu będzie prawdopodobnie dążyć do rozwiązania parlamentu i ogłoszenia przedterminowych wyborów. W obecnym większość mają bowiem prorosyjscy socjaldemokraci, na których czele ponownie stanął Igor Dodon. W republice parlamentarnej, jaką jest Mołdawia, kompetencje prezydenta są dość ograniczone i ambitny program zmian, przede wszystkim walka z wszechobecną korupcją, może pozostać na papierze, jeśli siły prozachodnie nie będą kontrolowały parlamentu i rządu pozostających nadal w rękach socjaldemokratów.

Plan Mai Sandu wydaje się realny, ponieważ ma ona potencjalnych sojuszników. Pavel Filip, lider parlamentarnej frakcji Partii Demokratycznej, formacji zbudowanej przez zbiegłego z kraju oligarchę Vlada Plahotniuca, w dzień po wyborach skierował pod adresem Sandu ofertę zbudowania rządu przejściowego i rozpisania wyborów parlamentarnych na jesień przyszłego roku. Przedterminowymi wyborami może być również zainteresowany lewicowy populista Renato Usatii, burmistrz drugiego pod względem wielkości mołdawskiego miasta Bielce, który startując w pierwszej turze wyborów, zdobył ponad 16 proc. głosów. Za nowymi wyborami opowiedziała się również, co stanowi pewne zaskoczenie, grupa parlamentarna Pro Moldova, stworzona z secesjonistów z Partii Demokratycznej, na której pozyskanie bardzo liczyli socjaldemokraci. Wydaje się zatem, że Maia Sandu, o ile nie nastąpią jakieś nieoczekiwane okoliczności, zdoła zrealizować swój plan i skupić pełnię władzy w rękach sił prozachodnich. Gdyby rzeczywiście to się udało, to zmiana geostrategicznej orientacji Mołdawii okaże się trwalsza.

Marek Budzisz

USA

Gra o wszystko

W Georgii trwa ponowne liczenie głosów oddanych w niedawnych wyborach prezydenckich w USA (różnica między kandydatami wynosi 14 tys. głosów). Georgia jest o tyle istotna dla republikanów, że to właśnie w tym tradycyjnie czerwonym (republikańskim) stanie w styczniu 2021 r. odbędą się wybory do Senatu. Jeśli wygrają je kandydaci prawicy, to republikanie zyskają przewagę w izbie i utrudnią tym samym prezydenturę Joemu Bidenowi.

Problemem może się jednak okazać upór Donalda Trumpa, który nie chce uznać swojej porażki wyborczej. Wielu republikanów uważa bowiem, że jeżeli nie uda się udowodnić fałszerstw w Georgii, to konserwatywni wyborcy Bidena, głosujący na niego z powodu niechęci do Trumpa, odsuną się jeszcze bardziej i nie oddadzą swoich głosów na republikańskich kandydatów do Senatu.

Liczenie głosów w USA

Rozdarcie republikanów jest tym większe, że są świadomi siły Trumpa. Ma on za sobą 71 mln głosów i mocno zdominował Partię Republikańską. Trudno jest w niej dziś znaleźć krytyków tego formatu co nieżyjący John McCain. Próbuje być kimś takim Mitt Romney, który przegrał wybory w 2012 r. z Barackiem Obamą. Nie ma on jednak charyzmy ani pozycji McCaina. Z kolei George W. Bush – ważny o tyle, że jest dziś jedynym żyjącym byłym prezydentem z ramienia prawicy – jest znany z niechęci do Trumpa i przyjaźni się z rodziną Clintonów. Zresztą zarówno Bush, jak i Romney uznali już zwycięstwo Bidena i – podobnie jak kilku ważnych członków Senatu i Izby Reprezentantów – pogratulowali mu wygranej. Nawet Marco Rubio z Florydy nazwał Bidena, prezydentem elektem.

I choć Trump nie ma na razie silnej alternatywy w swoim obozie, to rychło może to się zmienić. W Georgii, gdzie ważą się losy nie tylko jego dalszej walki o prezydenturę, lecz

Fot. Trevor Bexon/Shutterstock.com

eprasa.pl 65676c200f

Powrót do przeszłości

Mozambik

Prowincja Cabo Delgado położona na północnym wybrzeżu Mozambiku, tuż przy granicy z Tanzanią, należy do najuboższych regionów tego afrykańskiego kraju. Gdy w 2009 r. odkryto tu ogromne złoża gazu ziemnego (szacowane jako dziewiąte pod względem wielkości na świecie), wydawało się, że przekształcą one Mozambik w jedno z najbogatszych państw Afryki. W mediach spekulowano wówczas, że oto na południu Afryki pojawiła się druga Norwegia.

Jednak nic takiego się nie wydarzyło. Bo choć odkrycie gazu ściągnęło do Mozambiku największe giganty wydobywcze z całego świata, to żaden cud gospodarczy nie nastąpił. Przeciwnie, jest gorzej, niż było. Bezpośrednią przyczyną jest islamistyczna rebelia, która kilka lat temu wybuchła w Cabo Delgado. Prowincja jest zamieszkana przez chrześcijan i muzułmanów. Wśród tych ostatnich pojawił się niedawno nurt radykalny, wyszkolony i sfinansowany – jak się przypuszcza – przez komórki Państwa Islamskiego. Islamiści zdołali już przejąć kontrolę nad częścią prowincji, a trwające walki uniemożliwiają ekspolatację złóż gazu. W ich trakcie dochodzi do wielu okrucieństw, m.in. niedawno raportowano o atakach na chrześcijańskie wsie. Pozbawione głów ciała ich mieszkańców – w tym kobiet i dzieci – odnajdywano potem w buszu, w którym ofiary próbowały się schronić przed napadem.

Konflikt religijny ma jednak także tło ekonomiczne. Islamiści występują przeciwko rządzącemu od 1975 r. ruchowi Frelimo, który wywodzi się z komunistycznej partyzantki walczącej przeciwko portugalskim kolonizatorom. Po upadku Bloku Wschodniego Frelimo przekształciło się w wąską oligarchiczną grupę zarabiającą na udzielaniu koncesji zagranicznym firmom eksploatującym surowce. Tym razem też tak miało być. Wielkie koncerny gazowe miały pompować gaz, sprzedawać go i dzielić się gigantycznymi zyskami z partyjnymi bonzami. Nie było też mowy o miejscach pracy dla miejscowych, bo wydobycie gazu miało być zabezpieczane głównie przez zagraniczną kadrę. Co więcej, eksploatacja pól gazowych oznaczała zmniejszenie obszaru upraw i pozbawienie miejscowych rolników ich marnych dochodów. Nic więc dziwnego, że gorączka gazowa, która miała dać Mozambikowi nowe życie, wywołała jedynie społeczny bunt. Skorzystali na tym miejscowi islamiści, którzy stali się główną siłą oporu przeciwko rządzącym krajem zachłannym kacykom.

Co ciekawe, Frelimo, które dziś obwiniane jest o eksploatację państwa i wpędzenie jego mieszkańców w ubóstwo, zarzucało dokładnie te same grzechy Portugalczykom. A swoją zwycięską wojnę przeciwko kolonizatorom rozpoczęło właśnie w Cabo Delgado. Dziś swoją wojnę przeciwko Frelimo rozpoczęli tu islamiści. Czy oni również zwyciężą?

Konrad Kołodziejski

---

również większości republikańskiej w Senacie, miejscowi konserwatyści stają się wobec prezydenta coraz bardziej sceptyczni. Wiedzą, że przegrana tej izby parlamentu oznacza pełnię władzy dla demokratów. To pewnie dlatego republikański sekretarz stanu Georgia Brad Raffensperger stwierdził, że nie ma podstaw do kwestionowania uczciwości wyborów w stanie i – wbrew naciskom – nie chce przedłużać terminu liczenia głosów nadesłanych pocztą. W odpowiedzi prezydent Trump nazwał go na Twitterze „republikaninem tylko z nazwy".

Trump najwyraźniej gra o wszystko. Jeśli jednak przegra, konsekwencje tej gry poniesie nie tylko on, lecz również cała partia. Przynajmniej w najbliższej kadencji.

Łukasz Adamski

Zmiana warty

Litwa

Na Litwie trwają przygotowania do zmiany rządu. 13 listopada odbyło się pierwsze posiedzenie nowego Sejmu wybranego w październikowych wyborach, na którym rezygnację złożył dotychczasowy premier Saulius Skvernelis wywodzący się z centrowego Związku Rolników i Zielonych. Nową szefową rządu ma zostać była minister finansów Ingrida Šimonytė reprezentująca zwycięskich konserwatystów ze Związku Ojczyzny – Chrześcijańskich Demokratów.

Partia ta, której przewodzi Gabrielius Landsbergis (wnuk pierwszego przywódcy państwa po upadku komunizmu – Vytautasa Landsbergisa) zdobyła 50 miejsc w 141-osobowym parlamencie litewskim. Obok konserwatystów do tworzącej się koalicji rządowej wejdą najpewniej dwie inne formacje: Ruch Liberałów (13 mandatów) i nowo powstała liberalna Partia Wolności (11 mandatów).

Największymi przegranymi wyborów okazał się znajdujący się do tej pory u władzy Związek Rolników i Zielonych (32 mandaty) oraz jego centrolewicowi koalicjanci – Partia Socjaldemokratyczna (13 mandatów), Partia Pracy (10 mandatów), a przede wszystkim Akcja Wyborcza Polaków na Litwie – Związek Chrześcijańskich Rodzin, która wprowadziła do Sejmu zaledwie trzech posłów. Tak słaby wynik sprawia, że polska mniejszość nie ma własnego klubu poselskiego.

Do parlamentu dostała się jeszcze jedna Polka – Ewelina Dobrowolska startująca z Partii Wolności, która w nowym rządzie ma zostać ministrem sprawiedliwości. To wileńska radna, która stoi na czele grupy roboczej powołanej przez władze Litwy, aby opracować projekt ustawy o mniejszościach narodowych. Opowiada się ona m.in. za prawem do oryginalnej pisowni polskich nazwisk, mając w tym wsparcie swojego partyjnego kolegi – mera Wilna Remigijusa Šimašiusa. Jednak ta kwestia może wywołać w przyszłości konflikt w koalicji rządzącej z partią Landsbergisa.

Innym, poważniejszym, źródłem napięć mogą się okazać również spory kulturowe. Partia Wolności, w przeciwieństwie do większości konserwatystów, opowiada się bowiem za przywilejami małżeńskimi dla mniejszości seksualnych, legalizacją miękkich narkotyków czy liberalizacją ustawy o in vitro. Niezagrożony wydaje się natomiast strategiczny euroatlantycki kurs Wilna oraz współpraca z Polską, zwłaszcza w branży energetycznej i transportowej, m.in. w ramach Trójmorza. Dla Litwy największym zagrożeniem pozostaje Rosja i to nadal determinuje jej politykę zagraniczną.

Grzegorz Górny

eprasa.pl 65676c200f

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Od carycy do kanclerzycy

Jan Pietrzak

Powiedzmy sobie szczerze, panie i panowie: problem praworządności w Polsce jest marginalny, natomiast poważny kryzys praworządności powstał w brukselskiej centrali naszej ulubionej Europy. Pojawili się uzurpatorzy, lekce sobie ważący idee i traktaty będące fundamentem UE. Dla własnej korzyści politycznej, zapewne finansowej również, szantażują słabszych partnerów. Oni w tej Brukseli uważają się pewnie za następców starożytnego Rzymu, w którym ukuto bardzo wygodną dla władzy zasadę: Roma locuta, causa finita. Stolica imperium decyduje, prowincje nie marudzą.

Szczególnie Niemcy lubią tę historyczną analogię, po stuleciach Świętego Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego. Nie zauważyli Germanie, że formuła ustroju cesarskiego jednak się zużyła. Tylko Japonia trzyma się tej tradycji. W Chinach ostatniego cesarza zadręczyli maoiści, naśladując bolszewików likwidujących cara. Etiopski cesarz zdobył chwilę sławy dzięki książce Kapuścińskiego. Niezdrowe zainteresowanie wzbudził cesarz Bokassa zjadający poddanych na śniadanie...

Starogrecka demokracja jest niezastąpiona. Niejedno ma imię. Jest zróżnicowana, często trudna w użyciu, niewydolna, ale umawiamy się, że nie rządzi bezkarny, autorytarny dwór, lecz rządzi demos. Przynajmniej tak mu się wydaje.

Tego złudzenia lubią się trzymać ludy takie jak Polacy do niedawna gnębieni przez imperialnych despotów. Przez dwa–trzy stulecia (zależy, jak liczyć) byliśmy niemiłosiernie okradani i eksterminowani przez Rosję i Niemcy. Ich cesarstwa upadły, ale nawyki zostały. Zwyczaj anektowania Polski przez carycę Katarzynę II (księżniczkę ze Szczecina) w wieku XVIII udzielił się kanclerzycy Angeli z księstwa NRD. Na początek anektowała sobie Tuska i jego środowisko udające liberałów, a potem było coraz gorzej. Obecnie Berlin jest na etapie podważania polskiej praworządności, co się sprowadza do negacji suwerenności, przy okazji uderzając nas po kieszeniach. Niektórzy znawcy Niemiec powiadają, że Merkel jest dla spraw polskich bardziej życzliwa niż inni politycy. To bardzo możliwe. Caryca Katarzyna też lubiła kilku Polaków, a oni byli nią zachwyceni.

Dokumentalne eldorado

Z Barbarą Włodarczyk, dziennikarką, dokumentalistką, rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Trudno byłoby sobie wyobrazić TVP Dokument bez pani udziału.

Barbara Włodarczyk: Nie przeceniałabym swojej roli. Najwięcej o nowym kanale TVP mógłby powiedzieć jego redaktor naczelny Tomasz Piechal, ale rzeczywiście to wydarzenie jest dla mnie czymś wyjątkowym i ważnym. Reportaż, dokument to od lat moja wielka miłość i pasja. Szczególnie bliski jest mi Wschód, bo to tematyczne eldorado dla dokumentalisty. Nie mówiąc już, jak istotne jest dla nas zrozumienie mechanizmów tego regionu. Ogromnie się cieszę, że TVP doczekała się takiego kanału. Miała ku temu wszelkie dane – jako jeden z największych producentów filmów dokumentalnych, na dodatek dysponujący bezcennym archiwum.

Jakie zadania ma pani w TVP Dokument?

Poprowadzę wstęp do pasma filmów poświęconych najważniejszym bieżącym problemom społecznym na świecie. Koledzy nazwali to wprowadzenie „Barbara Włodarczyk zaprasza". W czasie kilkuminutowych rozmów, głównie z autorami, porozmawiamy o kulisach realizacji, zwrócimy uwagę na kluczowe fragmenty i niuanse. W żadnym wypadku nie będzie to tłumaczenie treści pokazywanych dokumentów, bo jeśli film by tego wymagał, znaczyłoby, że nie spełnił swojej funkcji.

Co zobaczymy w cyklu?

Zaczęliśmy, wyjątkowo, w minioną niedzielę (tego dnia o godz. 12 będą powtórki) od „Czeskiej mitologii" w reż. Rafała Geremka. We wtorek 24 listopada – premiera: „Estonia. Czekając na niedźwiedzia" Witolda Szabłowskiego, a tydzień później mój film „Ukraiński sługa narodu" o fenomenie prezydenta Wołodymyra Zełenskiego. Zapraszam na spotkania z dokumentem.

Fot. Piętka Mieszko/AKPA

eprasa.pl 65676c200f

BRONISŁAW WILDSTEIN

Ile euro kosztuje niepodległość?

Nie, nie nawołuję do natychmiastowego wyjścia z UE. Wzywam jedynie do racjonalnej dyskusji na ten temat. Unia jest ciałem politycznym i powinniśmy analizować, na ile przynależność do niego wiąże się z naszym narodowym interesem. Związek ten staje się coraz bardziej wątpliwy. Przede wszystkim jednak rządzący UE domagają się od nas rezygnacji z niepodległości, a na to za żadną cenę nie powinniśmy się zgodzić.

Zarzut utraty suwerenności przeciwnicy UE podnosili już w trakcie polskiej do niej akcesji. Stałem wówczas po drugiej stronie tego politycznego sporu i bronię swojego ówczesnego zdania. Przystąpienie do Unii od początku wiązało się z utratą określonych prerogatyw, ale każdy międzynarodowy traktat nas ogranicza; w wypadku UE tych zobowiązań było więcej, ciągle jednak przedstawienie ich jako utraty suwerenności stanowiło grubą przesadę. Tyle że Unia zmieniała się (na gorsze) w zaskakującym tempie, a dodatkowo okazało się, że dominujące środowiska nie liczą się zupełnie z normami, które regulować miały jej funkcjonowanie. W świecie na opak, jakim Zachód staje się coraz bardziej konsekwentnie, ci, którzy łamią prawo – bo traktaty to prawo – oskarżają tych, którzy ich bronią, o zamach na praworządność.

W Europie proces ten generuje dominująca ideologia, której Unia stała się wehikułem. Jak zwykle odwraca ona pojęcia i znaczenia. Przerabialiśmy to w czasie komunizmu. Prawem człowieka staje się to, co za takie uznają najbardziej wpływowe grupy. Okazuje się, że jest nim aborcja czy eutanazja. I to w obu wypadkach coraz szerzej rozumiana. Prawem człowieka jest przyznawanie dzieci homoseksualistom i samookreślanie swojej płci. Niedługo uczeni prawnicy wywiodą, że jest nim klonowanie ludzi i genetyczne formowanie potomstwa.

Ideologia ta ma wykreować nowego wyzwolonego ze wszelkich więzi, czytaj tożsamości, człowieka. Gdyż wszystkie one stają na przeszkodzie jego formatowaniu. Bytem, który będzie można poddać dowolnym eksperymentom, jest samotna jednostka.

Ideologia ta coraz natrętniej wdziera się do instytucji unijnych i zaczyna je wykorzystywać do swoich celów. Wspólnota europejska, która oddolnie, niejako organicznie, prowadzić miała do zbliżenia jej krajów, przekształcona została w konstruktywistyczny projekt kontynentalnej utopii. Mają się w niej roztopić wszelkie, również narodowe, tożsamości. Utopijne działania zwykle prowadzą do intensyfikacji problemów, z którymi mają się rozprawić. Unia dziś przypomina imperium, w którym centrum zmusza do posłuszeństwa peryferia. Interesy centrum, głównie Niemiec, nazywane są europejskimi.

Dominująca ideologia staje się legitymacją sprawowania władzy. Centrum ustala, co jest wartością europejską, i pod szyldem nadzorowania praworządności w krajach peryferyjnych narzuca im nie tylko ideologię, lecz i rządy swoich klientów. Najbardziej skorumpowany postkomunistyczny rząd Gyurcsánya na Węgrzech cieszył się w UE pełnym uznaniem, zagrożeniem okazał się dopiero próbujący uzdrowić stan państwa Orbán. Jeśli rząd PiS wprowadza do sądownictwa zasady funkcjonujące w zachodniej Europie, oskarżany jest o łamanie praworządności.

Arbitralnie używane formuły praworządności czy wartości europejskich to instrumenty, za pomocą których unijni decydenci interweniować mogą w dowolnej sprawie i utrzymywać w posłuszeństwie europejskie narody.

Postkomunistyczne kraje wypełnione są kompleksami. Prawie pół wieku mieszkańcy ich marzyli, aby było u nich tak, jak na Zachodzie. Prawie nikt nie analizował tego, jak bardzo Zachód ów się zmienia i w jak niewielkim stopniu przypomina cywilizację, której zawdzięcza swoje osiągnięcia. Wspólnota europejska, a potem Unia, była obiektem kultu, a nie racjonalnego namysłu.

Establishment III RP dość szybko zorientował się, że można grać na tych kompleksach, a uzależnienie się od europejskich centrów może wzmocnić jego władzę w kraju. Ostentacyjny przykład grania przeciw polskim interesom, jakie demonstruje opozycja w PE, skompromitować powinien każdą siłę polityczną, ale z powodu kompleksów Polacy tego nie zauważają. Cały czas wyrabiano w nas postawę niewolniczą, wmawiano, że rozwinęliśmy się wyłącznie dzięki europejskiej pomocy, co jest jaskrawym fałszem, ale, aby to odsłonić, należy zanalizować autentyczny wpływ funduszy europejskich na gospodarkę kraju. Kto miał to robić, kiedy wszystkie tzw. placówki badawcze UE służą wyłącznie propagandzie? Po to, aby Polacy mogli dokonać racjonalnego wyboru, muszą wcześniej znać realny stan rzeczy. Należy go pokazać i poddać powszechnej debacie.

Nie uchyla to podstawowego pytania: za ile euro oddać chcemy naszą narodową wolność?

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 65676c200f

Walizka Marcina Kwaśnego

Aktora

Nie wyobrażam sobie życia bez podróży, choć teraz muszę, bo w ostatnim czasie to ryzykowne. Nigdy nie wiadomo, czy nie odwołają lotów, nie zamkną granic i nie wprowadzą lockdownu. Przedtem dużo podróżowałem, głównie do Włoch. Pojechałem śladami ojca Pio i pierwszego cudu eucharystycznego w Lanciano. Byłem w Manoppello, w San Giovanni Rotondo i w Rzymie. Zwiedziłem także nietypowy region Cinque Terre na północ od Pizy. Podróże dla mnie są odskocznią od codziennych problemów. Zawsze na wyjazdach odpoczywam, choć propaguję bardzo aktywne zwiedzanie.

BIBLIA

Codziennie staram się czytać choćby małe fragmenty Pisma Świętego. Od kiedy w 2013 r. się nawróciłem, to z Biblią się nie rozstaję. I co jest ciekawe, że my mówimy dużo do Boga i wydaje nam się, że nie odpowiada. Akurat Pismo Święte, które jest takim listem miłosnym pisanym do człowieka, zawiera wiele odpowiedzi, które odnajduję za każdym razem, gdy mam pytanie.

RÓŻANIEC

Maksymilian Maria Kolbe mówił, że modlitwa z różańcem to strzelanie do diabła z procy. To jest także moja broń przeciwko złemu, która mi szalenie pomaga, uspokaja, wycisza. Matka Boża chciała w Fatimie i Gietrzwałdzie, żeby różaniec odmawiać codziennie, więc tak robię.

SZACHY

To gra, która działa na mnie rozwijająco. Uważam ją za jedną z najlepszych wymyślonych przez człowieka. Gdy podczas podróży spotkam kogoś, kto gra, to proponuję partyjkę.

SCENARIUSZ

Moje wyjazdy mają też charakter służbowy, zabieram więc na nie scenariusze. Ten jest do trzeciego sezonu „Stulecia Winnych", w którym zagram Adama Komarnickiego, zakochanego w Kasi aktora, lekkoducha, który lubi zabawę i żarty. Jednocześnie jest to człowiek ciepły, dowcipny i inteligentny.

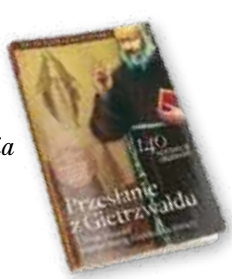

LEKTURA

„Przesłanie z Gietrzwałdu" to prezent od siostry obliczanki, siostry Julki. To są spisane przez bł. o. Honorata Koźmińskiego przesłania z objawień maryjnych, jedynych, które zostały

eprasa.pl 65676c200f

zatwierdzone przez Kościół w Polsce. Gietrzwałd jest mi wyjątkowo bliski, bo kiedy straciłem głos, to dzięki wodzie z Cudownego Źródełka, która nie zamarza nawet przy -20 stopniach, uleczyłem go.

SKAKANKA

Wziąłem się za siebie. Ćwiczę intensywnie z trenerem personalnym. Skakanka jest substytutem tych ćwiczeń, gdy nie mogę pójść na siłownię. I zawsze się zmieści w walizce.

OKULARKI / KĄPIELÓWKI

Gdy w hotelach jest basen, to pływam. Nie jestem długodystansowcem i traktuję to jako ćwiczenia ogólnorozwojowe, więc po basenie zakwasy mi nie grożą.

ZEGAREK

Zakupiony w Turcji. Jest bez nazwy, bo odpadła. Ponieważ mam inklinacje à la Sławomir N., na bazarze kupiłem wtedy aż pięć zegarków, z czego cztery natychmiast po powrocie się zepsuły. Ten jakoś nie chce.

SCYZORYK

Jest to zestaw wielofunkcyjny: scyzoryk, nożyczki, sekator... wiadomo. Po prostu niezbędnik pielgrzyma.

PERFUMY

Jestem olfaktorycznie skrzywiony i mam bardzo wyczulony węch. Akurat ten zapach od dłuższego czasu mi towarzyszy.

KURTKA Z GORETEXU

Do miasteczek w Cinque Terre można pojechać pociągiem, ale ja wybrałem drogę przez góry i sanktuaria. I ta kurtka się przydała. Jest lekka, ale chroni przed chłodem i deszczem.

KOSTKA DŹWIĘKOWA

Można przez nią, korzystając z Bluetootha, puścić muzykę z telefonu. Lubię słuchać dobrego rocka i muzyki klasycznej.

Wysłuchał i spisał:
Michał Korsun

Fot. Andrzej Wiktor

Fot. Andrzej Wiktor, Shutterstock (x3)

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Automaty, algorytmy

Dominik Zdort

Taki film dokumentalny. Chiński właściciel amerykańskiej fabryki idzie przez halę produkcyjną. Jeden z podwładnych informuje: tu do niedawna pracowała jedna osoba, teraz są już same automaty. Dalej: tu jest czterech pracowników, od sierpnia zastąpimy ich maszynami.

Automatyzacja. Optymiści mówią: prawie wszystkich nas zastąpią roboty, ale będziemy mieli z czego żyć. Aby ludzie nadal mogli kupować produkty (te wytworzone przez maszyny), konieczna będzie pensja obywatelska, czyli taka, którą dostawać będzie każdy, niezależnie od tego, czy pracuje, czy się obija 24 godziny na dobę.

Pesymiści obawiają się, że skutkiem tego byłaby całkowita społeczna demoralizacja, że wtedy prawie nikt już by nie chciał czegoś odkrywać, usprawniać, być innowatorem, twórcą.

Automatyzacja w niektórych branżach nastąpi szybciej, w innych wolniej. W mojej – dziennikarskiej – może wolniej. Kiedy czytam nieudolne przekłady internetowych czy elektronicznych tłumaczy, trudno mi uwierzyć, że maszyna sama wybierze ważniejsze informacje, zredaguje, skróci, dobrze zatytułuje.

Przynajmniej jednego automat nie będzie musiał robić, bo i żywi pracownicy mediów już tego nie robią. Nie będzie musiał dzwonić do informatorów, komentatorów, świadków wydarzeń. Większość dziennikarzy dawno sobie to odpuściła. Teraz tylko skanują internet i kompilują to, co wcześniej – także nie sięgając do źródeł – napisali inni, a na koniec dorzucają parę banalnych, zgodnych z poglądami wydawcy, konstatacji. Do tego naprawdę wystarczy dobry algorytm.

Jedyną nadzieją byłoby, gdyby nie zaakceptowali tego czytelnicy. Odbiorcy. Konsumenci treści. Klienci. Tyle tylko, że współcześni potencjalni czytelnicy już nie siadają z kawą i gazetą przy śniadaniu. Dziś biegają po ulicach miast i wymachują flagami (tęczowymi lub biało-czerwonymi). To bandyterka o mentalności kiboli i intelektualnym poziomie praskich żuli. A takiej hołocie wszytko jedno, czy w tekście są sprawdzone informacje, czy skomentował je kompetentny specjalista, czy odnieśli się do nich adwersarze. Ważniejsze, żeby wszystko zgadzało się z wyznaczoną, jedynie słuszną, linią. A skoro tak, to zapotrzebowania na dziennikarski profesjonalizm już nie ma.

Może więc niech działają automaty i algorytmy. Niech sobie tworzą propagandowe niby-treści. Lepiej, że zrobią to maszyny. Po co psuć charaktery młodych ludzi?

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

eprasa.pl 65676c200f

RZECZY POSPOLITE

Uległość

Tomasz Łysiak

Słynna powieść Houellebecqa „Uległość" niewiele zmieniła w świecie, choćby nie wiem jak mocno przemawiała do wyobraźni. Podobnie jak nie uczyniły tego kasandryczne przestrogi Oriany Fallaci, która po 2001 r. i ataku na WTC zaczęła przestrzegać świat przed islamem. Dzisiejsza Francja co pewien czas staje wobec horroru islamskiego terroryzmu, ale nawet takie makabryczne wydarzenie jak obcięcie głowy nauczycielowi, który na lekcji pokazał karykaturę Mahometa, na chwilę tylko trafia na czołówki gazet. Po jakimś czasie społeczeństwa Zachodu wracają do stanu letargu. Już nawet nikomu nie chce się wklejać flag Francji w zdjęcia profilowe na Facebooku ani malować kredą na chodnikach oznak wsparcia. Nawet te, śmieszne i dziecinne, reakcje już nie są w modzie.

Słowo „uległość" ma siłę – pokazuje, na czym polega zasadniczy problem podporządkowania się, milczącej rezygnacji, zezwolenia: państwa zachodnie zachowują się jak pasterze, którzy utracili instynkt obrony stada przed wilkami, społeczeństwa jak owe owce, które wobec zagrożenia są w stanie jedynie beczeć trwożliwie, gdy zaś wilk zniknie z rozszarpaną sztuką, po krótkim czasie uspokajają się i dzwoniąc łagodnie dzwoneczkami, pasą się dalej niefrasobliwie na pastwisku.

„Uległość" – po włosku „sottomissione" – odnajdujemy również w październikowej encyklice papieża Franciszka „Fratelli tutti", która traktuje o braterstwie, imigracji i kwestiach ekumenicznych. W punkcie trzecim tej encykliki papież przywołuje podróż św. Franciszka do Egiptu, do sułtana Malik al-Kamila. I na jej przykładzie, w stosunku do islamu, papież pisze o „uległości", „podporządkowaniu": „Uderza nas, jak 800 lat temu Franciszek zalecał, by unikać wszelkich form agresji czy sporów, a także by żyć pokornie i po bratersku »w poddaniu«, także wobec tych, którzy nie podzielają ich wiary". W tekście włoskim użyte jest właśnie słowo tytuł wieszczej powieści Houellebecqa „sottomissione". „Pokorna uległość". Staram się bez uprzedzeń wczytywać w myśl papieską. Czasem jednak nie jestem w stanie zrozumieć takich wezwań, jak wezwanie do „uległości" wobec islamu. Nie jest łatwo być w dzisiejszych czasach członkiem Kościoła.

Koło z uboju

Piotr Cywiński

„Jeśli nic prawdziwie nie istnieje poza mną, ja sam jestem niczym" – pisał Leszek Kołakowski. Ten Kołakowski – wielki filozof, eseista, za nieboszczki Polski tzw. Ludowej zmuszony do emigracji, wykładowca najznakomitszych uniwersytetów na świecie, a po upadku komuny członek Polskiej Akademii Nauk, kawaler Orderu Orła Białego. Nie mylić z Lechem Kołakowskim, tym Kołakowskim, który w czasach PRL, w stanie wojennym, został aktywistą PRON, reżimowego tworu klakierów, był nawet jego łomżyńskim wiceprzewodniczącym aż do 1989 r. A że później wiedział, gdzie zainwestować, z rolnika stał się jednym z najbogatszych posłów PiS.

Było, ale się skończyło. Początkiem końca dorobkiewicza Kołakowskiego z Łomży było zagłosowanie przeciw zakazowi hodowli zwierząt na futra, wykorzystywaniu w cyrkach i ograniczeniu rytualnego uboju, za co został zawieszony w partii. Bardzo się poczuł urażony, że nie jego było na wierzchu, i ogłosił opuszczenie PiS „z grupą posłów", z którymi ponoć dyskutował już nawet „nazwę nowego koła". „Nie jesteśmy uciekinierami, jesteśmy bohaterami" – ocenił sam siebie.

Tchórzofretki padły mu na mózg? Kołakowski poseł urządził swój teatr akurat w chwili decydującej walki rządu PiS w Unii przeciw próbie politycznego ubezwłasnowolnienia Polski i musiał mieć świadomość, że stawia całą Zjednoczoną Prawicę w obliczu groźby utraty parlamentarnej większości. „Raz się skur..., k... zostaniesz" – walił o takich prosto z mostu George Orwell.

„Weto albo śmierć" – zatytułowali moi redakcyjni koledzy cover w poprzednim tygodniku „Sieci", dotyczący tejże „bitwy o Polską niepodległość". Nie podoba mi się. Pamiętam hasło PO: „Nicea albo śmierć!", z wcześniejszej, przegranej bitwy, gdy Niemcy i Francja osłabiły siłę naszego głosu we wspólnocie. Ja bym tak nie zatytułował, jeśli już, bardziej odważny byłby tytuł: „Weto albo polexit". Bo nawet w przenośni nie rozpatruję weta w kategoriach śmierci, lecz zwycięstwa, jako taktyczny instrument w obronie polskich interesów. Nasze zdania, jak ich bronić, mogą być różne, łączy nas wszakże chadecki światopogląd i wynikające zeń nadrzędne wartości.

„Nie udawajmy pochopnie, że jesteśmy samotni wśród tłumu ludzi, kiedy będziemy samotni naprawdę, zrozumiemy tę różnicę" – pisał ten pierwszy, mądry Kołakowski. Ten drugi został właśnie sam – na własne życzenie. Nawet z koła z uboju nici, „jest niczym", co najwyżej trybikiem...

eprasa.pl 65676c200f

Czas portowych inwestycji

Marta Kaczyńska-Zielińska

Pandemia koronawirusa nie wpłynęła na zmianę planów inwestycyjnych w polskich portach morskich. W listopadzie br. zarząd Portu Gdynia zainicjował procedurę mającą na celu wyłonienie podmiotu w ramach partnerstwa publiczno-prywatnego, który do 2028 r. wybuduje Port Zewnętrzny. Będzie on przyjmować jednostki oceaniczne długości nawet 490 m. Nowy terminal kontenerowy, który będzie stanowić centralną część nowej inwestycji, ma posiadać zdolności przeładunkowe w liczbie 2 mln kontenerów rocznie, a finalnie nawet do 2,5 mln. Dla porównania w przyszłym roku gdański terminal głębokowodny DCT może przyjmować nawet 3 mln kontenerów. Dzięki rozbudowie gdyńskiego portu powstanie blisko 5 tys. miejsc pracy. Z budżetu państwa mają zostać wyasygnowane środki na poprawę skomunikowania portu z główną arterią drogową, tj. obwodnicą Trójmiasta i autostradą A1, oraz planowaną trasą Via Maris łączącą Gdynię i Władysławowo.

W ostatnich latach zarząd portu w Gdańsku opracował pierwszą od 40 lat (!) koncepcję rozwoju w postaci budowy Portu Centralnego. Projekt zakłada powstanie kolejnych głębokowodnych terminali do obsługi największych statków wchodzących na Bałtyk, a także rozbudowę bazy infrastrukturalnej, by dostosować port dla potrzeb Europy Środkowej i Wschodniej. Port w Gdańsku jest obecnie w trakcie renowacji i rozbudowy nabrzeży oraz budowy nowych połączeń kolejowych. W ramach budowy Portu Centralnego powstanie dziewięć terminali, a wśród nich: pasażerski, masowy, drobnicowy oraz ro-ro, LNG, cztery obrotnice i trzy tory dla statków. Według szacunków port rocznie mógłby osiągnąć przepustowość do 100 mln ton ładunków. W ramach rozbudowy portów trójmiejskich w lipcu br. zawiązano spółkę, której celem jest wybudowanie terminalu intermodalnego Bydgoszcz Emilianowo oraz inwestycje zwiększające przepustowość torów o połowę i ułatwiające tym samym dostęp do portów w Gdyni i Gdańsku. W Świnoujściu powstanie nowy terminal kontenerowy wraz z odpowiednią infrastrukturą kolejową o zdolności obsługi 1,5 mln kontenerów rocznie oraz możliwości przyjmowania największych statków, które wpłyną na Bałtyk.

Rozbudowa polskich portów, a w szczególności terminali kontenerowych, stanie się z jednym z motorów rodzimego rozwoju. W 2019 r. polskie porty obsłużyły 108,3 mln ton towarów, a terminal DCT w Gdańsku uzyskał najlepszy wynik na Morzu Bałtyckim. Obecnie na świecie 90 proc. żywności, odzieży i produktów codziennego użytku jest przewożone w kontenerach. Transportuje się w ten sposób zarówno samochody, jak i towary sypkie i płynne oraz wymagające zachowania określonej temperatury. Ultrakontenerowce pozwalają na obniżenie zużycia paliwa w transporcie morskim o blisko 40 proc. i o połowę zmniejszają emisję dwutlenku węgla. Najbardziej dynamiczne światowe gospodarki postrzegają kontenerową infrastrukturę przeładunkową jako strategiczny sektor pozwalający na kontrolowanie przepływu towarów i uzyskiwanie dochodów z cła. Przykładem są Niemcy, których port w Hamburgu dzięki sprawnie funkcjonującym terminalom oraz sieciom morskim, drogowym i kolejowym rocznie kontroluje ok. 600 tys. ładunków trafiających z lub do Polski, 450 tys. ładunków pochodzących lub kierowanych do Czech i na Słowację, 100 tys. ładunków przeznaczonych na Węgry lub wysyłanych z tego kraju, a także 300 tys. kierowanych z lub do Austrii.

Warto pamiętać, że inwestycje w polskich portach to nadrabianie wieloletnich zaległości w obszarze gospodarki morskiej. Aż trudno uwierzyć, że po 1989 r. do 2007 r. nie stworzono spójnej polityki państwa dotyczącej wszystkich portów polskiego Wybrzeża. We wrześniu 2019 r. rząd przyjął program rozwoju portów morskich do 2030 r. Jest też specustawa, według której realizacja trzech strategicznych inwestycji: Portu Centralnego w Gdańsku, Portu Zewnętrznego w Gdyni, Terminalu Głębokowodnego w Świnoujściu ma być skrócona nawet o trzy lata.

REKLAMA

40/1020/F

eprasa.pl 65676c200f

RYSUJE ANDRZEJ KRAUZE

SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00, (22) 255 93 32
UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, KRYSTYNA GRZYBOWSKA, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, JACEK KARNOWSKI, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ ŁYSIAK, JAKUB AUGUSTYN MACIEJEWSKI, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, MAREK PYZA, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, MARCIN WIKŁO, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, RAFAŁ ZAWISTOWSKI, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

FRATRIA grupa medialna

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, JANUSZ ŻYCHOWICZ
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL
WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY
PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: GRZEGORZ GALAZKA/ARCHIWO GRZEGORZ GALAZKA/MONDADORI VIA GETTY IMAGES, SHUTTERSTOCK X8

nasz sondaż
pracownia Social Changes dla wPolityce.pl

Na które ugrupowanie polityczne oddałaby Pani/oddałby Pan głos, gdyby wybory do polskiego parlamentu odbywały się w najbliższą niedzielę? (bez niezdecydowanych)

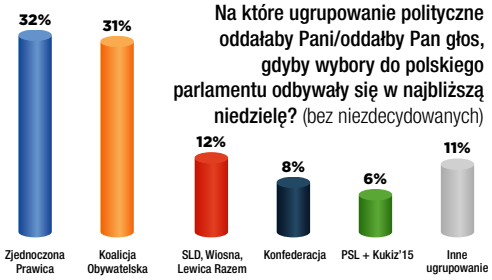

Na które ugrupowanie polityczne oddałaby Pani/oddałby Pan głos, gdyby wybory do polskiego parlamentu odbywały się w najbliższą niedzielę? (bez niezdecydowanych)

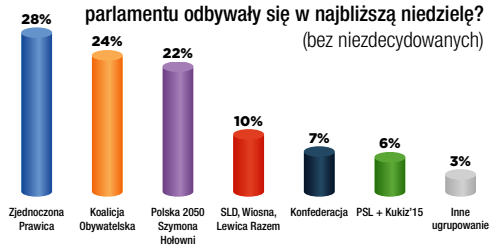

Kto według Pani/Pana najbardziej zasługuje obecnie na miano lidera opozycji w Polsce?

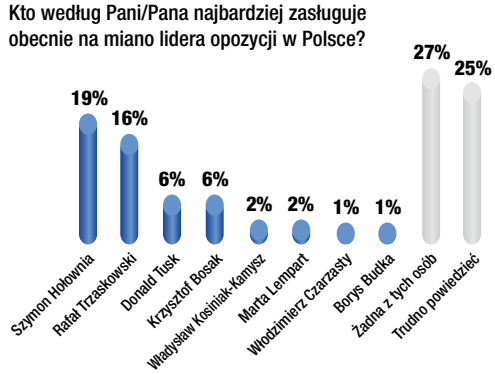

Czy Pani/Pana zdaniem organizatorzy protestów i manifestacji ponoszą odpowiedzialność za rozprzestrzenianie się koronawirusa w Polsce?

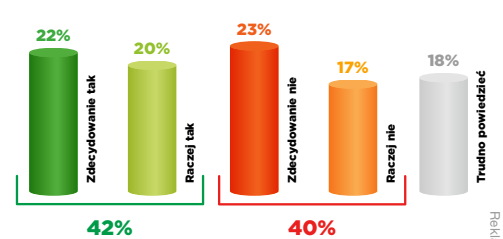

Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięło udział N=1049.

Zakres czasowy badania 13–16 listopada 2020 r.

Reklama | 11/1120/F

eprasa.pl 65676c200f

ZIELONY ZWROT W PGNiG

PGNiG prowadzi programy badawcze mające na celu rozwój paliw alternatywnych. Chcemy zaangażować się w wykorzystanie biometanu oraz produkcję, magazynowanie i dystrybucję wodoru. Poszerzamy kompetencje w obszarze wytwarzania energii elektrycznej z odnawialnych źródeł energii opartych o farmy fotowoltaiczne i wiatrowe.

PGNiG

65676c200f

Zniszczyć autorytet Jana Pawła II

Trwa dziś wielka operacja dezinformacyjna mająca na celu odebranie dobrego imienia zmarłemu papieżowi. Jej celem jest podważenie jego dziedzictwa. To świadome uderzenie zarówno w nauczanie Kościoła, jak i w samo serce współczesnej polskości

GRZEGORZ GÓRNY

Akcja szkalująca imię Jana Pawła II rozpoczęła się 10 listopada. Tego dnia w godzinach południowych w Rzymie upubliczniony został watykański raport w sprawie byłego kard. Theodore'a McCarricka. Dokument miał odpowiedzieć na pytanie, w jaki sposób perwersyjnemu homoseksualiście udało się wspiąć na szczyty kościelnej hierarchii mimo prowadzenia przez kilkadziesiąt lat podwójnego życia.

MEDIALNE TUBY NARZUCAJĄ NARRACJĘ

Choć raport Sekretariatu Stanu liczył ok. 450 stron i został sporządzony po włosku i angielsku, już parę godzin po jego upublicznieniu w Polsce runęła cała lawina komentarzy narzucająca jego interpretację. Jak na sygnał lewicowi i liberalni działacze, politycy i publicyści w zorkiestrowany sposób zaczęli oskarżać polskiego papieża o rzekome ukrywanie i tuszowanie pedofilii.

„Jan Paweł II wiedział o biskupie pedofilu i go awansował, Szokujący raport" (Radio Zet). „Nie ma już możliwości, by nadal podważać tezę o uczestnictwie papieża Jana Pawła II w procederze tuszowania pedofilii w Kościele" (Stanisław Obirek). „Trudno mi sobie wyobrazić, żeby po tym raporcie polskie dzieci nadal chodziły do szkół i przedszkoli imienia JP2" (Adrian Zandberg). „Jan Paweł II zniknął. W tym sensie, że dla tych, którzy go nie pamiętają, to żaden punkt odniesienia, a z kolei dla reszty staje się coraz bardziej wstydliwym elementem, którego lepiej nie wspominać" (Sławomir Sierakowski).

Podobną narrację, choć nie z taką zaciekłością jak w Polsce, podjęły kilka dni później także niektóre media za granicą. Portal National Catholic Register, reprezentujący katolików liberalnych, zaapelował do episkopatu USA: „Biskupi amerykańscy, proszę znieść kult św. Jana Pawła II". „New York Times" zawyrokował, że „Jan Paweł II zbyt szybko został ogłoszony świętym". W podobnym duchu wypowiedział się korespondent agencji Reutera w Watykanie.

Tę narrację powtarzać zaczęły niczym pudła rezonansowe media społecznościowe. Nim ktokolwiek zdążył przeczytać watykański tekst, już wiedział, co ma o nim myśleć. Medialne tuby wbijały ludziom do głowy przekonanie, że polski papież miał nieczyste sumienie, a więc nie może być autorytetem w sprawach moralnych. Uważna lektura raportu musi jednak prowadzić do odwrotnych wniosków. Dokument jest bowiem najlepszym dowodem na niewinność Jana Pawła II.

MISTRZ KAMUFLAŻU

Raport w sprawie McCarricka stanowi historyczny precedens, ponieważ nigdy jeszcze Stolica Apostolska nie ujawniła naraz tak wielu poufnych dokumentów dotyczących żyjących jeszcze ludzi, zajmujących ważne miejsca w życiu publicznym. Nigdy wcześniej nie ujawniała szczegółów dyplomatycznej kuchni na temat tak nieodległej przeszłości. Zbiory dokumentujące proces nominacji biskupów przechowywane w archiwach Kongregacji ds. Bisku-

eprasa.pl 65676c200f

pów pozostają zamknięte dla historyków i nie widział ich dotychczas nikt z zewnątrz. Dopiero w tym kontekście możemy zrozumieć wyjątkową decyzję Franciszka. Na jej podstawie możemy poznać dokładnie zasady kryjące się za wynoszeniem księży do godności biskupich.

W przypadku nominacji Theodore'a McCarricka wszystkie procedury konsultowania jego kandydatury zostały zachowane. Sprawdzono nawet plotki i pogłoski, jakie na jego temat dochodziły do Watykanu. Nie jest natomiast winą papieża, że przez ponad dwie dekady do Rzymu nie dotarła żadna informacja, która mogłaby położyć się cieniem na nieskazitelnym wówczas wizerunku amerykańskiego duchownego. Nie można też obwiniać Jana Pawła II, że został najpierw wprowadzony w błąd przez trzech biskupów z New Jersey, a następnie oszukany przez samego McCarricka.

Ten ostatni okazał się mistrzem kamuflażu, zdolnym wyprowadzić w pole nie tylko Ojca Świętego, lecz także przez kilkadziesiąt lat wodzić za nos współbraci w kapłaństwie, biskupów, dziennikarzy i polityków. Był znany, lubiany i ceniony w całych Stanach, grając rolę katolickiego celebryty. Z poufnymi misjami wysyłali go za granicę prezydenci USA, np. Bill Clinton do Chin czy Barack Obama na Kubę. Mimo to Secret Service nie wpadło na trop podwójnego życia dostojnika. W 2000 r. na wniosek Departamentu Stanu otrzymał nagrodę praw człowieka im. Eleanory Roosevelt. Podczas uroczystości jej wręczenia przemawiał osobiście prezydent Bill Clinton, który powiedział, że jest zaszczycony znajomością z McCarrickiem, dziękując za „jego oddanie wszystkim dzieciom Bożym". W 2004 r. kolejny prezydent George W. Bush powiedział: „Nie ma lepszej osoby w naszym kraju niż McCarrick. Jestem dumny, że mogę nazwać go przyjacielem. Jest porządnym człowiekiem". Jeszcze w 2009 r. Kongres USA poprosił go o przewodniczenie na Kapitolu modlitwom na inaugurację nowej kadencji.

Niczego na temat podwójnego życia dostojnika nie ustalili także dziennikarze śledczy trzech amerykańskich

Fot. East News

eprasa.pl 65676c200f

gazet „Boston Globe", „Washington Post" i „Washington Times", którzy prowadzili reporterskie dochodzenia, by sprawdzić krążące o nim pogłoski. Co więcej, w tych właśnie mediach występował wówczas jako ekspert ds. walki z pedofilią.

Pierwsze potwierdzone informacje o homoseksualizmie McCarricka dotarły do Watykanu w roku 2006, o jego pedofilii zaś dopiero w 2017 r. Jak zauważa dyrektor programowy mediów watykańskich Andrea Tornielli: „Z Raportu wynika, że zarówno w momencie pierwszego kandydowania na urząd biskupa (1977), jak i w momencie nominacji w Matuchen (1981), a następnie w Newark (1986), żadna z osób konsultowanych, aby uzyskać informacje, nie formułowała jakichkolwiek negatywnych opinii na temat postawy moralnej Theodore'a McCarricka".

W raporcie czytamy: „Większość informatorów, z którymi konsultowano się w trakcie procesu nominacyjnego, usilnie rekomendowała wyniesienie McCarricka do biskupstwa. Nikt nie zgłosił tego, by był świadkiem bądź też usłyszał doniesienia dotyczące zaangażowania McCarricka w jakiekolwiek niestosowne zachowania, tak co do dorosłych, jak i względem nieletnich".

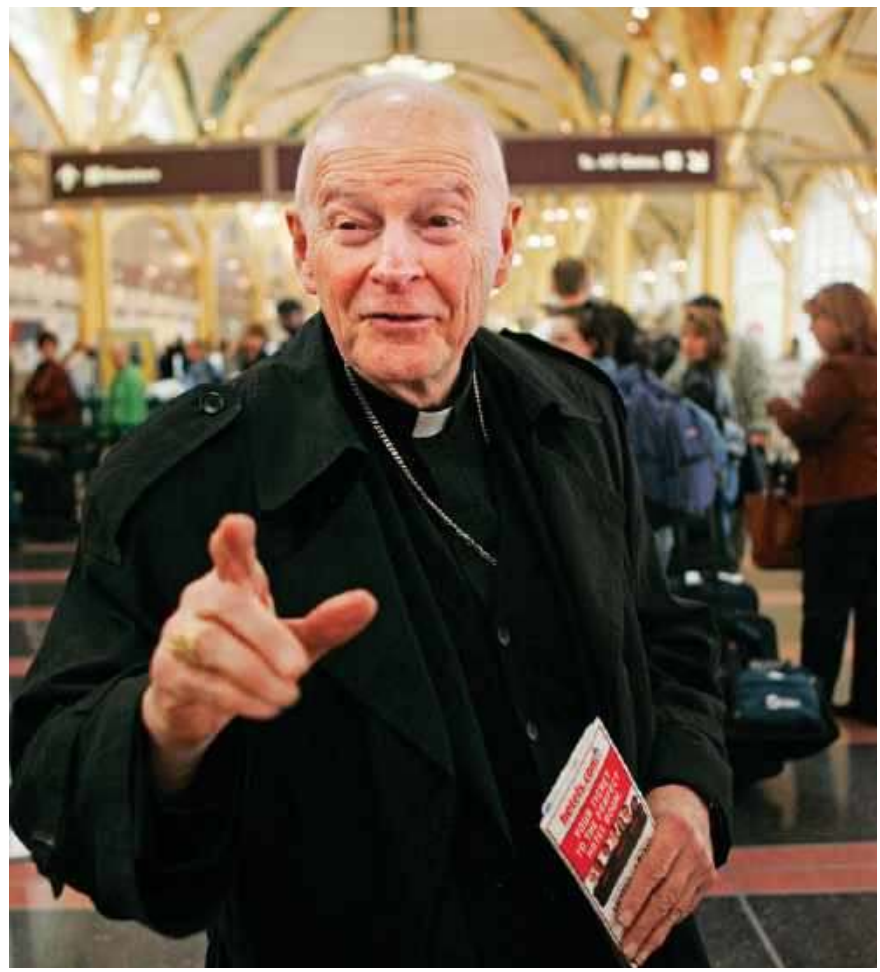

Fot. East News/MANUEL BALCE CENETA

Theodore McCarrick (na zdj.) okazał się mistrzem kamuflażu, zdolnym wyprowadzić w pole nie tylko Ojca Świętego, lecz także przez kilkadziesiąt lat wodzić za nos współbraci w kapłaństwie, biskupów, dziennikarzy i polityków

PAPIEŻ OFIARĄ MANIPULACJI OSZUSTA

Pierwsze pogłoski na temat niemoralnego postępowania McCarricka zaczęły dochodzić do Watykanu pod koniec XX w., gdy rozpatrywano jego kandydaturę na metropolitę Waszyngtonu. Przekazał je kard. John O'Connor z Nowego Jorku, wskazując trzy powody. Po pierwsze, powołał się na pewnego kapłana z diecezji Metuchen, który miał być świadkiem homoseksualnej relacji między McCarrickiem a innym księdzem. Po drugie, w latach 1992–1993 do amerykańskich biskupów wysłana została seria anonimowych listów oskarżających McCarricka o pedofilię. Po trzecie, McCarrick miał być znany z dzielenia swego łóżka z dorosłymi mężczyznami, w tym klerykami, w swych rezydencjach biskupich w Metuchen i Newark oraz w domku na plaży na wybrzeżu New Jersey. Pisząc o tym, kard. O'Connor zaznaczał jednak, że nie ma na to ani dowodów, ani zeznań złożonych na piśmie lub pod przysięgą.

Od maja do czerwca 2000 r. nuncjatura w USA prowadziła dochodzenie, by wyjaśnić tę sprawę. Okazało się, że kapłan z diecezji Metuchen oskarżający McCarricka sam jest pedofilem, na którym ciążyły zarzuty o wykorzystanie seksualne dwóch nieletnich. Nie uznano go więc za wiarygodnego świadka. Anonimowe listy nie znalazły z kolei potwierdzenia w innych źródłach. Nie dysponowano żadnym pisemnym świadectwem złożonym przez osobę poszkodowaną przez McCarricka. Trzech biskupów z New Jersey przyznało, że McCarrickowi rzeczywiście zdarzało się dzielić łóżko

eprasa.pl 65676c200f

z innymi mężczyznami podczas wypadów do domku letniskowego nad oceanem, jednak cała trójka stanowczo zaprzeczyła, jakoby dochodziło wówczas do relacji seksualnych. Ich zdaniem za mało było tam miejsc do spania. Dziś się okazuje, że relacje tych biskupów (jak czytamy w raporcie) były „niedokładne i niepełne". Innymi słowy wprowadzili nuncjusza w błąd.

Mimo to Jan Paweł II zdecydował, by usunąć nazwisko McCarricka z listy kandydatów do metropolii waszyngtońskiej. Zmianę sytuacji przyniósł utrzymany w dramatycznym tonie list, który McCarrick napisał w sierpniu 2000 r. do bp. Stanisława Dziwisza. W swym piśmie deklarował, że jest niewinny i przysięgał, iż nie utrzymywał „nigdy stosunków seksualnych z żadną osobą, ani z mężczyzną, ani z kobietą, ani z młodą, ani ze starszą, ani z duchownym, ani ze świeckim". Przyznawał, że owszem zdarzało mu się spać w domku w jednym łóżku z seminarzystami, co nazwał rzeczą „nieroztropną".

Jan Paweł II dał wiarę zapewnieniom hierarchy. Po przeczytaniu listu polecił dopisać nazwisko McCarricka do listy kandydatów, prosząc zarazem Kongregację ds. Biskupów, by jeszcze raz zbadała i zweryfikowała wszystkie zarzuty. Trwało to dwa miesiące. W tym czasie papież konsultował się z osobami, do których miał zaufanie, m.in. z abp. Agostinem Cacciavillanem, który w latach 1990–1998 był dyplomatą watykańskim w Waszyngtonie. Zaprzeczył on stanowczo oskarżeniom wobec McCarricka i rekomendował jego nominację. Podobnie wypowiedział się ówczesny prefekt Kongregacji ds. Biskupów, kard. Giovanni Battista Re, początkowo przeciwny kandydaturze McCarricka, który zmienił zdanie, uzyskując „pewność, że zarzuty są fałszywe". W tym czasie do Watykanu napływała cała seria listów od najważniejszych kardynałów i biskupów z USA, którzy popierali kandydaturę McCarricka na metropolitę Waszyngtonu, uznając go za najlepszą osobę na to stanowisko.

Nie mając żadnych dowodów winy McCarricka, papież dał wiarę jego zapewnieniom o niewinności. Miał jeszcze świeżo w pamięci sprawę kard. Josepha Bernardina z Chicago, który w 1993 r. został oskarżony o molestowanie kleryka w seminarium i stanął przed sądem. Później oskarżyciel przyznał, że oskarżenie zostało spreparowane, ponieważ chciał wyłudzić od diecezji odszkodowanie. Na decyzji papieża mogły też zaważyć jego osobiste doświadczenia z czasów komunistycznych, gdy służby specjalne próbowały skompromitować niektórych kapłanów za pomocą fałszywych oskarżeń. W efekcie w listopadzie 2000 r. McCarrick został mianowany arcybiskupem Waszyngtonu.

> Watykański raport w sprawie byłego kardynała Theodore'a McCarricka jest najlepszym dowodem na niewinność Jana Pawła II. Wbrew temu, co twierdzą liberalne media

O CO TOCZY SIĘ GRA

Amerykański myśliciel George Weigel ze zdumieniem zauważa: „Niełatwo jest zrozumieć, jak to się dzieje, że 449-stronicowy raport, który zawiera najdrobniejsze (i bolesne) szczegóły dotyczące seksualnego drapieżnika McCarricka, jego niezliczonych kłamstw, autopromocji i poważnych zdrad wobec tych, którzy obdarzyli go zaufaniem, zamienia się w opowieść o jednym z ludzi oszukanych przez McCarricka".

W oczach wielu komentatorów watykański raport zamienił się bowiem w jeden wielki akt oskarżenia przeciw Janowi Pawłowi II. Cała wina papieża sprowadza się jednak do tego, że dał się oszukać patologicznemu kłamcy, który przez dziesięciolecia skutecznie wodził za nos setki ludzi.

Nikt nie ma przecież patentu na to, by nie zostać oszukanym nawet przez najbliższych współpracowników. Podobna sytuacja przytrafiła się przecież niedawno samemu Franciszkowi, który przez długi czas celowo był wprowadzany w błąd przez swych zaufanych ludzi w Chile. To sprawiło, że uparcie bronił przed oskarżeniami o tuszowanie czynów pedofilskich bp. Juana Barrosa z diecezji Osorno. Dopiero później, gdy sprawa wyszła na jaw, oświadczył: „Popełniłem poważne błędy w ocenie i rozeznaniu sytuacji, zwłaszcza z powodu braku wiarygodnych i wyważonych informacji. Przepraszam wszystkich, których uraziłem".

Atak na Jana Pawła II nie wynika więc z chęci dochodzenia prawdy ani oddania sprawiedliwości. Jego celem jest zdyskredytowanie polskiego papieża jako osoby świadomie ukrywającej i tuszującej skandale pedofilskie, a więc pozbawienie go jakiegokolwiek autorytetu moralnego. Operacja dezinformacyjna wymierzona w jego wizerunek to potężne uderzenie w Kościół katolicki, którego nauczanie o rodzinie, małżeństwie, prawie naturalnym czy ochronie życia nienarodzonych opiera się właśnie na dziełach Jana Pawła II. Pozbawienie Karola Wojtyły dobrego imienia to krok na drodze do rozmontowania Magisterium, będącego dziś główną barierą dla przeprowadzenia nowej rewolucji obyczajowej.

Próba zniesławienia Jana Pawła II to także uderzenie w największy autorytet współczesnej Polski. Zniszczenie go oznaczałoby dla milionów ludzi dezorientację, upadek nienaruszalnych pewników i utratę życiowych punktów odniesienia, a więc rozbicie wspólnoty, której zwornikiem jest osoba papieża. Na zagubione i niepewne jednostki oraz masy łatwiej później wywierać wpływ i manipulować nimi.

Zarówno nauczanie moralne Kościoła, jak i katolicka Polska są dziś dla wielu wpływowych środowisk na świecie solą w oku i przeszkodą dla realizacji swojej polityki. Nic zaś nie prowadzi bardziej do ich osłabienia niż odebranie dobrego imienia Janowi Pawłowi II i zniszczenie pamięci o nim. O to toczy się gra.

eprasa.pl 65676c200f

Naszym największym wrogiem jest bierność

Część środowisk stara się aktywnie walczyć w obronie naszej cywilizacji. Ale wielu się uchyla. Partia świętego spokoju silna jest wśród polityków prawicowych, w Kościele, także w mediach konserwatywnych. Nie da się wygrać wojny o rząd dusz, nie podejmując walki

Michał Karnowski rozmawia z prof. Mieczysławem Rybą, historykiem z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego Jana Pawła II

Protesty pod szyldem Strajku Kobiet wyraźnie opadły, ale na murach budynków w naszych miastach i miasteczkach pozostały błyskawice, wulgarne hasła, slogany. Spróbujmy z pewnego dystansu odpowiedzieć na pytanie, z czym mieliśmy do czynienia? Jakie były przyczyny tego pokazu agresji, jakie będą konsekwencje?

Mieczysław Ryba: W intencjach liderek i liderów tego ruchu to nie miał być protest, ale rewolucja i wojna. Proszę zwrócić uwagę, że oni wprost stosowali retorykę bitewną, powtarzali: „To jest wojna!". Nie chcieli też budować żadnej przestrzeni dialogu, żadnych negocjacji. Gdy ktoś próbował rozmowy, słyszał wulgarne: „Wyp...ć". Kiedy to oglądałem, przypominała mi się Hiszpania z lat 30. XX w., to bardzo podobna retoryka. Ale oczywiście nie wszyscy uczestnicy tych protestów myśleli aż tak radykalnymi kategoriami jak przywódcy. Dla wielu było to odreagowanie ograniczeń związanych z epidemią, dla części sposób wyrażenia sprzeciwu wobec orzeczenia Trybunału Konstytucyjnego. Większość uczestników nie była jednak gotowa na zaproponowaną im przez liderki i liderów rewolucję fizyczną, na atak bezpośredni. Wszystko razem wpisało się jednak w wojnę kulturową, cywilizacyjną, wojnę o świadomość, która toczy się na całym świecie. Spór o to, jak młodzież będzie rozumiała świat, jakie cele sobie postawi.

Wojna została na pewno wydana wartościom konserwatywnym, chrześcijaństwu. Ale czy to nie jest wojna jednostronna? Wiele środowisk, które powinny brać udział w obronie, zachowuje się biernie.

Część środowisk rozumie, co się dzieje, i stara się aktywnie walczyć w obronie naszej cywilizacji. Ale wielu się uchyla. Partia świętego spokoju silna jest wśród polityków prawicowych, w Kościele, także w mediach konserwatywnych. Kłopot w tym, że żadnego spokoju nie będzie, co w trakcie tych protestów zobaczyliśmy w pełnym

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 65676c200f

świetle. Proszę przypomnieć sobie hasła, jakie tam padały, wykrzykiwane tam bluźnierstwa, ataki na świątynie, księży. Nie ma tu przestrzeni do dialogu, jest wypowiedzenie wojny. A nie da się wygrać wojny o rząd dusz, nie podejmując walki. Środowiska klasycznie konserwatywne na Zachodzie oraz Kościół tamtejszy przegrały tę wojnę nie dlatego, że nie miały racji, argumentów czy nawet poparcia, zasobów społecznych. One przegrały, bo w ogóle nie podjęły walki. W jakiejś mierze był to wynik kryzysu Kościoła posoborowego.

Mogło się to potoczyć inaczej?

Oczywiście. W latach 30. XX w. komunizm wydawał się wielu niemożliwym do zatrzymania pociągiem historii. Ale papież Pius XI wydał encyklikę „Divini redemptoris" – „o bezbożnym komunizmie" – i ostatecznie Kościół wygrał. Było mnóstwo prześladowań, wielu męczenników, ale ostatecznie komunizm nie zapanował na świecie. Bo był opór. Wobec neokomunizmu poza Polską i Węgrami tego oporu nie widać.

Ta potęga nowej ideologii, w której aktywnie biorą udział największe państwa, struktury ponadpaństwowe, potężne koncerny międzynarodowe, media, wielu jawi się jako paraliżująca. Siła przeciwnika jest przytłaczająca. Wielu zatem dochodzi do wniosku, że jedyne, co można robić, to nieco to opóźniać w prywatnym kręgu, szukać własnej niszy.

Czy siła przeciwnika w latach 50. i 60., kiedy głową Kościoła w Polsce był prymas Stefan Wyszyński, była mniejsza? Polska była wtedy pod panowaniem sowieckim, stacjonowały u nas sowieckie wojska, rząd był z sowieckiego nadania. Naród po II wojnie światowej był zmęczony, po części zdemoralizowany, po części zniewolony. Kiedy na Zachodzie pod koniec lat 60. dokonywała się rewolucja noemarksistowska, prymas Wyszyński kończył obchody Tysiąclecia Chrztu Polski, czyli realizował kontrrewolucję katolicką, wygrywał bitwę o rząd dusz. Z jego szkoły, 12 lat później, papieżem został Jan Paweł II i swoim oddziaływaniem doprowadził do ostatecznej klęski całego systemu komunistycznego.

Odpowiedział w ten sposób po latach na słynne pytanie Stalina: „Ile dywizji pancernych ma papież?".

Mamy wiele dowodów, że nie można w ocenie własnych szans bazować wyłącznie na matematycznie wyliczanej proporcji sił. Jeżeli się nie uwzględni siły ducha, na pewno się przegra już na starcie. Musimy pamiętać każdego dnia, że walczymy ze światem, który nie ma nic duchowego do zaproponowania, który jest nihilizmem. W pewnym momencie przegnije do tego stopnia, że w sposób rozpaczliwy będzie szukał pozytywnych punktów odniesienia, a więc twórczych, duchowo mocnych. To już może być bardzo niedługo.

> Kiedy pojawiły się pierwsze marsze tęczowe w Lublinie, mówiłem, że to dopiero początek, że to będzie przebiegało dużo ostrzej. I teraz też stawiam taką diagnozę: te akcje przybiorą jeszcze radykalniejsze formy, niż widzieliśmy ostatnio

To zatem trochę wyścig z czasem?

Też. Nie twierdzę, że naszym największym wrogiem są neomarksiści, targowica, zdrada. To wszystko zawsze nam towarzyszyło. Największym naszym wrogiem są defetyzm, bierność i słabość ducha. Proszę, żebyśmy umieli dostrzegać przykłady, jak wiele można zdziałać, jeśli się tym czynnikom nie poddamy. Na przykład środowisko Radiu Maryja. Gdyby patrzeć z perspektywy proporcji sił, układu okrągłostołowego, laicyzującego się społeczeństwa, to ojciec dyrektor Tadeusz Rydzyk nie miał prawa zbudować takiego ośrodka wzajemnej rozmowy Polaków. Na dodatek był potwornie atakowany, nazywany ekstremistą, mnożyły się donosy, także do Watykanu. Te kampanie nieraz miały charakter międzynarodowy. A jednak powstały i przetrwały radio, szkoła, telewizja i wiele innych dzieł. To też pokazuje, że musimy walczyć z własnym wygodnictwem, bo w wielu wypadkach opis wielkich niepokonanych sił stojących naprzeciwko służy jako łatwe uzasadnienie własnego lenistwa.

Zgoda, na Radiu Maryja wychowało się wielu dobrych katolików i patriotów. Ale też poczucie potęgi przeciwnika bierze się u wielu osób z poczucia, że wymykają się im dzieci, że porywa je „czarodziej smartfon", że maleje siła przyciągania dobra, patriotyzmu, wiary.

Nie polemizuję z tym. To jest zresztą cel przeciwnika, ci rewolucjoniści często mówili: „Nie poznacie własnych dzieci".

W Berlinie podczas Marszu dla Życia grupy LGBT krzyczały do obecnych tam polskich obrońców życia, że „wasze dzieci będą takie jak my".

Dokładnie. Dzieci czasami odchodzą, ale też często wracają – tylko muszą mieć do czego wrócić. Wiele odeszło, wiele wróci. Często bardzo poranieni, niestety, ale wrócą, bo tam szczęścia nie znajdą. Bez względu na wszystko my sami nie możemy więc się poddawać, rezygnować z obrony naszych wartości, udawać kogoś innego. Poza tym, jeśli sobie ten cel rewolucjonistów uświadomimy, nazwiemy go, łatwiej nam przeciwdziałać. Rodzice, wychowawcy, księża, mają obowiązek wskazywać zagrożenia. Martwimy się możliwością zakażenia wirusem, dbamy o zdrowe, ekologiczne jedzenie. A strawa duchowa ma być byle jaka? Inna sprawa: modna jest dzisiaj w niektórych kręgach wizja słodkiego katolicyzmu, który tę perspektywę

eprasa.pl 65676c200f

w ogóle pomija. Nie mówi się tam o grzechu, o piekle, o sprawach zupełnie podstawowych. To droga donikąd. Rolą ojca, duchowego czy w rodzinie, jest także wskazanie zagrożeń. Brak tego jest grzechem zaniechania, bo to jest tak, jakby mówić małemu dziecku, że świat jest cudowny i może robić, co chce, biegać, gdzie chce. Efektem będzie wypadek. W ogóle zniknęło gdzieś nam z pola widzenia nauczanie o karze boskiej. Mało które znaki, łącznie z epidemią, interpretujemy w ten sposób. A przecież Pan Bóg jest obecny w historii.

Rządy Zjednoczonej Prawicy walczą na tym froncie kulturowym, jak należy?

W wielu obszarach walczą, próbują zmieniać rzeczywistość. Ale wiele osób zadaje sobie pytanie, dlaczego tak długo trzeba było czekać, aby ministrem edukacji został prof. Przemysław Czarnek? Nie chodzi oczywiście o konkretne nazwisko, ale o ambicję zdiagnozowania kluczowych kwestii naszych uniwersytetów i szkół, o zapewnienie elementarnej wolności tym naukowcom, którzy nie chcą się zapisać do szkoły neomarksistowskiej. Doszliśmy do sytuacji, w której takie osoby zaczęły być prześladowane. Ale nie tylko uczelni to dotyczy. Profesorowi grożą wyrzuceniem z uczelni, gdy napisze coś przeciw lewicy, a przykładowemu hydraulikowi wywaleniem z pracy, gdy powie coś przeciw ideologii LGBT.

Ta presja idzie też w drugą stronę – dużo wielkich firm w czasie protestów organizowanych przez Strajk Kobiet wywierało na pracowników presję, by się przyłączyli.

Coraz częściej ten spór cywilizacyjny dotyka naszej osobistej wolności. Coraz częściej druga strona sięga po narzędzia administracyjne, przemocowe, bo nie jest w stanie wejść w konfrontację intelektualną na uczciwych warunkach. Proszę zwrócić uwagę: czy oni zapraszają np. prof. Czarnka czy innych konserwatystów do debaty? Nie. Organizują nagonki, wyszydzają, obrażają i zakrzykują. Bo dyskusję by przegrali.

Fot. Andrzej Wiktor

Jak powinniśmy reagować na sytuacje, w których z kręgów nominalnie katolickich, czasami także uczelni katolickich, wychodzą głosy demobilizujące albo wręcz opowiadające się po stronie przeciwnej?

Prymas Wyszyński też miał kłopot z tzw. księżmi patriotami, grupą opowiadającą się po stronie władzy, przez nią sterowaną, najczęściej szantażem, przekupstwem. Ta grupa też była chroniona z zewnątrz, niosła wielki ból dla Kościoła, była wielkim zgorszeniem. Jezus Chrystus miał Judasza, a apostołowie go zostawili. Trzeba zatem patrzeć na Kościół realnie, w perspektywie także historycznej, w której to wszystko już było. Ta zdrada też miewa różne wymiary, czasami jest pogubieniem intelektualnym, niekiedy skutkiem uwikłania w jakieś nieciekawe relacje, w tym homoseksualne. Z tym oczywiście trzeba walczyć, tak samo jak z patologiami instytucjonalnymi w Kościele. Ale to wszystko nie zmienia prawdy podstawowej – tego, że Kościół jest dla nas dobrem niewyobrażalnym.

Czy w pana ocenie te protesty po wyroku Trybunału Konstytucyjnego trwale nadwerężyły poparcie dla Zjednoczonej Prawicy?

Jeżeli prawica będzie starała się utrzymać jednolity kurs ideowy, to nie musi być trwałe. To przecież tylko jeden z czynników, z jakimi mamy w tym trudnym okresie do czynienia, z epidemią na czele. Ludzie są generalnie zmęczeni, często mają poczucie zablokowania, rząd też mógł popełnić tu jakieś błędy. Najważniejsze wydaje mi się zrozumienie, że takie akcje, jakie obserwowaliśmy, będą pod różnymi pretekstami ponawiane. Krajowi rewolucjoniści łamią generalną zasadę rewolucji neomarksistowskiej na Zachodzie, która polegała na bardzo drobnych krokach, rewolucjonizowano życie społeczne i kulturowe

eprasa.pl 65676c200f

w powolnym tempie. Kiedy pojawiły się pierwsze marsze tęczowe w Lublinie, mówiłem, że to dopiero początek, że to będzie przebiegało dużo ostrzej. I teraz też stawiam taką diagnozę: te akcje przybiorą jeszcze radykalniejsze formy, niż widzieliśmy ostatnio.

Nasi rewolucjoniści tak bardzo się spieszą?

Tak. Uznano na Zachodzie, że trzeba Polskę szybko zaorać ideologicznie, bo na horyzoncie już majaczy wizja neomarksistowskiego superpaństwa. To powoduje jednak, że popełniają błędy, takie jak zbytnia radykalizacja przekazu, a nie, jak na Zachodzie, stopniowe przyzwyczajanie do złych rzeczy. Podniesiono już rękę na mszę św., na księży, zdecydowano się na profanację, agresję. To wielu ludziom pokazało, o co naprawdę tutaj chodzi. Jeżeli będzie na to odpowiedź, odpowiednia polityka kulturowa w znaczeniu kształtowania ludzkiej wrażliwości i moralności, afirmacji tego, co najbardziej wartościowe, to straty można zminimalizować, zarówno w sferze społecznej, jak i politycznej. Proszę zwrócić uwagę, że pomimo tak silnej nagonki na Jana Pawła II ostatnie badania pokazują nadal wielki szacunek Polaków dla naszego papieża. Jest więc wobec czego się skupić, mówię o autorytecie i nauczaniu, a następnie poprowadzić zwycięską batalię. Polska może się stać wzorcem i punktem odniesienia dla tak pogubionego duchowo Zachodu, tylko musi tego chcieć.

Mamy tę przewagę, że widzimy już skutki społeczne tej rewolucji neomarksistowskiej, podobnie jak pamiętamy jeszcze generalnie wątpliwe uroki pierwszego komunizmu.

Jeżeli odrzuca się rozum i Pana Boga, to efekty nie mogą być dobre. Ale trzeba walczyć. Mamy w filozofii szkołę neomarksistowską, wszędzie promowaną. I mamy w Polsce szkołę neotomistyczną, najlepszą na świecie lubelską szkołę filozoficzną, która wydała Powszechną Encyklopedię Filozoficzną. Ale przez pięć lat nie można było się doczekać pomocy w przetłumaczeniu tego wspaniałego dzieła na język angielski. Ruszyło się w tej sprawie dopiero po objęciu funkcji ministra przez Przemysława Czarnka. W przestrzeni religijnej, a zarazem kulturowej, filozoficznej, mamy nauczanie Jana Pawła II, które promieniowało na cały świat. Trzeba je obronić przed kalumniami, można je promować. To są potężne działa, tylko pochowane w stodołach.

> Uznano na Zachodzie, że trzeba Polskę szybko zaorać ideologicznie, bo na horyzoncie już majaczy wizja neomarksistowskiego superpaństwa

Dlaczego Jan Paweł II jest tak mocno na celowniku? To jest serce narodu, naszej wiary i ktoś doszedł do wniosku, że musi je zniszczyć, zbrukać, żeby rewolucja szybko ruszyła naprzód?

Dokładnie tak. W optyce tych rewolucjonistów pomniki Jana Pawła II muszą zostać rozbite – i te materialne, i to nauczanie. Papież Polak bardzo szybko zdiagnozował, że cywilizacja śmierci atakuje przede wszystkim małżeństwo i rodzinę, że tego dotyczy spór. Rozbicie rodziny przez feminizm, demoralizację seksualną mężczyzn, rozerwanie więzi rodzicielskiej, aborcję i setki innych rzeczy zostało przez niego dostrzeżone i opisane. Zaproponował światu cywilizację życia. Nic dziwnego, że cywilizacja śmierci go atakuje, próbuje zohydzać. Bo jest dla niej niebezpieczny, bo jego nauczanie jest prawdziwe i dobrze odpowiada na wyzwania współczesności. Nie mam zatem cienia wątpliwości, że te ataki będą się powtarzały.

Czy w kontekście tej niecierpliwości rewolucjonistów można odczytywać próby wymuszenia na Polakach i Węgrach zgody na tzw. mechanizm praworządności, w rzeczywistości dźwignię, która ma wymusić na nas, bez demokratycznej zgody, rozmaite lewicowe reformy?

Ten mechanizm ma kilka celów: likwidację naszej podmiotowości politycznej i gospodarczej, tak byśmy nie wyskoczyli ponad pewien poziom, wymuszenie na nas wdrożenia ideologii LGBT, zlikwidowanie jednolitej struktury narodowej, którą dzisiaj mamy. To jest projekt wielowątkowy. Unijne superpaństwo, tworzone wbrew pierwotnym założeniom, nie ma na celu równego prawa dla wszystkich. Ma być centrum – Berlin, Paryż, Bruksela – i podporządkowane peryferia. Drugą stroną medalu jest projekt ideologiczny, który za tym stoi: już nawet nie liberalizm, nie postmodernizm, tylko konkretnie neomarksizm. Obchody 200-lecia urodzin Karola Marksa w Trewirze z udziałem ówczesnego szefa Komisji Europejskiej w 2018 r. nie były przypadkowe. Mamy czerwoną flagę w Europie i próbę budowania superpaństwa, które zepchnie nas na margines i przeprowadzi u nas rewolucję praktycznie rozkładającą wspólnotę. Tak jak chcieli to zrobić marksiści w czasach PRL.

Ma to wszystko wymiar polityczny, a co możemy zrobić w naszych rodzinach, wspólnotach?

Przede wszystkim łączyć się, organizować, być razem, działać. Jeżeli jesteśmy w środowisku ludzi myślących podobnie, to daje człowiekowi siłę i możliwość działania. Niezależnie, kim jesteśmy, co robimy, musimy być w jakiejś wspólnocie, wtedy jesteśmy silniejsi. Także dla naszych dzieci musimy tworzyć środowiska, w istocie alternatywną kulturę. Daje się im wtedy szanse dobrego życia, normalnej dyskusji, dobrego męża, żony, bo największym problemem ludzi o konserwatywnych poglądach jest presja otoczenia, które często żąda, by uznać szaleństwo i zło za normalność. Nie, to my bronimy prawdy, dobra i normalności.

eprasa.pl 65676c200f

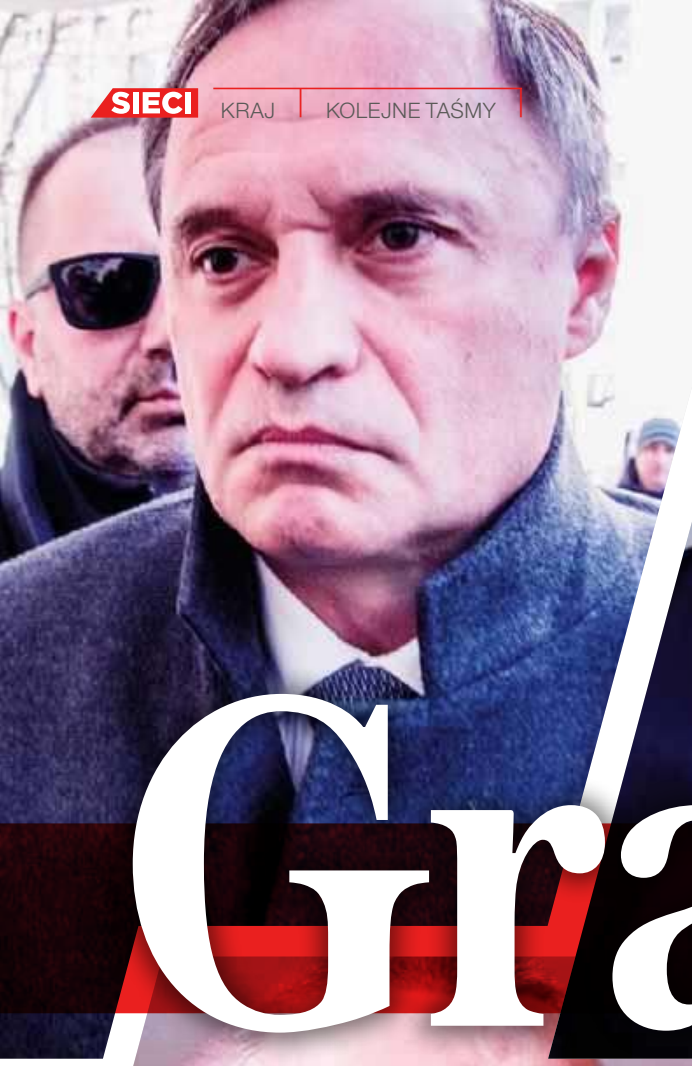

Gracze

Jeden plasował się wśród najpopularniejszych polskich adwokatów, drugi – w ścisłej czołówce biznesu. Jeden już usłyszał prokuratorskie zarzuty, drugi ucieka przed prokuraturą, by tego uniknąć. Jeden pracuje dla drugiego, i odwrotnie. Bronią się w ten sam sposób – próbują się wykreować na ofiary polityczne

MAREK PYZA MARCIN WIKŁO

rasa:5676c200f

„Ja się niczego nie boję. Moją pierwszą pracą było wyławianie trupów. To hartuje na całe życie" – w ten sposób, zdaniem naszych rozmówców, Leszek Czarnecki lubi roztaczać wizję siebie jako człowieka, którego nie da się złamać. Jeden z najbogatszych Polaków, z równie wielkimi sukcesami w biznesie bankowym, jak i w swojej największej pasji – nurkowaniu. To do niego należy kilka światowych rekordów, m.in. w najdłuższym przebywaniu pod wodą – w Meksyku spędził pod powierzchnią prawie 10 godzin.

Jednak w ostatnim czasie wcale nie sprawiał wrażenia twardego ani wyluzowanego. – Gdy przed kilkoma miesiącami ostatnio się widzieliśmy, robił dobrą minę do złej gry. Powiedziałbym raczej, że był przerażony. Na jego twarzy zauważyłem rany, prawdopodobnie od nerwowego drapania. Rozbiegany wzrok. Nawet się trochę o niego zaniepokoiłem – słyszymy od znajomego biznesmena. – Poprzednio był tak zaniepokojony po wybuchu afery GetBack, pod koniec 2018 r., gdy Idea Bank zaczął mieć poważne kłopoty, ludzie masowo wypłacali pieniądze. Leszek wynajął wtedy chyba wszystkie dostępne na rynku bankowozy, a i tak nie nadążał z wożeniem gotówki z oddziału do oddziału.

Jak dodaje, to co bankier zrobił w ostatnim czasie, jest dowodem paniki i przekonania, że czas bezkarności już się dla niego skończył. Chodzi o przekazanie swojemu pełnomocnikowi Romanowi Giertychowi nagrania fragmentu rozmowy z Adamem Hofmanem, kiedyś rzecznikiem PiS, a dziś piarowcem obsługującym m.in. Czarneckiego.

GRA GIERTYCHA

„Gazeta Wyborcza" pisze o „misji Monako" Adama Hofmana. Ma z tego wynikać, że chodzi o jednorazowy „strzał", zatrudnienie u Leszka Czarneckiego człowieka, który dobrze zna Zbigniewa Ziobrę i nie zawaha się tej relacji użyć, by biznesmenowi pomóc. Będziesz płacił Michałowi Krupińskiemu, byłemu prezesowi Pekao SA, przyjacielowi brata prokuratora generalnego, to on załatwi ci złagodzenie kursu śledczych wobec twoich problemów. Byłoby to przestępstwem, które nazywane jest „powoływaniem się na wpływy". No właśnie, byłoby, gdyby treść ujawnionej przez Giertycha taśmy była jednoznaczna. A nie jest.

Niespełna dwuminutowe nagranie jest tak przycięte, że trudno się do niego odnieść i przyznać komukolwiek rację. Może być tak, jak twierdzi Giertych. Adam Hofman i Robert Pietryszyn, wspólnicy z agencji doradczej, rzeczywiście chwalą kompetencje i znajomości Michała Krupińskiego w kręgach politycznych PiS. Ale gdzie dowód, że to oni, jak twierdzi Roman Giertych, przychodzą z korupcyjną propozycją do Czarneckiego? Czy nie jest odwrotnie – że to bankier prosi o pomoc? To z kolei wersja, którą forsują w oświadczeniu Hofman i Pietryszyn. Wyjaśniają, że, po pierwsze, współpracowali z Czarneckim i jego bankami od kilkunastu miesięcy, a po drugie, pomysł zatrudnienia doradcy wyszedł od niego. „W czasie trwania współpracy doszło do co najmniej kilkudziesięciu spotkań z przedstawicielami obsługiwanych podmiotów, w tym wielokrotnie, osobiście z samym Leszkiem Czarneckim. (...) 24 lipca 2020 roku Leszek Czarnecki w trakcie jednego ze spotkań poprosił o znalezienie eksperta – doradcy z zakresu bankowości, jak to określił – »z drugiej strony«". Ostatecznie do współpracy Czarneckiego z Krupińskim nie doszło, z różnych powodów ten drugi się wycofał.

Roman Giertych poinformował, że fragment rozmowy upublicznił za zgodą swojego klienta Leszka Czarneckiego. Trudno uznać to za normę w biznesie, skoro z doradcami wiązała bankiera umowa NDA (non-disclosure agreement – umowa poufności). W branży bankowej, w której kluczowe są umowy i zaufanie, to poważne nadszarpnięcie reputacji i być może blokada na przyszłość. Dlaczego więc Leszek Czarnecki zdecydował się na tak desperacki krok? Ciekawe, czy sam na to wpadł, czy podpowiedział mu to prawnik, który od dawna jest na wojennej ścieżce z PiS? Bo w tym momencie ta sprawa na linii bankier – państwo polskie ma już robić się polityczna. Czy Czarneckiemu, podobnie jak Giertychowi, marzy się status „pierwszego politycznego więźnia reżimu PiS"?

GRA HOFMANA

Reakcja mediów zazwyczaj sprzyjających każdemu przedsięwzięciu, którym można uderzyć w PiS, dowodzi, że Giertych wystrzelił z kapiszona. Na posterunku zostaje w zasadzie tylko „Gazeta Wyborcza", która z pasją dystrybuuje sensacje dostarczone przez mecenasa. Sugestia gazety jest jasna: chodzi o sklejenie sprawy z partią rządzącą poprzez wmieszanie w nią „byłego rzecznika PiS" (od 2014 r. poza partią, od 2015 r. poza czynną polityką), który rzekomo składa korupcyjne propozycje w imieniu polityków Zjednoczonej Prawicy.

Oczywistością jest, że polityczna przeszłość w obozie PiS Hofmanowi w obecnej pracy musi bardzo pomagać. Zna się dobrze i osobiście z wieloma ważnymi dziś osobami w państwie, a w PR kontakty to przecież podstawa. Ale to jeszcze nie przestępstwo, co sugeruje „GW". Intryga jest jednak zbyt ordynarna. Jedyne, co w niej nowego i poniekąd zaskakującego, to fakt, że Adam Hofman od wielu miesięcy pracował dla Leszka Czarneckiego. Wydawałoby się, że nic ich nie powinno połączyć, że w sympatiach politycznych i towarzyskich są na bardzo odległych biegunach. Ale, jak widać, ten dystans da się zniwelować odpowiednim wynagrodzeniem za świadczone usługi.

Tak działa branża PR. Gigantyczne zlecenia, podróże po całym świecie, negocjacje z osobami, z którymi w innych sytuacjach byłoby się być może śmiertelnymi wrogami. Umiejętność stłumienia odruchu odrzucenia, który powinna powodować propozycja współpracy od kogoś, kto w aktach bezpieki figuruje jako TW „Ernest", a w stanie wojennym podejmuje współpracę z wywiadem PRL. Nie da się dla niego pracować? Pomagać mu w kryzysach wizerunkowych i komunikacyjnych jego banków? Da się. Przyznaje to Adam Hofman, który w TVN24 powiedział, że uwzględniając warunki brzegowe, czyli „Nie kłamiemy, nie oszukujemy, nie kradniemy", jego firma jest w stanie wykonać każde zlecenie i dla każdego. Cyniczne? Być może. Opłacalne? Na pewno.

Fot. Andrzej Wiktor, Jacek Domiński / Reporter, Michał Woźniak/East News

eprasa.pl 65676c200f

GRA CZARNECKIEGO

18 września warszawska Prokuratura Regionalna potwierdziła krążącą od kilku dni informację o zamiarze postawienia Leszkowi Czarneckiemu zarzutów w związku z aferą GetBack. „Działając wspólnie i w porozumieniu z innymi osobami, naraził Idea Bank na odpowiedzialność odszkodowawczą wobec oszukanych klientów banku w wysokości co najmniej 123,5 mln zł oraz odpowiedzialność administracyjną związaną z nałożeniem kar finansowych przez KNF w wysokości 80 mln zł oraz UOKiK do 10 proc. wartości obrotu banku. (...) Wyrządził również bankowi szkodę majątkową wielkich rozmiarów w wysokości ponad 7 mln zł stanowiącą wartość uwzględnionych, wypłaconych reklamacji klientów" – czytamy w komunikacie śledczych. Za takie przestępstwa grozi 15 lat więzienia.

Trzy dni później głos w sprawie zabrał prokurator generalny. – Zachodziły wszelkie przesłanki, by wystąpić z wnioskiem o areszt, jeśli sąd się za tym opowie, zostanie wystawiony list gończy – mówił Zbigniew Ziobro. Przebywający od wielu miesięcy za granicą biznesmen miał już wtedy pewność, że nie powinien pojawiać się w Polsce. Wyjechał jesienią 2018 r. do USA. Jak podawały media, ma się starać o amerykańskie obywatelstwo. Spekuluje się, że jego celem jest uniknięcie ekstradycji w przypadku wydania listu gończego.

Jak się okazało, prokuratura skierowała wniosek o areszt już w sierpniu br. Pierwotnie aresztowe posiedzenie sądu zostało wyznaczone na 16 października. Zostało jednak przesunięte dokładnie o miesiąc z powodu spektakularnej niedyspozycji Romana Giertycha (po jego zatrzymaniu w związku ze śledztwami ws. wyprowadzania pieniędzy ze spółek Ryszarda Krauzego). 15 listopada, dzień przed planowaną rozprawą, Giertych ujawnił wycięty fragment rozmowy Czarneckiego z Hofmanem i Pietryszynem.

Na co liczą biznesmen i jego pełnomocnik? Czy takie chwyty mogą pomóc uniknąć odpowiedzialności za wciskanie klientom toksycznych papierów wartościowych windykacyjnej spółki? Obligacje GetBacku poprzez Idea Bank nabyło blisko 2 tys. osób. Przeznaczyły na nie 731 mln zł (spośród 3 mld, jakie 10 tys. osób wydało w różnych instytucjach finansowych). Według śledczych klienci Idea Banku byli „systemowo wprowadzani w błąd co do bezpieczeństwa zainwestowanych środków, właściwości nabywanego instrumentu finansowego i jego ekskluzywności".

Akta postępowania liczą kilka tysięcy tomów. Jak ujawnił portal wPolityce.pl, znajdują się wśród nich zeznania kadry menedżerskiej Idea Banku obciążające Czarneckiego. Zarzuty w całej aferze usłyszało już kilkanaście osób, a część majątku wrocławskiego biznesmena została zabezpieczona przez prokuraturę. Ma chodzić o równowartość co najmniej kilkudziesięciu milionów złotych.

W jednym z pobocznych wątków podejrzanym jest Igor Janke, były dziennikarz i twórca platformy salon24.pl, a dziś partner w agencji R4S. Według śledczych naraził on GetBack na stratę w wysokości ok. 0,5 mln zł. W tamtym czasie Janke miał pomagać GB kontaktować się z menedżerami państwowych firm. Z windykacyjną firmą współpracował też Salon24 oraz think tank Instytut Wolności, którego były dziennikarz jest współtwórcą i szefem. Część faktur wystawionych przez podmioty Jankego miała opiewać na „nieuzasadnione, zbyt wysokie kwoty". Janke odpiera zarzuty jako „absurdalne" i twierdzi, że sam jest ofiarą GetBack.

DLA KOGO TVN24?

Jest jeszcze jeden nowy medialny wątek tej sprawy – rzekoma próba przejęcia stacji TVN24. Mec. Giertych 14 listopada tak opisał ją na Facebooku: „Czarneckiemu przedstawiono koncepcję udziału w projekcie wykupienia stacji TVN24. Władza uznała, że Czarnecki jest osobą, która mogłaby być zaakceptowana przez akcjonariuszy TVN, gdyby zdecydowali się na sprzedaż swojego kanału informacyjnego. Koncepcję tę przedstawiono przed wyborami prezydenckimi. Twierdzono, że pomysł przejęcia stacji TVN24 został ustalony z premierem Mateuszem Morawieckim podczas jego prywatnego spotkania z osobą, która później przedstawiła ofertę Czarneckiemu. Po ewentualnym przejęciu stacji proponowano dostarczanie reklam ze spółek skarbu państwa, a po pewnym czasie wykup stacji przez spółki skarbu państwa za kwotę wielokrotnie wyższą od ceny zakupu. Leszek Czarnecki oferty nie przyjął". Jakie przedstawił dowody na potwierdzenie swojej opowieści? Żadnych. Ale temat faktycznie pojawił się w rozmowach Czarneckiego z Hofmanem. Tyle że – jak twierdzi ten ostatni – był to pomysł bankiera. – Było zupełnie odwrotnie. To sam nasz klient mówił o takiej możliwości w najbliższym czasie przy okazji dużej transakcji, o potencjalnej swojej roli, że być może byłby tym zainteresowany i pyta nas o zdanie – mówił były polityk na antenie TVN24. Tę wersję może uprawdopodabniać fakt, że Leszek Czarnecki dobrze zna się z Davidem Zaslavem, szefem koncernu Discovery, do którego należy grupa TVN. Obaj panowie mają niedaleko siebie rezydencje na południu USA. Jeśli więc amerykański właściciel chciał się pozbyć z portfolio informacyjnej stacji, polski biznesmen mógł się o tym dowiedzieć od przyjaciela z Florydy. Oficjalnie amerykański koncern temu jednak zaprzecza. W jego oświadczeniu czytamy: „Discovery nie wiedziało o żadnych planach dotyczących TVN24 opisanych przez Romana Giertycha ani nie uczestniczyło w rozmowach dotyczących sprzedaży stacji".

Mecenas, którego prokuratura chętnie widziałaby za kratkami, i miliarder, którego imperium mocno się sypie, są w tej grze dodatkowo zmotywowani. Są w stanie postawić wiele, by uciec od zarzutów karnych, a w oczach ludzi stać się tylko przeciwnikami politycznymi PiS. Dla salonu III RP to niemal bohaterstwo. A to tam wciąż mają najwięcej wpływowych przyjaciół. To ryzykowna gra, bo duże pieniądze lubią ciszę, a obaj panowie postanowili głośno faulować.

Gdy ktoś zbyt często gra nieczysto, nie chcesz go mieć w swojej drużynie ani nawet przebywać z nim na tym samym boisku.

eprasa.pl 65676c200f

Awantura o dotacje

Czy potrzeby kultury można mierzyć za pomocą algorytmu? Chyba nie. Bo algorytm, choćby najbardziej wyrafinowany, nie zastąpi ludzkiej wrażliwości i wyobraźni. Dowodzi tego gwałtowna burza, jaka wybuchła po rozdzieleniu 400 mln zł z Funduszu Wsparcia Kultury

KONRAD KOŁODZIEJSKI

Fot. Baranowski/IAKPA, Julita Szewczyk x2

Fundusz Wsparcia Kultury miał udzielić pomocy środowiskom artystycznym, które zostały poszkodowane w wyniku ograniczeń spowodowanych przez pandemię. Idea w założeniu była słuszna. Chodziło o to, aby branża: nie tylko twórcy i wykonawcy, lecz także cały wspomagający ich personel mógł przetrwać trudne czasy.

Twarzą przedsięwzięcia był wicepremier i minister kultury Piotr Gliński. Poinformował on, że rządową pomocą zostali objęci zarówno freelancerzy, jak i etatowi pracownicy instytucji kultury, organizacji pozarządowych oraz firm socjotechnicznych, a także działających „w obszarze tańca, teatru i muzyki". Rekompensaty miały objąć nie więcej niż 50 proc. strat poniesionych od marca do grudnia br. Do rozdzielenia między potrzebujących było 400 mln zł. Ostatecznie pieniądze przyznano ponad 2 tys. zainteresowanych: instytucjom i artystom, którzy poprawnie złożyli wnioski.

FALSTART

W piątek 13 listopada Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochwaliło się sprawnym przydziałem środków, jednak ta data okazała się feralna, bo zamiast spodziewanego aplauzu wybuchła burza. Analiza opublikowanej w internecie listy beneficjentów pomocy była bowiem zaskakująca. Znalazły się wśród nich firmy, których zaliczenie w poczet instytucji kultury mogło budzić uzasadnione wątpliwości. Niektórzy z kolei

eprasa.pl 65676c200f

wnioskowali o indywidualne wsparcie, co – biorąc pod uwagę dość wysokie kwoty przyznanych im dotacji – wskazywało, że trafią one wyłącznie na ich prywatne konta. Bywało też tak, że taką indywidualną pomoc otrzymywali – występujący jako oddzielne firmy – członkowie rodziny, np. mąż będący popularnym muzykiem i jego żona występująca w roli impresaria.

W rezultacie opinia publiczna doszła do wniosku, że spora część udzielonej pomocy nie trafi do najbardziej poszkodowanych, lecz do zaradnych kombinatorów, którzy cudzym kosztem postanowili podwyższyć swoje – i tak już duże z punktu widzenia przeciętnego obywatela – dochody.

Zostało to odebrane jako szczególnie krzywdzące, zwłaszcza że w warunkach pandemii tysiące osób potraciło dochody i nie ma najmniejszych szans na podobne potraktowanie. Wicepremier Piotr Gliński początkowo nie docenił skali oburzenia i próbował drwić z zarzutów stawianych mu zarówno z lewej, jak i prawej strony. Ostatecznie jednak przyznał, że trzeba zweryfikować kryteria i nakazał wstrzymanie wypłat.

ZŁE KRYTERIA

Zgodnie z przyjętymi przez resort kultury kryteriami wysokość dotacji uzależniono od wykazanego przez wnioskodawcę spadku dochodów w ujęciu rok do roku. W naturalny sposób uprzywilejowywało to tych twórców, którzy najlepiej zarabiali i którzy – z powodu wysokich dochodów przed nastaniem pandemii – wcale nie byli w najgorszej kondycji finansowej. Ci, którym wiodło się gorzej, bo np. uprawiali niszowe dyscypliny sztuki, nie mogli liczyć na takie wsparcie, jak gwiazdy disco polo. W rezultacie – jak wyliczył Patryk Słowik, publicysta Bezprawnika i „DGP" – zaledwie 8,33 proc. beneficjentów programu zgarnęło niemal połowę (46 proc.) całej przyznanej przez ministerstwo pomocy.

Kolejną poważną wątpliwość wzbudziło promowanie tych instytucji i firm, które w trakcie pandemii nie zwolniły pracowników. Choć takie założenie wydaje się słuszne, a wicepremier podkreślał, że rządowe pieniądze nie są przeznaczone dla pojedynczych osób, lecz dla „całych zespołów ludzi, którzy z dnia na dzień utracili środki do życia", to rzeczywistość okazała się bardziej pogmatwana. Przyjęte zasady zostały bowiem dość sprytnie wykorzystane przez osoby prowadzące jednoosobową działalność gospodarczą. Dotyczyło to m.in. aktorów i muzyków zatrudnianych na firmę oraz rozmaitych menedżerów kultury. Takie osoby spełniały formalnie warunki (bo przecież nie mogły nikogo zwolnić z wyjątkiem siebie samych), więc otrzymywały całość pomocy do swojej kieszeni. Rzecz jasna otrzymanych pieniędzy nie można było wydać na cokolwiek, ale – w praktyce – trudno byłoby udowodnić ich niewłaściwe wykorzystanie. Wystarczyło, by artysta zadeklarował, że z części wypłaci sobie utraconą pensję, a inne przeznaczy na konieczne wydatki, np. na jakiś nowy sprzęt niezbędny do prowadzenia działalności zawodowej (a wiadomo, że takim sprzętem może być teoretycznie niemal wszystko: od telefonu począwszy, poprzez oprogramowanie, na samochodzie skończywszy).

Tymczasem mądrzej byłoby – jak wskazują liczni komentatorzy – promować wnioskodawców według liczby zatrudnionych, czyli im więcej masz pracowników, na tym wyższą dotację masz szansę. Przy czym powinni to być pracownicy na stałych umowach. W przeciwnym razie nie zawsze ci, którzy korzystają z pracy ekip technicznych, np. muzycy, podzielą się z ekipami otrzymanymi środkami i wypłacą im pieniądze. Oczywiście nie należy z góry zakładać nieuczciwości, wielu artystów z pewnością zadba o swój personel, jednak – z drugiej strony – dość powszechną praktyką jest doraźne najmowanie ekip, np. na czas koncertu. Gdy koncertów nie ma, to nie ma też żadnych umów ani zarobku. A teraz przecież jest pandemia.

Może być również jeszcze inaczej. Jak napisał na Facebooku lider Perfectu Grzegorz Markowski, jego zespół nie otrzyma żadnych pieniędzy (zresztą – jak pisze – nawet o to nie wnioskował), za to trafią one do agencji impresaryjnej reprezentującej Perfect, która – bez wiedzy zespołu – złożyła wniosek o 500 tys. zł. „Chciałbym wszystkich zainteresowanych poinformować, że pieniądze te nie są dla mnie ani dla członków zespołu, techników, całego naszego teamu. To pieniądze wyłącznie dla manager Perfectu i jej agencji" – napisał Markowski. Czy taką dotację dla agentki można nazwać pomocą dla artystów? Raczej nie, zwłaszcza że w tym konkretnym przypadku twórcy o żadną pomoc nie zabiegali.

NIE TYLKO ALGORYTM

Gdy już przetoczyła się pierwsza fala oburzenia, wicepremier Gliński przyznał w rozmowie z Radiem Wnet, że przy przyznawaniu pomocy rzeczywiście mogło dochodzić do „pewnego typu sytuacji, które wydają się bulwersujące ze społecznego punktu widzenia", i przeprosił opinię publiczną. Jednak winą obarczył niewłaściwy algorytm przydzielania dotacji. „To jest wsparcie, które trochę szło z automatu" – wyjaśnił. Dodał, że „nie ma możliwości weryfikacji każdego wniosku". „Nawet jeśli jakiś celebryta na tym zarobi, to nic na to nie poradzę" – stwierdził.

Jednak sprawa nie może być sprowadzona wyłącznie do błędnego algorytmu czy kwestii technicznych. Bo choć minister chciał uniknąć zarzutów o jakąkolwiek stronniczość, to należało przewidzieć, że w warunkach ostrego sporu politycznego silne emocje i tak są nieuniknione. Zwłaszcza gdy chodzi o relatywnie duże pieniądze i osoby publiczne. Nic więc dziwnego, że w gwałtownej awanturze, jaka wybuchła wokół dotacji, wicepremier nie znalazł obrońców.

Wyborcy z prawej strony czuli się rozżaleni, że rekompensaty dostają osoby, które wcześniej ostro atakowały rząd. W mediach społecznościowych sprowadzało się to do sarkazmu, że najlepszym sposobem na uzyskanie dotacji jest założenie koszulki z napisem „j...bać PiS", bo wtedy rząd chętnie sypnie kasą. Wiele emocji wzbudziła Krystyna Janda, która jeszcze niedawno narzekała, że w pisowskiej Polsce czuje się tak, „jakby ktoś na nią srał", a teraz wyciągnęła do rządu ręce po wsparcie. Fundacja aktorki dostała dla swoich teatrów 1,8 mln zł, ale Janda i tak była niezadowolona, bo wniosko-

eprasa.pl 65676c200f

wała o prawie 6 mln. I choć jej fundacja spełniła formalne wymogi, to jednak trudno – z drugiej strony – dziwić się rozgoryczeniu prawicowego elektoratu, którego wrażliwość i poglądy są regularnie piętnowane i wykpiwane przez liberalnie zabarwiony artystyczny mainstream, w tym również przez samą Jandę.

Na to wszystko nałożył się jeszcze czynnik ekonomiczny. Wyborcy PiS to w większości ludzie słabo zarabiający, często beneficjenci programów pomocowych lub z trudem spinający domowe budżety drobni przedsiębiorcy i rolnicy. Trudno im było pojąć, że „ich rząd", tak kiedyś wrażliwy społecznie, przekazuje nagle spore pieniądze na rekompensaty dla całkiem zamożnych elit biznesu artystycznego.

Emocje w mediach społecznościowych były niekiedy tak silne, że niektórzy – po przejrzeniu nazwisk beneficjentów pomocy i przekazanych im sum – deklarowali, że czara goryczy już się przelała i więcej na PiS nie zagłosują. I nawet jeśli te głosy były skutkiem chwilowego uniesienia, to nie powinno się ich lekceważyć. W oczach coraz bardziej zniechęconego elektoratu prawicy program wsparcia kultury okazał się po prostu kolejną wizerunkową klapą.

Wicepremier Gliński podkreśla, że w skali całej pomocy celebrytów było niewielu. Ma rację, ale jako doświadczony polityk powinien wiedzieć, że ludzi takim argumentem nie przekona. Wystarczy bowiem, że było ich kilku. Nieźle zarabiających, którzy dostali od rządu środki, o których przeciętny wyborca PiS nie może nawet marzyć. A nie po to taki wyborca udziela poparcia rządowi, aby czuć się wystawiony do wiatru.

DEKLARACJA BOJKOTU

Oczywiście można tutaj przyjąć założenie, że kultura wymyka się podziałom politycznym. Artysta jest wolny w swojej twórczości i nic nie powinno go ograniczać. Pełna zgoda, tyle że to od dawna w Polsce (i nie tylko u nas) nie działa. Artyści – zwłaszcza ci z głównego nurtu – czują przymus politycznego zaangażowania. Deklaracja wiary w liberalne świętości jest dziś biletem wstępu do artystycznych elit. Jeśli więc ktoś zniszczył niezależność kultury, to przede wszystkim zrobili to sami zaangażowani artyści. Obecny minister kultury, choćby nawet nie chciał tego zauważać i starał się zachować największy obiektywizm, jest i tak stroną w sporze. I to stroną wrogą.

Dobrze ujął to Kazik Staszewski z Kultu. „My od tych... (z trudnością powstrzymujemy się od użycia wulgaryzmu) nic nie chcemy" – napisał na Facebooku, sugerując wcześniej, że przyjmowanie pomocy od rządu jest niestosowne, bo są inne grupy – bardziej potrzebujące wsparcia, a pieniądze, które oferują rządzący, zostały wcześniej „ukradzione" innym uczciwie pracującym ludziom. Oświadczenie Kazika można przyjąć jako manifest liberała (nie ma rządowych pieniędzy, są tylko ukradzione obywatelom) albo jako reklamę najnowszej płyty (Kazik apeluje, aby ludzie pomogli jego zespołowi, kupując nowy album). Można ją jednak również odczytać jako deklarację bojkotu pisowskiej władzy oraz przestrogę dla tych, którzy od niej biorą pieniądze.

> Jeśli ktoś w obozie rządowym się łudził, że zdoła wypracować wspólną platformę z artystycznym establishmentem lub zaskarbić sobie jego wdzięczność, to chyba czas, aby porzucił tę nadzieję

Być może stoi za tym obawa, że w trudnych czasach jakaś część artystów jednak się ugnie i „da się przekupić reżimowi". Nie przypadkiem przecież większość artystycznych elit w Polsce – wyłączywszy wyjątki w rodzaju wspomnianej już Krystyny Jandy – zachowała dystans wobec pomocy ze strony rządu. Ma to wywołać wrażenie, że z oferty PiS gotowi są korzystać jedynie pazerni koniunkturaliści i beztalencia. Dość charakterystyczne było tu nagłośnienie reakcji Sławomira Świerzyńskiego, lidera discopolowego zespołu Bayer Full (łącznie 550 tys. zł pomocy), na oświadczenie Kazika, w którym Świerzyński drwił sobie z Kultu, przechwalając się, że jego zespół sprzedał łącznie – dość niewiarygodną raczej liczbę – 17 mln płyt.

Czy chciałbyś stać w jednym szeregu ze Świerzyńskim? – zdają się pytać każdego wahającego się artystyczne elity.

Jeśli ktoś w obozie rządowym lub w jego okolicach łudził się, że zdoła dziś wypracować jakąś wspólną platformę z artystycznym establishmentem czy zaskarbić sobie jego wdzięczność, to chyba czas, aby porzucił tę nadzieję.

POWRÓT DO KORZENI

Czy oznacza to zatem, że skoro żadna marchewka nie działa, to trzeba użyć kija? Albo że trzeba – machnąwszy ręką na wszelkie skrupuły – pomagać tylko tym, którzy są lojalni lub przynajmniej zachowują neutralność wobec rządu? Nie. Bo w ten sposób rządząca prawica jedynie utrwaliłaby narzucone przez drugą stronę polityczne podziały w kulturze.

Zamiast tego należy ze znacznie większą ostrożnością rozstrzygać problemy. W tym konkretnym przypadku przyjęto złe kryteria udzielania pomocy. Być może lepiej byłoby wyłączyć z niej biznes rozrywkowy, te wszystkie zespoły discopolowe, aktorów grających w reklamach oraz firmy, które kulturę mają tylko w nazwie i skupić się na instytucjach nienastawionych wyłącznie na zysk. Nikogo nie oburzyłaby chyba dotacja dla – przykładowo – Warszawskiej Opery Kameralnej.

Przede wszystkim jednak należałoby wrócić do pisowskich korzeni i przypomnieć sobie o zasadzie, że pomoc w pierwszej kolejności należy się najbardziej poszkodowanym i najsłabiej zarabiającym. Tu tego zabrakło. Algorytm, choćby najbardziej wyrafinowany, nie zastąpi przecież ludzkiej wrażliwości i wyobraźni.

eprasa.pl 65676c200f

Zakiwana Konfederacja

Część zwolenników Konfederacji otwarcie pyta, czym obecnie ona jest, po czyjej stronie stoi, z czym albo z kim i o co walczy oraz dokąd zmierza

STANISŁAW JANECKI

W sondażu IBRIS dla wp.pl (z 15 listopada 2020 r.) Konfederację popierało zaledwie 2,3 proc. badanych. W sondażu United Surveys dla RMF FM i „Dziennika Gazety Prawnej" (z 2 listopada 2020 r.) poparcie dla Konfederacji wynosiło jeszcze 4,9 proc. W badaniu CBOS (z 9 października) Konfederacja miała 8,1 proc. poparcia. Najlepsze notowania miało to ugrupowanie w sondażu Social Changes dla wPolityce.pl (z 21 października) – aż 12 proc. (trzecie miejsce wśród partii). Nie wspominając o zabawie portalu Polityka w Sieci (z końca października 2020 r.), gdzie uwzględniano sympatie na Twitterze, a wtedy Konfederacja miałaby nawet 284 mandaty w Sejmie (PiS – 21). Po sondażu IBRIS (2,3 proc. poparcia) jeden z liderów Konfederacji, Krzysztof Bosak, powiedział, że to „typowa korekta po rosnącym od dwóch lat poparciu". A inny lider, Robert Winnicki, mówił: „Nie uważam, żeby taki spadek był możliwy. [...] Dla nas jedyny sondaż to wybory. W ostatnim zdobyliśmy 1,2 mln głosów".

Niezależnie od tego, czy mówimy o „korekcie sondażowej" czy „niemożliwym" spadku, Konfederacja coś straciła. Jedni mówią, że straciła urok „rebeliantów", drudzy, że siłę przyciągania jako „prawdziwa prawica", inni, że zawiodła w czasie politycznej gorączki ostatnich tygodni (nie wiedząc, jak się zachować). Jeszcze inni uważają, że sama się zakiwała, wysyłając w czasie owej politycznej gorączki sprzeczne komunikaty i zachowując się raz jak „ciamciaramcia", raz jak radykałowie, a jeszcze innym razem ignorując nastroje większości społeczeństwa.

ZA, A NAWET PRZECIW

To, że w co najmniej dwóch sondażach Konfederacja spadła poniżej progu wyborczego, nie wynika tylko ze strat całego obozu konserwatywnego spowodowanych rozhuśtaniem społecznych emocji przez lewicę i innych zawodowych rewolucjonistów działających na ulicy. A wszystko to w związku z pretekstem, jakim było orzeczenie Trybunału Konstytucyjnego w sprawie tzw. aborcji eugenicznej. Po stronie obrońców życia Konfederacji w tamtych dniach zabrakło, a przynajmniej nie było jej słychać, choć w czasie kampanii wyborczej w 2019 r. była to jedna z najważniejszych kwestii programowych. Konfederacja zarzucała rządzącej Zjednoczonej Prawicy, że zdradziła środowiska pro-life i boi się jakiegokolwiek ruchu, np. w kwestii zakazania aborcji eugenicznej. Konfederacja się nie bała. A kiedy na ulice wyszły tłumy żądające wręcz aborcji na życzenie, politycy ugrupowania gdzieś się zapadli. Nie było też ich słychać, gdy protestujący atakowali kościoły i duchownych. Słychać było Stowarzyszenie Marsz Niepodległości, które powołało Straż Narodową chroniącą kościoły. Podobne działania zapowiadała Młodzież Wszechpolska, ale efektów nie było widać. Przez część sympatyków prawicy politycy Konfederacji byli wtedy oskarżani nawet o tchórzostwo. Krzysztof Bosak tłuma-

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 65676c200f

czył, że „część wyborców Konfederacji nie widziała, że jesteśmy konserwatystami, że jesteśmy pro-life". Ale jak mieli wiedzieć, gdy w najgorętszym czasie protestów zabrakło wyraźnego głosu polityków Konfederacji? Gdzie wtedy demonstrowali swój konserwatyzm? W domach? Przed telewizorami? Politycy Konfederacji wcale jednoznacznie nie wsparli działań na rzecz ochrony życia w momencie największych ataków aborcjonistów. A już całkiem zagadkowa jest wypowiedź Krzysztofa Bosaka w wp.pl, że „znaczna część naszych wyborców tego wyroku [TK] nie popiera". Nie popiera zakazu aborcji eugenicznej? To na czym polega bycie pro-life?

Gdy podczas Marszu Niepodległości doszło do burd, Konfederacja umyła ręce, wręcz odcinała się od marszu. Bosak mówił w wp.pl, że „Marsz Niepodległości firmuje Stowarzyszenie Marsz Niepodległości, a nie my". I zdystansował się „wobec wszystkich tych awantur, do których doszło". Wcześniej środowiska tworzące Konfederację uważały się wręcz za współorganizatorów marszów. W Stowarzyszeniu Marsz Niepodległości zaczęto mówić o nielojalności. Pojawiły się też pytania, kto właściwie zaprosił na marsz grupy kibiców, nad którymi straż marszu nie była w stanie zapanować. I część tych pytań była kierowana do Konfederacji. Na marszu doszło do awantur, więc politycy Konfederacji się od niego odcięli. Poza tym był przecież nielegalny. Ale wcześniej nie odcinali się od protestów przedsiębiorców, mimo że takie zgromadzenia też były nielegalne. W dodatku dochodziło podczas nich do przepychanek i utarczek z policją, co oczywiście jako konserwatyści potępiali. To znaczy potępiali policję, co z konserwatyzmem ma średni związek. Liderzy Konfederacji na tamtych protestach brylowali i uważali się za największych obrońców przedsiębiorców. Podobnie było z protestami rolników, organizowanymi głównie przez Agrounię Michała Kołodziejczaka. Wszystko odbywało się z lekceważeniem zakazów i sanitarnych obostrzeń, ale przecież wolni ludzie żadnym ograniczeniom nie podlegają, tym bardziej że to wszystko ściema i spiski, a pandemia nie istnieje.

PYCHA WOLNOŚCIOWCÓW

Politycy Konfederacji długo pandemii zaprzeczali (niektórzy nadal to robią) i właściwie do dziś kwestionują wszystkie przyjęte zakazy i ograniczenia. Ale obrona antycovidowych teorii spiskowych i negowanie istnienia pandemii mogą Konfederacji wyrządzać większe szkody, niż przynosić korzyści. Bo jakieś korzyści i zwolenników jednak przynoszą. Nawet wtedy, gdy politycy Konfederacji, np. poseł Artur Dziambor (wcześniej lekceważąco się wypowiadający o pandemii i środkach walki z nią), trafiają do szpitala wskutek COVID-19 i ciężko chorują. Już nie chodzą wprawdzie po Sejmie bez maseczek, co wcześniej było nagminne, ale traktują to jak nieuzasadniony przymus. To lekceważące podejście do ograniczeń obowiązujących wszystkich raczej Konfederacji zwolenników nie przysporzyło. A tym bardziej wyśmiewanie zakazów oraz pozowanie na nietykalnych (przez wirusa) i nieśmiertelnych. Takie zachowania są jednak uznawane za przejaw pychy i megalomanii, choć oczywiście niektórym się podobają jako „wolnościowe" i nonkonformistyczne. Przeważa jednak ocena negatywna, wynikająca przede wszystkim z nieodpowiedzialności i demonstrowanego braku związku z przeciętnymi ludźmi, którzy na takie „wolnościowe" zachowania nie mogą sobie pozwolić.

> Kiedy na ulice wyszły tłumy żądające wręcz aborcji na życzenie, politycy Konfederacji gdzieś się zapadli. Nie było też ich słychać, gdy protestujący atakowali kościoły i duchownych

Konfederaci nigdy nie odcięli się od prorosyjskich sympatii niektórych swoich liderów, np. Janusza Korwin-Mikkego czy Grzegorza Brauna, nawet w czasie gdy znacząco wzrosła w Polsce aktywność rosyjskich służb i agentów wpływu. A wzrosła w związku z pandemią oraz ulicznymi protestami, które zawsze są dobrym pretekstem do prowadzenia wojny hybrydowej, choćby na niewielką skalę. Konfederacja zdaje się tego problemu w ogóle nie dostrzegać. Tak jak niektórzy politycy tego ugrupowania zdają się impregnowani na to, że ich rosyjscy rozmówcy są funkcjonariuszami tajnych służb Putina i nic nie robią bezinteresownie. Inna sztandarowa kwestia programowa Konfederacji z czasów kampanii wyborczej, którą skrótowo można określić jako amerykańską ustawę 447 (o rekompensatach za pożydowskie tzw. mienie bezspadkowe), kompletnie zawiodła. Miała grozić Polsce żądaniami idącymi w setki miliardów dolarów, tymczasem nic takiego się nie działo. Administracja Donalda Trumpa pozwoliła na jakieś drobne uwagi ze strony Departamentu Stanu, ale ta sprawa dotychczas nie stała się tym, co politycy Konfederacji przedstawiali jako jedno z największych zagrożeń dla Polski.

Mamy więc z jednej strony całkowite lekceważenie zagrożeń ze Wschodu, a z drugiej – demonizowanie tego, co zagrożeniem się nie okazało (przynajmniej na razie). Nawet najbardziej zakochani wyborcy muszą te sprawy dostrzegać. Tak jak zapewne dostrzegają, że Konfederacja coraz wyraźniej zbiera owoce swego kunktatorstwa: w żadnej ważnej sprawie dziejącej się w ostatnich tygodniach nie zajęła jednoznacznego stanowiska. W krótkim czasie, gdyż od wyborów parlamentarnych minął przecież dopiero rok, politycy Konfederacji wystrzelali się z najcięższej swojej amunicji. W efekcie umacniają wizerunek raczej ugrupowania bezideowego i walczącego z wiatrakami niż konserwatywnego i podejmującego najważniejsze kwestie. To stara się robić kandydat Konfederacji na prezydenta Krzysztof Bosak, ale wydaje się osamotniony. Po różnych ostatnich woltach albo zaniechaniach część zwolenników Konfederacji otwarcie pyta, czym obecnie jest to ugrupowanie, po czyjej stronie stoi, z czym albo z kim i o co walczy oraz dokąd zmierza. A odpowiedzi na te pytania wcale nie są proste. Stąd coraz powszechniejsza opinia, że Konfederacja sama się zakiwała i nie wie, jak z tego wyjść.

eprasa.pl 65676c200f

Michał Boni

Jak upiec pieczeń przy Strajku Kobiet

Monika Płatek

Same demonstracje proaborcyjne dogorywają, ale Rada Konsultacyjna powołana przez Strajk Kobiet zdaje się rozkwitać. Polityczni wyrzutkowie wracają do gry, weterani III RP żyrują inicjatywę, a młodzi dostają bilety do międzynarodowej kariery

JAKUB AUGUSTYN MACIEJEWSKI

Już 5 listopada, ledwie cztery dni po powołaniu Rady Konsultacyjnej Strajku Kobiet, owe gremium zaliczyło potężną wpadkę wizerunkową. 20-letnia Nadia Oleszczuk w rozmowie z Beatą Lubecką w Radiu Zet zaprezentowała się jako osoba bez kompetencji, osiągnięć, mająca trudności ze złożeniem zdania w języku polskim, wreszcie sama przyznała, że miejsce w Radzie odstąpił jej partner Jan Zygmuntowski. „Ale myślę, że to w tym przypadku nie ma znaczenia [...] myślę, że mogę być, że zostałam wybrana, to miejsce zostało mi odstąpione dlatego, że reprezentuję komisję młodych i nie chodzi tu o żadne powiązania, po prostu nie było osoby, która by była również młoda, była kobietą i chciałaby po prostu przyjąć to miejsce" – stwierdziła Oleszczuk. Internauci mieli ubaw z jej wyznań o przepracowaniu jednego dnia w barze wege czy nierozumienia pytań dziennikarki – ale kto się śmieje, ten się śmieje ostatni.

Nadia Oleszczuk, na mapie aktywistów społecznych zupełnie nieistniejąca, nazajutrz po powołaniu Rady Konsultacyjnej zyskała w anglojęzycznej Wikipedii swoją notkę. To rzecz tak niespotykana, że trzeba ją uwydatnić – 20-latka bez osiągnięć stała się dla całego świata czołową przedstawicielką ulicznej opozycji, a w jej biogramie jest nawet opis jej „dzieciństwa i edukacji", niczym u jakiejś postaci historycznej czy legendy Solidarności. Anglojęzycznego biogramu w Wikipedii nie ma Krzysztof Wyszkowski, Joanna Duda-Gwiazda czy bohaterka Armii Krajowej – Lidia Lwow-Eberle, tymczasem hagiograficzne opisy w tym głównym dla wielu liderów opinii źródle informacji mają tacy członkowie Rady Konsultacyjnej jak: Katarzyna Pikulska, Aleksandra Kaczorek, Dominika Lasota czy Sebastian Słowiński. Jeśli oto w ciągu jednego–dwóch dni bardzo młodzi ludzie znikąd stają się oficjalnymi dla reszty świata bohaterami wolności, to znaczy że Rada Konsultacyjna – w Polsce traktowana z przymrużeniem oka – ma jednak do odegrania ważną rolę. Za granicą.

MŁODZI DO KARIERY

Powołana 1 listopada Rada Konsultacyjna liczy 20 osób, które można podzielić na trzy grupy: politycznych nieudaczników, których partie polityczne wypluły z głównego obiegu, weteranów III RP, którzy legendują się koneksjami z ludźmi „okrągłego stołu", i właśnie młodych ludzi, którzy gdzieś tam przemknęli przez lewicowy mainstream. Katarzynę Pikulską możemy kojarzyć ze strajku rezydentów jako wygadaną młodą lekarkę, ostatnio krytykującą działania rządu w sprawie pandemii. Dominika Lasota ma 18 lat, za sobą częściową edukację w brytyjskim liceum oraz uczestnictwo w programie stypendialnym Yale Young Global Scholars. W czerwcu 2020 r. zasłynęła jako uczestniczka Młodzieżowego Strajku Klimatycznego, czyli stania na chodniku przed kancelarią premiera. Ola Kaczorek, członek zarządu Stowarzyszenia Miłość Nie Wyklucza,

Fot. Andrzej Wiktor

Fot. Adrian Grycuk/CC BY-SA 3.0-pl/Wikimedia Commons

eprasa.pl 65676c200f

wydaje się spośród młodych aktywistek rady najbardziej przygotowana do działalności społecznej – od lat jest działaczką feministyczną i LGBT. Pracowała w różnych miejscach w Warszawie (w mediach społecznościowych podaje m.in. pracę w przedszkolu czy w salonach manicure), a podczas samego strajku sceptycznie podchodziła do wulgarnych okrzyków i agresji. Konserwatystom trudno byłoby się zgodzić z jej poglądami, ale na tle pozostałych uczestniczek rady prezentuje się jako rasowy działacz, a nie przylepiony do politycznego gremium listek figowy. Sebastian Słowiński ma 22 lata i sam siebie przedstawia jako poetę i działacza LGBT, jest członkiem Studenckiego Komitetu Antyfaszystowskiego, czyli grupy studentów Uniwersytetu Warszawskiego, którzy zajmują się głównie wyzywaniem innych od faszystów – to oni podczas inauguracji roku akademickiego próbowali zakłócić wizytę prezydenta Andrzeja Dudy.

Czy naprawdę ludzie ze Strajku Kobiet uważają, że takie życiorysy wystarczą, by reprezentować wielotysięczne demonstracje uliczne w rozmowach z rządem RP? Nic bardziej oczywistego, że nie o żadne konsultacje tu chodzi, zwłaszcza gdy znajdziemy wspólny mianownik drugiej grupy członków.

STARZY ODRZUCENI

Próbowali swoich sił w polityce, w wyborach, w marszu przez instytucje – oszukali ich bardziej wyrobieni partyjniacy, towarzysko-biznesowe układy, mainstreamowe media. Prof. Monika Płatek, Paweł Kasprzak, Piotr Szumlewicz, a zwłaszcza sama Marta Lempart mieli w ostatnich dwóch latach swoje nieudane epizody wyborcze, Michał Boni zaś był ministrem w rządzie Donalda Tuska. Każde z nich zaliczyło dotkliwą porażkę w wyborach – w zeszłym roku Boni utracił mandat europosła, prof. Płatek nie doczekała się odstąpienia miejsca w europarlamencie przez Roberta Biedronia, a pozostała trójka bezskutecznie kandydowała do Sejmu czy Senatu. Mamy więc dwoje ludzi związanych z lewicą i dwóch panów krążących po orbicie Platformy Obywatelskiej – ich polityczne nadzieje nie rokowały dobrze, dopóki pod koniec października nie ruszyła społeczna fala sprzeciwu wobec wyroku Trybunału Konstytucyjnego. Członkostwo w Radzie Konsultacyjnej okazało się zaproszeniem in blanco do lewicowo-liberalnych mediów – i tak zapomniany Michał Boni powrócił jako gość do Tok FM, a wypowiedzi prof. Płatek znowu odnotowują „Gazeta Wyborcza" czy Onet. To zresztą dość wymowna zapowiedź konwergencji Lewicy i PO, bo jakimi wartościami różnią się liberałowie i lewicowcy, skoro Boni i Lempart mogą zasiąść przy tym samym stole i mówić jednym głosem?

ZBoWiD III RP

W radzie jest i trzecia grupa działaczy, świetnie nadających się jako żyranci nowej, politycznej inicjatywy. Druga żona Jacka Kuronia, Danuta, działaczka Solidarności Barbara Labuda, która była ministrem w Kancelarii Prezydenta za czasów Aleksandra Kwaśniewskiego, czy Beata Chmiel, wiecznie przedstawiana jako „asystentka Tadeusza Mazowieckiego" z... 1989 r. – to postacie, które tłumów nie porwą, ale mają legitymizować środowisko jako antyautorytarna przeciwwaga dla obecnej władzy. Zwłaszcza że nazwa rady, jej symbolika i gesty marketingowe na konferencjach prasowych są imitacją białoruskiej Rady Koordynacyjnej, w której Maryja Kolesnikowa, Swiatłana Cichanouska i Wieranika Cepkała zasiadają do kontaktu z mediami po jednej stronie stołu, pokazując rękami charakterystyczne gesty: Marta Lempart i Klementyna Suchanow robią tak samo.

INSTRUKTORKA Z MIĘDZYNARODÓWKI

Właśnie – Suchanow. To ona jest mózgiem protestów i ich długofalowych założeń. Swoją strategię wyłożyła w książce „To jest wojna", której tytuł nieprzypadkowo stał się jednym z głównych okrzyków podczas protestów ulicznych. Sztandarowe dzieło polskiego feminizmu to przede wszystkim łączenie wszystkich swoich przeciwników z Rosją i Putinem, od Instytutu Ordo Iuris, Stowarzyszenia Piotra Skargi, przez Prawo i Sprawiedliwość, po duchownych katolickich. Ale jest też drugi filar koncepcji Suchanow – feministki muszą działać jak międzynarodówka, a w Polsce – kopiować rozwiązania zachodnie. Aktywistka uważnie odnotowuje np. antykościelne wystąpienia w Hiszpanii i adaptuje je do tutejszych realiów. Z uznaniem opisuje akcję Femenu, której członkinie w 2014 r. weszły do madryckiej katedry i zakłóciły modlitwę wiernych. Powód? Debata nad zaostrzeniem aborcji. Brzmi znajomo?

Ten sam mechanizm zakłócania mszy św. obserwowaliśmy ostatnio w Polsce. I tak oto podpatrywanie koleżanek z innych części świata udoskonala strategię – Suchanow obserwuje np., że łagodna postawa kobiet wobec policji pilnującej marszu w Berlinie nie przynosi rozgłosu i popularności. Wyciąga wnioski, że trzeba postępować bardziej stanowczo i agresywnie. I znowu – brzmi znajomo?

SKŁÓCONE KRÓLESTWO

„Aktywizm podnosi poziom adrenaliny i uzależnia" – wspomina Suchanow w swojej książce. Widać, jak odnajduje się w roli przywódcy wiecowego – swobodnie przeklina do megafonu, spontanicznie zmienia kierunki marszu, potrafi nagle skierować tłum na ruchliwą Trasę Łazienkowską. Gdy pisała, że najbardziej ranią ją ataki własnego środowiska, jeszcze nie wiedziała, że Michał Szutowicz „Margot" oskarży ją o „przemoc o podłożu seksualnym". W skrajnie lewicowych środowiskach trudno zresztą o zgodę i jedność. Gdy pytam ją na jednym z pochodów, czy w tłumie są jeszcze inni członkowie Rady Konsultacyjnej, wzrusza ramionami: „Skąd mam wiedzieć?" – rzuca. Idący z tyłu protestu Piotr Szumlewicz tkwi z nosem w smartfonie, ludzie wokoło nawet nie wiedzą, że to przecież jeden z ich liderów.

Jako grupa występują jedynie oficjalnie, na co dzień niewiele ich łączy, działają zupełnie osobno – trzyma ich jednak ta sama drabina politycznej kariery, z nadzieją na jej zagraniczną odsłonę. Czy tysiące młodych ludzi skandujących: J...ć PiS", wie, kogo do tej drabiny na swoich plecach podsadza?

eprasa.pl 65676c200f

Dylemat wagonika

Nie jest dopuszczalna sytuacja, w której gdy lekarz musi decydować o życiu pacjenta, kieruje się statusem zawodowym, pozycją społeczną czy wiekiem

Z Adamem Skowronem, etykiem z Centrum Medycznego Kształcenia Podyplomowego, rozmawia Aleksandra Jakubowska

GOŚĆ JAKUBOWSKIEJ

Lekarze, składając przysięgę Hipokratesa, deklarują w niej przeciwdziałać cierpieniu i zapobiegać chorobom, a chorym nieść pomoc bez żadnych różnic. Jest też Kodeks etyki lekarskiej, ale kwestie, jak się zachowywać w czasie wojny czy pandemii, czasie zupełnie wyjątkowym, są w nim pominięte. Jak w takich sytuacjach powinny wyglądać relacje między dobrem ogółu a dobrem jednostki?

Adam Skowron: Czym innym jest etyka zdrowia publicznego, a czym innym lekarska dotycząca konkretnych pacjentów. W Polsce nie opracowano dotychczas jednolitego kanonu zasad etycznych, który odnosiłby się do zdrowia publicznego. Czas wojny i czas pandemii to sytuacje wyjątkowe, które pokazują, że te zasady moralne, które wypracowaliśmy do tej pory np. w ramach Kodeksu etyki lekarskiej, choć wydają się słuszne, w takiej wyjątkowej sytuacji mogą do niej jednak nie przystawać.

Które zasady kodeksu nie pasują do dzisiejszej sytuacji?

Kodeks etyki lekarskiej mówi wprost, że lekarz powinien rozpocząć leczenie pacjenta dopiero po jego bezpośrednim zbadaniu. Sytuacje, w których taka porada może być udzielona na odległość, są wyjątkami. Tymczasem w dobie pandemii bezpośrednie badanie zostało zastąpione przez teleporady. Sytuacja pandemiczna jest na tyle dynamiczna, że cały czas powinniśmy się zastanawiać, czy dotychczasowe zasady etyki lekarskiej są aktualne, czy przystają do sytuacji, którą mamy teraz. Czy nie jest tak, że pandemia ujawnia różne dylematy moralne, z którymi lekarz czy też pracownik Ministerstwa Zdrowia do tej pory nie mieli do czynienia? I tu chyba tym najbardziej fundamentalnym dylematem jest pytanie: co ważniejsze – zdrowie publiczne czy gospodarka? Czy zamknąć wszystko, zrobić lockdown i w ten sposób uchronić część społeczeństwa przed zakażeniem i śmiercią, czy też jednak pozwolić gospodarce się rozwijać, ale z zagrożeniem, że ludzie będą chorować.

Ale to jest dylemat polityków. Lekarze mają zupełnie inne. Chyba najbardziej ekstremalnym przykładem było to, co się działo na początku pandemii w Lombardii, kiedy lekarze musieli decydować, kto ma żyć, a kto umrze, wtedy kiedy liczba respiratorów była tak ograniczona, że stawali oni przed takim tragicznym wyborem.

I tutaj mamy do czynienia ze słynnym dylematem wagonika, bo tak naprawdę większość dylematów moralnych, także tych niezwiązanych z etyką lekarską, można do tego sprowadzić, czyli do sytuacji, w której można wybrać mniejsze zło. Eksperyment myślowy z wagonikiem polega na tym, że przedstawiamy sytuację, w której jedzie wagonik, i nie wiemy, jak jest nastawiona zwrotnica i na który z trzech torów go skieruje. Wyobraźmy sobie, że jeżeli skręci w lewo, to zabije bezdomnego alkoholika. Może też pojechać prosto, ale zabije matkę z dwojgiem dzieci, może wreszcie pojechać w prawo, zabijając wówczas pięciu zdrowych mężczyzn. Jest jeszcze szansa, aby podbiec do tej zwrotnicy i ją przestawić. Co zrobić w takiej sytuacji? Badania pokazują, że ponad 90 proc. ludzi chce, aby przestawić zwrotnicę w stronę bezdomnego alkoholika. Ale czy jest to moralne wyjście z tej sytuacji? Wybór mniejszego zła to nadal jest wybór zła.

Czasami jednak takich wyborów trzeba dokonywać. Czym się wtedy kierować?

Posłużę się pewnym przykładem ze Stanów Zjednoczonych. Przywieziono do szpitala bezdomnego narkomana, którego ktoś mógłby nazwać „nieprzydatnym dla społeczeństwa". Podłączono go do jedynego w tej placówce respiratora. Kilka minut później do tego samego szpitala przywieziono z wypadku lekarza, który kiedyś był w nim ordynatorem, osobę powszechnie znaną i szanowaną, i miał on nawet trochę większe szanse na

eprasa.pl 65676c200f

przeżycie. I teraz rodzi się dylemat moralny – czy odłączyć bezdomnego od respiratora i dać go drugiemu pacjentowi? Oczywiście nie, to jest bardzo niemoralne. Co tu jest jedynym prawidłowym z moralnego punktu widzenia rozwiązaniem? Otóż należy zdać się na los. Los tak chciał, że akurat osoba bezdomna dostała ten respirator, ten drugi mężczyzna miał po prostu mniej szczęścia.

A jeśli lekarz ma wielu pacjentów, tak jak w Bergamo w Lombardii?

Oczywiście w takiej sytuacji lekarz kieruje się różnymi kryteriami, np. tym, kto ma większe szanse na przeżycie. Natomiast nie jest dopuszczalna sytuacja, w której gdy lekarz musi decydować o życiu pacjenta, kieruje się statusem zawodowym, pozycją społeczną czy wiekiem. Bankier, ale i sprzątaczka, która pracuje w jego banku, mają takie samo prawo do przeżycia. Równe prawo mają także starcy i młodzieńcy, a to, że jedni są u kresu życia, a drudzy dopiero na początku, nie może w żadnym razie stanowić kryterium.

W czasie pandemii ludzkie postawy bywają ekstremalne, od bohaterstwa do tchórzostwa. Obserwujemy przykłady naprawdę heroicznej walki lekarzy o życie chorych, poświęcenie, wielu z nich choruje, niektórzy przypłacają to życiem. A z drugiej strony docierają do nas informacje o postawach naznaczonych negatywną energią – lękiem, chęcią ucieczki, nawet odmowy udzielenia pomocy. Ludzie są wystawiani na bardzo ciężką próbę.

To dlatego, że we współczesnej Europie nie mieliśmy doświadczenia z podobną pandemią – ostatnia, z którą można by ją porównać, czyli pandemia grypy zwanej hiszpanką, wystąpiła w latach 1918–1920. Problem więc polega na tym, że nie jesteśmy gotowi na takie zdarzenia. Sytuacja graniczna zawsze człowieka zaskakuje i nigdy nie wiadomo, jak się wtedy zachować. Są przecież lekarze, którzy nie myśleli o sobie jako o doktorach Judymach, ale jednak ta pandemia w nich to wyzwoliła. Oczywiście możliwe są też inne postawy, ale ich wspólnym mianownikiem jest zmiana dotychczasowego zachowania.

Dlaczego tak się dzieje?

Jak powiedziałem, nie mieliśmy jako społeczeństwo okazji przećwiczyć się w tego typu sytuacjach. Te wszystkie dylematy, o których rozmawiamy, są albo względnie nowe, albo dzieją się w skali, z jaką nie mieliśmy do tej pory do czynienia. Owszem, może zdarzało się wcześniej, że lekarz musiał wybrać, komu dać ostatni dostępny respirator, ale nigdy nie miało to tak powszechnego charakteru jak w Lombardii.

Dla nas największą wartością jest nasze życie, chcemy być zdrowi, patrzeć na to, jak dorastają nasze dzieci i wnuki, i przychodzi taki moment, kiedy trzeba się zastanowić, czy warto to wszystko, co chronimy, poświęcić w imię tej wartości, jaką jest życie innych ludzi. Myślę, że w wielu przypadkach, kiedy pracownicy ochrony zdrowia biorą zwolnienie lekarskie albo nie chcą się stawić do pracy, albo odmawiają pomocy, właśnie ta potrzeba ochrony siebie i rodziny jest znacznie większa niż chęć służenia swoją wiedzą i pomocą innym. Czy należy to potępiać? Czy to nie jest z osobistego punktu widzenia zachowanie normalne?

Nie jesteśmy lekarzami, pielęgniarkami czy ratownikami medycznymi, nie jesteśmy na pierwszej linii frontu, patrzymy więc na to z perspektywy obserwatora. Łatwo wtedy o pochopne i niesprawiedliwe oceny. Lekarz, który musi wybrać, czy leczyć zarażonych koronawirusem, czy chronić swoją rodzinę, ma zupełnie inną perspektywę, do której nie mamy dostępu. Problem wynika w ogóle z tego, że to właśnie my, jako ludzie, nadajemy wartość pewnym pojęciom czy zachowaniom, bo one w nich przecież nie tkwią od zawsze. Powiedziała pani, że najważniejszą wartością jest życie. Ale gdyby zapytała pani o to sto lat temu, np. w dwudziestoleciu międzywojennym, to

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 65676c200f

część ludzi pewnie by powiedziała, że to, co pani mówi, jest niemoralne, bo dla nich najważniejszymi wartościami były honor, ojczyzna, wolność, za które byliby skłonni oddać życie. Z podobną sytuacją mamy do czynienia w przypadku etyki lekarskiej. Zawarte w niej wartości również są nadawane przez ludzi. Gdybyśmy zajrzeli do przysięgi Hipokratesa, to jest tam napisane, że lekarz nigdy nie poda środka poronnego ani trucizny. A mimo to wielu dziś próbuje usprawiedliwiać aborcję i eutanazję. Rodzi się pytanie: czym się kierują – treścią czynów czy światopoglądem? Tym pierwszym nie mogą, bo wartości nie tkwią w czynach, kierują się zatem światopoglądem. To właśnie z tego powodu takie wartości, jak np. życie moje, życie mojej rodziny, szczęście, pomoc innym, miewają dziś tak różne oblicza. I teraz dochodzi do tego kwestia oceny lekarza – tego, który danego czynu dokonuje. Otóż uważam, że skoro wartości nie tkwią w czynach – te pierwsze są bowiem zmienne, a drugie nie, to mimo jednoznacznego światopoglądu należy wyzbyć się bezrefleksyjnego automatyzmu przy wydawaniu wyroków lub przeprowadzaniu sądu kapturowego nad lekarzami.

O zawodzie lekarza mówi się, że jest to zawód z powołania. Wydaje mi się, że młodzi ludzie, którzy wybrali studia medyczne, od jakiegoś czasu o tym zapominają.

Trzeba rozróżnić zawód i powołanie. Czujemy intuicyjnie, że powołanie jest czymś o wiele głębszym niż sam zawód. Większość zawodów, o których mówimy, że do ich wykonywania trzeba mieć powołanie, ma swój etos. Mówimy wszak o etosie lekarza czy nauczyciela, czyli o takich uniwersalnych postawach, które automatycznie łączymy z danym zawodem. Jeśli mnie pani zapyta, jaka jest ekspedientka w sklepie, to powiem, że uczciwa, miła, grzeczna, ale nic więcej. Albo motorniczy w tramwaju – punktualny i przestrzegający przepisów ruchu drogowego. Ale jeśli mnie pani zapyta, jakim człowiekiem jest lekarz, to tu mogę już sypać wieloma różnymi cechami – że jest to człowiek prawy, uczciwy, sprawiedliwy, że niesie pomoc osobie chorej, pomaga w cierpieniu, jest empatyczny. Ale przecież znam osobiście tylko kilku lekarzy, dlaczego zatem mam prawo mówić tak o całym stanie lekarskim? A właśnie dlatego, że zawód lekarza posiada swój etos. Jeżeli ktoś czuje w sobie powołanie do tego zawodu, musi mieć cechy odpowiadające tym, które ów etos określają. W przeciwnym razie nie jest się w pełni lekarzem, a jedynie „wykonuje się" zawód lekarza, czyli czysto technicznie wykonuje się pewne czynności. Aby lekarz był w pełni lekarzem, musi realizować etos lekarski, a proszę zauważyć, że słowo „etos" i słowo „etyka" mają wspólny rodowód.

> Są lekarze, którzy nie myśleli o sobie jako o doktorach Judymach, ale jednak ta pandemia w nich to wyzwoliła

Albert Camus w „Dżumie" opisuje walkę z epidemią dżumy w jednym z algierskich miasteczek. Ta książka nabiera dzisiaj wyjątkowego charakteru, opisuje nie tylko zarazę, lecz także ludzkie postawy wobec zła, w tym przypadku śmiertelnej choroby, traktuje o ludzkich dylematach i zachowaniach w czasach zagrożenia. Bohater tej książki, lekarz Bernard Rieux, mówi, że kiedy już pokonamy epidemię, z jednej strony jesteśmy skażeni złem, bo otarliśmy się o śmierć, z drugiej strony – umocnieni do walki ze złem, które może się pojawić wszędzie i w każdej chwili. Będziemy umocnieni po tej epidemii?

Pozwolę sobie na porównanie. Jeżeli ktoś zachoruje na grypę, jego organizm walczy. Pojawia się gorączka i różne nieprzyjemne objawy, czasami nawet ból. Później następuje okres rekonwalescencji, kiedy człowiek zdrowieje. Jeszcze później nabiera się odporności. Jeżeli jest to organizm mocny i nie wystąpią komplikacje, których skutki odczuwane byłyby to końca życia, to dzięki wytworzonym przeciwciałom można czuć się względnie bezpiecznym. Identycznie jest w czasie pandemii. Trudno od niej uciec, gdyż w końcu jest wszędzie, absorbuje całe nasze życie, zabiera wolność. Jest to zatem duży wstrząs dla naszego moralnego organizmu. W momencie gdy pandemia się skończy, będziemy przez jakiś czas odczuwać osłabienie w postaci skutków nie tylko gospodarczych, lecz także moralnych. Ale nie należy zapominać, że jednocześnie będziemy bogatsi o doświadczenia. To trochę tak, jakby powiedzieć, że nasza sfera moralna wytworzy pewne „przeciwciała". Owszem, niektórych to zło może zniszczyć, innych pokaleczyć, ale będą także tacy, którzy staną się silniejsi, zahartowani moralnie.

W „Dżumie" jest takie stwierdzenie, że wszystko, co człowiek może wygrać w grze dżumy i życia, to wiedza i pamięć. Wiedza – wiadomo, ale co w naszej pamięci zostanie po pandemii? I czy będziemy chcieli pamiętać o tych czasach?

Przede wszystkim będziemy pamiętać o tym, jak się zachowywaliśmy, my i poszczególni ludzie, czy też my jako społeczeństwo w sytuacji granicznej, zaskakującej, której się nie spodziewaliśmy i w której musieliśmy sobie powiedzieć „sprawdzam". Był to bowiem sprawdzian dla państwa, gospodarki, etyki, ochrony zdrowia, polityki zdrowotnej i dla jeszcze wielu innych sfer naszego życia, i prywatnego, i społecznego. Wielkie znaczenie miało w nim uprzednie przygotowanie społeczeństwa w dziedzinie sanitarno-epidemiologicznej. I w tej mierze Polska na tle innych państw miała akurat się czym pochwalić. Jednak dopiero ostateczne podsumowanie tego okresu pokaże, w jakiej kondycji jako ludzie i społeczeństwo jesteśmy. Zacytowała pani słowa Camusa, że wszystko, co można wygrać w grze dżumy i życia, to wiedza i pamięć. Ale tam jest dalszy ciąg, który do pewnego stopnia zmienia znaczenie całego cytatu: „ale jeśli to jest właśnie wygranie partii, jak musi być trudno żyć tylko tym, co się wie, pamięta i bez nadziei". Zatem nie tylko nasza wiedza i pamięć, ale także nasza nadzieja, nadzieja na to, że my po tej chorobie, po tej pandemii, której literacką metaforą jest dżuma, wyjdziemy silniejsi jako społeczeństwo i jako poszczególni ludzie.

eprasa.pl 65676c200f

LOTOS po raz ósmy razem z E(x)plory

E(x)plory to największa w Polsce inicjatywa wspierająca młodzież w realizacji innowacyjnych projektów naukowych. Program promuje osiągnięcia młodych talentów na arenie międzynarodowej. W tym roku wydarzenie, którego mecenasem po raz kolejny jest Grupa LOTOS, przenosi się do sieci

Program edukacyjny E(x)plory to flagowe przedsięwzięcie Fundacji Zaawansowanych Technologii, które wyłania najzdolniejszych naukowców. Głównym założeniem programu jest wsparcie młodych talentów i umożliwienie im reprezentowania Polski na najważniejszych konkursach naukowych na świecie.

E(x)plory to także festiwale promujące naukę wśród młodzieży oraz kongresy kierowane do nauczycieli. Młodzi naukowcy mogą zdobyć stypendia naukowe na rozwój swoich projektów, ufundowane przez wielokrotnego mecenasa programu E(x)plory – Grupę LOTOS.

– Dzięki programowi E(x)plory młodzi naukowcy mogą się spotkać z przedstawicielami świata biznesu. Festiwal daje im szansę na rozwój projektów badawczych, które w przyszłości będą wpływać na losy naszego kraju. Dla LOTOSU innowacje są motorem do działań, wpisanym w strategię naszej firmy. Po raz kolejny działamy wspólnie z E(x)plory i wspieramy młode talenty, dla których nauka jest pasją – mówi Adam Kasprzyk, dyrektor ds. komunikacji Grupy LOTOS.

W ramach programu odbyły się już Regionalne Festiwale Naukowe E(x)plory. Najlepsi uczestnicy tych etapów dostali się do krajowego finału, który odbędzie się podczas tegorocznego Gdynia E(x)plory Week. To tam zostaną wyłonieni autorzy najatrakcyjniejszych projektów. Zmagania, które rozpoczną się 25 listopada, zaplanowano w formie online.

Dodatkową szansą dla uczestników programu była również akcja #biletnafinał od Grupy LOTOS. To plebiscyt, w którym internauci wybierali projekt, który wszedł do finału Konkursu Naukowego E(x)plory i wraz z najlepszymi zespołami z całej Polski, wybranymi podczas regionalnych etapów Konkursu Naukowego E(x)plory, zawalczy o główne nagrody.

Początkujący naukowcy będą mogli również skorzystać z pomocy doświadczonych mentorów i pozyskać minigrant na rozwój swoich badań w ramach ogłoszonych już dwóch nowych programów: Programu Mentorskiego E(x)plory oraz Programu Grantowego dla Młodych Naukowców. Zadanie to jest współfinansowane ze środków ministra edukacji narodowej w ramach programu wspierania rozwoju uczniów wybitnie uzdolnionych 2020.

– Sytuacja ostatnich miesięcy pokazała nam, że musimy myśleć o bezpieczeństwie i komforcie uczestników naszych wydarzeń. Tym bardziej że w większości jest to młodzież i uczniowie szkół. Dlatego zdecydowaliśmy, że w tym roku wszystkie wydarzenia E(x)plory będą dostępne online. Jest to nowa formuła i mamy nadzieję, że będzie cieszyła się jeszcze większym zainteresowaniem niż stacjonarne wydarzenia E(x)plory – mówi Joanna Gogolińska, dyrektor Fundacji Zaawansowanych Technologii.

Wszystkie aktywności będzie można obejrzeć online, na platformie: https://bit.ly/explory2020 oraz na profilach społecznościowych programu.

Program E(x)plory od 2012 r. odkrywa naukowe talenty. W tym czasie udało się stworzyć społeczność ponad 1,4 tys. młodych naukowców, którzy zgłosili do konkursu prawie 1,3 tys. projektów. W trakcie wszystkich edycji odbyło się 41 wydarzeń dla pasjonatów innowacji i technologii. Grupa LOTOS już po raz ósmy jest mecenasem programu.

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 52/0820/F

eprasa.pl 65676c200f

Antyterrorysta z wyboru

Na szczęście nie cierpiał, umierał krótko. Odszedł tak, jak chciał: szybko, na akcji, od kuli

O tej sprawie mówiła cała Polska. Pod Wrocławiem antyterrorysta zginął od kuli podczas próby udaremnienia włamania do bankomatu. Dokładniej rzecz ujmując, dramat rozegrał się w Wiszni Małej, a życie stracił podkom. Mariusz Koziarski.

To była sobota. 2 grudnia 2017 r. W czasie wolnym od służby podkom. Koziarski otrzymał telefoniczną informację o ogłoszeniu alarmu bojowego i konieczności natychmiastowego stawienia się w jednostce. Został wyznaczony na dowódcę pięcioosobowego zespołu bojowego, którego zadaniem było zatrzymanie bardzo niebezpiecznego sprawcy znajdującego się wewnątrz wolno stojącego kontenera z bankomatem. Nikt nie wiedział, że złodziej jest uzbrojony. Mężczyzna okradający bankomat otworzył do antyterrorystów ogień z kałasznikowa. Mariusz Koziarski zginął na miejscu, drugi z antyterrorystów został poważnie ranny. Zginął także przestępca.

Podkomisarz Koziarski w chwili śmierci miał 40 lat. Był instruktorem Zespołu Szkoleniowo-Bojowego Samodzielnego Pododdziału Antyterrorystycznego Policji (SPAP) Komendy Wojewódzkiej Policji we Wrocławiu. Służbę w policji pełnił od 14 lat. Jest on jednym z bohaterów książki „Śmierć warta zachodu", będącej zbiorem historii o ludziach, którzy oddali życie w służbie dla Polski. Na potrzeby tej publikacji, którą przygotowała Fundacja „Dorastaj z nami", a wydała Bellona, rozmawiałam z Iwoną Koziarską, wdową po Mariuszu Koziarskim. Oto jej zapis.

Fot. Maksymilian Rigamonti

eprasa.pl 65676c200

Jak wspomina pani tamten dzień?

Iwona Koziarska: To była zwykła sobota. Mariusz miał wolne. Ja pracowałam. Gdy wróciłam do domu, strasznie się zdenerwowałam. Wszystko wyglądało jak po wybuchu bomby. Bałagan w całym mieszkaniu, bałagan w kuchni. Bałam się, że sama zaraz wybuchnę, ale mąż, jak na antyterrorystę przystało, umiejętnie mnie rozbroił. Podszedł do mnie, położył mi ręce na ramiona i powiedział: „Nie denerwuj się, upiekłem dla ciebie ciasto". To był pyszny tort sernikowy, z czekoladą na wierzchu. Od razu zeszło ze mnie ciśnienie. A on był taki dumny z siebie, że mu wyszło. Zdążyliśmy zjeść po kawałku. Ciasto było perfekcyjne. Ale wszystko, do czego zabierał się Mariusz, takie było. Gdy coś robił, to całym sobą.

Spodziewaliście się, że tego dnia coś może się wydarzyć?

To miał być romantyczny, spokojny wieczór. Choć akcja wisiała w powietrzu, bo już raz, dzień wcześniej, została odwołana. Ale przez cały dzień nikt się nie odezwał. Mąż nalał sobie i mnie po lampce wina. Wtedy zadzwonił telefon. Mariusz musiał jechać. Zdążyłam zrobić mu kanapki i zapakowałam mu do pudełka kawałek tego pracowicie pieczonego przez niego ciasta. Gdy po dłuższym czasie odbierałam plecak z jego rzeczami, trafiłam na to pudełko. Ciasto zdążył zjeść. Resztki spleśniały. Do dziś nie otworzyłam ani nie wyrzuciłam tego pudełka, jest głęboko schowane w jego rzeczach. Przez cały tydzień po jego śmierci nie mogłam nic jeść. Tylko to ciasto. To była ostatnia rzecz, którą dla mnie zrobił, którą mi zostawił. Jadłam i płakałam. Do dziś czuję w ustach smak tego ciasta. Przełykanie sprawiało mi wtedy fizyczny ból. Schudłam przez tydzień 10 kg. Później wiele razy jadłam tort sernikowy, ale żaden już nie smakował tak samo i nie był taki puszysty.

Jak się poznaliście?

Poderwał mnie na „Komandosa". Poznaliśmy się w 2004 r. Pracowałam w kiosku Ruchu. Sprzedawałam gazety. Pomagałam mamie. Marzyłam, by zostać weterynarzem, ale okoliczności życiowe nie pozwoliły mi kontynuować nauki w tym kierunku. Pewnego dnia w okienku kiosku pojawiła się głowa Mariusza. Gdy przyszedł do kiosku po „Komandosa", od razu zwróciłam na niego uwagę. Miał śmiejące się oczy. „Taki facet mógłby być moim mężem i ojcem moich dzieci" – przemknęło mi przez myśl. Od razu pojawiły się motyle w brzuchu, a on zaczął przychodzić częściej. Wpadał po każdy numer tej gazety, a to był wówczas tygodnik. Raz pojawił się w policyjnym mundurze, ale wygrał oczami, nie tym strojem. Innym razem zostawił swój numer. „Na wypadek, gdybym czegoś potrzebowała". To był taki typ człowieka, że wszyscy go lubili, zarażał pozytywną energią, był zgrywusem. A jednocześnie wszystko potrafił. Gdy zepsuła mi się maszyna do szycia – naprawił. Wszystko mu wychodziło. W 2005 r. już byliśmy małżeństwem.

Mąż zawsze chciał być antyterrorystą?

Odkąd pamiętam, marzył o tym. Już w wojsku wybrał oddział komandosów. Gdy zaczynaliśmy wspólne życie, pracował w prewencji w Legnicy, ale nie spełniał się tam zupełnie. Czuł, że ma inną misję. Chciał robić rzeczy wyjątkowe. Nie nadawał się do łapania pijanych rowerzystów i wystawiania mandatów starszym paniom handlującym marchewką. Lubił pracę z bronią, w każdej wolnej chwili doskonalił swoje umiejętności. Miał mnóstwo patentów i uprawnień. Poświęcał się swojej pasji. Ale zawsze na pierwszym planie było bezpieczeństwo. Wiedziałam, że nawet jeśli broń jest w domu, dzieciom nigdy nie stanie się krzywda, broń była zawsze w sejfie. A trochę jej tam było, bo było to hobby męża. Miał m.in. kałasznikowa, Glocka. Trochę to trwało, ale wreszcie spełniło się marzenie męża. Po ciężkim okresie próbnym dostał antyterrorystyczny beret i mundur w plamy.

Wstępując do policji, Mariusz Koziarski ślubował: „Ja, obywatel Rzeczypospolitej Polskiej, świadom podejmowanych obowiązków policjanta, ślubuję: służyć wiernie Narodowi, chronić ustanowiony Konstytucją Rzeczypospolitej Polskiej porządek prawny, strzec bezpieczeństwa Państwa i jego obywateli, nawet z narażeniem życia. (...)". Jak się żyje ze świadomością takiej roty?

Żona antyterrorysty musi cały czas nosić na sobie brzemię śmierci i mieć na uwadze, że może się zrealizować czarny scenariusz. Często rozmawialiśmy z mężem o śmierci. Towarzyszyła nam. Przeważnie w żartach, ale w tych żartach on mi dawał instrukcje, co mam zrobić, gdyby zginął. Przygotowywał mnie. Chodziło o konto w banku, samochód, mieszkanie, formalności. Wielokrotnie podkreślał, że mam być twarda i trzymać się w garści, bo inaczej wróci z zaświatów i zrobi mi „straszonko z duszonkiem". Wielokrotnie podkreślał, że mam żyć dalej, że mam być silna dla dzieci. Mówił też, żebym nie została sama, żebym się z kimś związała, bo dzieci będą potrzebowały wsparcia. Żartował, że jak sobie wybiorę jakiegoś frajera, to wróci i przestrzeli mu kolano. Mówił też że będzie miał na mnie oko z góry. I od jego śmierci mam poczucie, że tak właśnie jest. Czuwa. I przygotował mnie do tego, co się wydarzyło.

Mąż opowiadał o akcjach?

Dopiero po fakcie. Wcześniej nie mógł puścić pary z ust. Raz pojechał zatrzymać handlarza ludźmi. W grę wchodziły porwania kobiet do domów publicznych, handel bronią, handel dziećmi na organy. Mariusz gardził takimi ludźmi. Całe życie poświęcił walce z nimi. Jechali po niego jak po grubą rybę, uzbrojeni po zęby. Na miejscu okazało się, że facet „powitał" ich w samych gaciach, zsikał się ze strachu, położył się na podłogę i błagał o litość. Wsypał wszystkich, z którymi współpracował. Wielki bandzior okazał się więc zupełnym mięczakiem i pamiętam, że to wzbudziło rozczarowanie Mariusza.

Akcja przy bankomacie była akcją życia?

Każdy z chłopaków czekał na swoją akcję życia. Mariusz też czekał. To dla takich momentów się szkolili, poświęcali życie. Każdy wyjazd na akcję był ukoronowaniem trudu szkoleń,

eprasa.pl 65676c200f

codziennej pracy. Tamten sobotni wyjazd to miała być mała zwykła akcja, żadna tam „akcja życia", taka pierdoła. Jechali zgarnąć zwykłego złodzieja, nie wiedzieli, że miał kałasznikowa. Gdy mąż jechał na akcję, nigdy nie mogłam spać, dopóki nie napisał, że jest bezpieczny, wraca. Bywało, że zasypiałam nad ranem. Jednak 2 grudnia 2017 r. obejrzałam film i zasnęłam, jakby nic się nie stało. Następnego dnia z głębokiego snu wyrwało mnie stukanie do drzwi. Było jeszcze ciemno. Dzieciaki spały. Spojrzałam przez wizjer i zobaczyłam trzy osoby ubrane na galowo.

Wiedziała pani, po co przyszli?

Znałam wszystkie procedury. Wielokrotnie pytałam męża, jak to wygląda. Wszystko szczegółowo mi opowiedział. Że przyjeżdża delegacja, dowódca, policyjny psycholog. Nie chciałam tych drzwi otwierać, bo wiedziałam, co usłyszę. Nie pamiętam tej rozmowy. Nie wiem, czy straciłam przytomność, czy byłam świadoma. Najgorsze było nie tyle usłyszeć, że mąż nie żyje, ile powiedzieć o tym dzieciom. Jedenastoletni wówczas Dawid zdemolował cały pokój, poranił sobie rękę o szklaną witrynę, którą rozbił. Nie mogłam go utrzymać. Kalina tak krzyczała, jakby ją ktoś obdzierał ze skóry. Mogłam tylko płakać z nimi. Z delegacją przyjechał wówczas „Azja", przyjaciel męża. Dobrze, że był wtedy z nami. Ogarnął Dawida, bo ja nie dałabym rady. Mariusz był wielkim, twardym facetem, z ciepłym sercem. Gdy jechał na akcję, był jak stal, gdy smażył naleśniki, był ciepły i uśmiechnięty. Dawid jest taki sam. Był zapatrzony w ojca. Chodził z nim na strzelnicę. Świetnie strzelał, jak Mariusz. Teraz przestał. Zbyt mu się to kojarzy z tatą. Kiedyś chciał być antyterrorystą, teraz chyba narasta w nim bunt. Trochę odpuścił. Zapuścił włosy, zrezygnował z żołnierskiej fryzury. Kiedyś myślał o średniej szkole wojskowej. Zobaczymy, jak będzie. Dawid ciągle wpada w tarapaty, wciąż jestem wzywana do szkoły, często wdaje się w bójki, ale jak patrzę na niego, to widzę Mariusza. To jego klon. Ma jego siłę, zapał. Jak Mariusz jest zadaniowcem. Lubi pomagać.

A córka?

Ma jego oczy i uśmiech. Ale jest bardziej zamknięta niż jej brat. Dawid jak miał ochotę płakać, to wył, a Kalina wszystko dusiła w sobie, nie było widać emocji. Do czasu, aż wychodziły inną stroną. A Mariusz był świetnym, zwariowanym tatą. Umiał się bawić, opowiadać wymyślone przez siebie historie, np. o piratach Czarnej Ręki – bajki o honorze, bohaterach i bezinteresownej pomocy. Potrafił pochwalić, przytulić i krzyknąć, wiedział, jak egzekwować posłuszeństwo. Lubił przenosić nas zimą przez rzekę boso, żeby w naszym ulubionym miejscu zrobić ognisko. Człowiek skała – gdy jechał na akcję łapać bandytów, ciepły miś w domu.

> Przez cały tydzień po jego śmierci nie mogłam nic jeść. Tylko to ciasto. To była ostatnia rzecz, którą dla mnie zrobił, którą mi zostawił. Jadłam i płakałam

Jak daliście sobie radę po jego śmierci?

Zgodnie ze wskazówkami męża musiałam być dzielna dla dzieci. Chciałam się schować pod stół i ryczeć, chciałam, żeby wszyscy dali mi spokój, ale nie mogłam sobie na to pozwolić, musiałam przetrwać. A on mnie pilnował, żebym nie pękła. Nie chciał stąd odejść. Trzymał się tego świata, dzieci. Czułam, że jego dusza nie może spokojnie odejść. Może musiał się upewnić, czy sobie poradzimy. Po jego śmierci miałam paskudne sny. Śniło mi się, że on chce się wydostać z trumny, ale nie może, bo przygniatają go wieńce. A ja w nich kopię i nie mogę się do niego dostać. Po takim śnie czułam się jak po maratonie. Wreszcie posprzątałam te wieńce z grobu, zrobiłam porządek i przyśniło mi się, że już po jego pogrzebie wróciłam do domu, a tam siedziała uśmiechnięta teściowa. Mariusz stał w kuchni z patelnią i smażył naleśniki, a na twarzy miał uśmiech od ucha do ucha. Po tym śnie zrobiło mi się lżej. Uspokoiłam się. Wciąż czułam jego pomoc, obecność. Tak naprawdę od jego śmierci nie przydarzyło nam się nic złego, otwierały się przed nami wszystkie drzwi. Przychodził do mnie w snach. Gdy miał mi coś do przekazania, pojawiał się właśnie wtedy. Gdy zadawałam sobie pytanie: „Co dalej z nami będzie?", „Jak utrzymam rodzinę?", „Jak sobie poradzimy?", pojawił się znowu. Raz siedział na krześle, wskazał palcem i powiedział: „Zobaczysz". Następnego dnia dowiedziałam się o internetowej zbiórce środków, która odbywa się w Polsce i za granicą. Zbiórka przerosła najśmielsze oczekiwania. Otworzyły się tysiące ludzkich serc.

Wie pani dokładnie, jak zginął pani mąż?

Moja wiedza o tym, co tam się stało, jest wyłącznie wypadkową opowieści chłopaków, którzy byli na tej akcji. Kiedyś zamknęłam się z nimi i wysłuchałam ich relacji. Mój mąż szedł drugi, za Mateuszem, który niósł tarczę. Gdy złodziej wyskoczył z kontenera i zaczął strzelać, Mateusz dostał postrzał, a Mariusz wychylił się i przyjął kulę. Reszta otworzyła ogień. Gdy skończyli, zobaczyli, że Mariusz siedzi blady. Dostał w aortę. Wykrwawił się w kilkadziesiąt sekund. Na szczęście nie cierpiał, umierał krótko. Odszedł tak, jak chciał: szybko, na akcji, od kuli. Ta wiedza przyniosła mi ulgę. Od razu chciałam wiedzieć, co stało się z bandytą, który strzelał. Obawiam się, gdyby przeżył, wówczas życie mojego syna zamieniłoby się w wieczny plan zemsty. Dowiedziałam się, że dostał 14 kul. Śmierć na miejscu. Poczułam ulgę. Ciężko byłoby mi żyć ze świadomością, że morderca mojego męża spokojnie chodzi po ziemi. Mąż w chwili, gdy dosięgnęła go kula, służył, w SPAP we Wrocławiu 9 lat, 10 miesięcy, 1 dzień, 23 godziny i 15 minut.

eprasa.pl 65676c200f

Dworzec w Białymstoku: Jak połączyć dawne piękno z nowoczesnością?

Odnowiony z poszanowaniem dla historycznej architektury, nowoczesny i komfortowy – taki jest dworzec w Białymstoku. To największa inwestycja PKP SA w województwie podlaskim i jedna z kluczowych w skali kraju, zrealizowana w ramach Programu Inwestycji Dworcowych na lata 2016-2023

Pochodzący z drugiej połowy XIX w. obiekt odzyskał swoje historyczne piękno, stając się jednocześnie dworcem nowoczesnym i komfortowym. Prace budowlane były prowadzone pod ścisłym nadzorem konserwatora zabytków. W holu dworca przywrócono pierwotny wystrój wnętrza z uwzględnieniem elementów nawiązujących swoim wyglądem do czasów jego największej świetności z około 1910 r. Historyczny wygląd odzyskała również elewacja budynku wraz ze znajdującymi się na niej detalami architektonicznymi. Jej piękno zostało podkreślone przez nowoczesną nocną iluminację.

Zabytkowy charakter budynku udało się połączyć z rozwiązaniami na miarę XXI w. Dworzec został w pełni dostosowany do potrzeb osób z niepełnosprawnościami. W ramach inwestycji zlikwidowano bariery architektoniczne, podniesiono także komfort korzystania przez podróżnych dzięki zamontowaniu nowoczesnego systemu elektronicznych tablic przyjazdów i odjazdów pociągów oraz systemu zapowiedzi głosowych.

W wyniku przeprowadzonej rewitalizacji poprawiło się również bezpieczeństwo na dworcu i w jego bezpośrednim otoczeniu. Zamontowano nowoczesne systemy monitoringu, kontroli dostępu oraz sygnalizacji włamania i napadu, a także systemy przeciwpożarowe. W przestrzeni dworca umiejscowiono defibrylator, pomocny w przypadkach konieczności udzielania pierwszej pomocy w momencie zatrzymania akcji serca.

Odnowiony obiekt stał się również bardziej przyjazny środowisku poprzez zastosowanie energooszczędnego oświetlenia wraz z automatyką sterującą, paneli fotowoltaicznych na dachu dworca do pozyskiwania „zielonej energii" oraz termomodernizację budynku. Całość urządzeń i systemów zamontowanych na dworcu jest nadzorowana za pomocą systemu BMS (Building Management System), co przyczyni się do ograniczenia zużycia energii elektrycznej i wody.

Przebudowa dworca w Białymstoku to również rewitalizacja jego najbliższego otoczenia. W ramach inwestycji uporządkowane zostały tereny zielone oraz nasadzono nowe drzewa i krzewy. Przydworcowy plac zyskał nowoczesne oświetlenie, a także znalazło się na nim ponad 100 miejsc parkingowych.

Przywrócenie obiektowi historycznego wyglądu, poprzez wyeksponowanie jego walorów architektonicznych i zabytkowych, udało się pogodzić z pełnym przystosowaniem budynku do potrzeb osób o ograniczonej mobilności, w tym podróżnych z niepełnosprawnościami. Dworzec został udostępniony podróżnym w październiku br.

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 53/0820/F

eprasa.pl 65676c200f

Merytokracja, aryst

Filozof amerykański Michael J. Sandel swoją ostatnią książką, wydaną w tym roku „Tyranią zasługi", a opublikowaną niewiele później po polsku przez PWN jako „Tyrania merytokracji", próbuje mierzyć się z podstawowym problemem politycznym zachodniego świata. Jest nim ponowne hierarchiczne uporządkowanie społeczeństw Zachodu, w którym elity zwane merytokracją (od łacińskiego meritus – godność, zasługa) dominują coraz bardziej i dążą do instytucjonalnego zapewnienia swojej przewagi. Ustrojem, który ma ją zagwarantować, jest demokracja liberalna – to już dopowiedzenie moje, nie Sandela, choć można by je z „Tyranii" bezpośrednio wyprowadzić

BRONISŁAW WILDSTEIN

Autor, jako akcentujący rolę dobra wspólnego republikanin, jest, wydawałoby się, nietypowym przedstawicielem współczesnej myśli. Jego chyba najpoważniejsza w Stanach krytyka Johna Rawlsa „Liberalizm a granice wolności" istotnie kwestionuje projekt autora „Teorii sprawiedliwości", który w tamtejszych środowiskach uniwersyteckich stał się nieomal rodzajem ortodoksji. Rawls proponował nową umowę społeczną, która na gruncie liberalnym miała łączyć wolność i równość określaną przez autora jako bezstronność. Państwo miało korygować wszelkie nierówności, które nie wiązałyby się z korzyścią dla jednostek najgorzej uposażonych.

Sandel wskazywał na arbitralność Rawlsowskiego podejścia do sfery idei, zgodnie z którym jako bezstronność prezentowany jest liberalny korpus zasad, i stawiał pod znakiem zapytania oczywistości panującej dziś wersji lewicowego liberalizmu.

eprasa.pl 65676c200f

okracja, oligarchia

W „Tyranii" Sandel odsłania racjonalną podstawę, zdaniem establishmentu zachodniego niezrozumiałych i katastrofalnych, zjawisk (autor przychyla się do ich negatywnej oceny) jak wybór Trumpa, brexit czy „hipernacjonalistyczne" rządy w krajach Europy Środkowo-Wschodniej. Analizuje, posługując się wielką liczbą informacji społeczno-ekonomicznych, rzeczywistość w Stanach, ale jego wnioski są uniwersalne.

NOWY UKŁAD KLASOWY

System liberalnej demokracji miał zbudować model równego startu dla wszystkich, pozycja społeczna zależeć ma w nim wyłącznie od zasług, pracy i talentów. Przekonanie to zostało mocno uwewnętrznione w USA i przełożyło się na rosnące zróżnicowanie dochodów. Nigdy wcześniej nie występowały tak wielkie różnice uposażenia menedżerów oraz zwykłych pracowników tych samych firm. Wynagrodzenie traktowane jest jako ocena. Jeśli ci na górze są po prostu lepsi: bardziej utalentowani, rozumni i pracowitsi, to za ich wkład w dobro publiczne należy się im odpowiednio większe uznanie, które wyrażane jest w jedynym oczywistym dzisiaj przeliczniku, jakim są pieniądze. Prestiż, który pociągają za sobą zarobki, prowadzi do ich zwiększenia i tak ad infinitum. Symetrycznie ci, którzy nie osiągają odpowiednich uposażeń, sami są sobie winni, osuwają się więc coraz niżej na drabinie społecznej i otaczani są coraz mniej maskowanym lekceważeniem, pod którym czai się coraz bardziej jednoznaczna pogarda. Skoro każdy zasługuje na swoje miejsce... Z jednej strony drabiny społecznej rośnie pycha, z drugiej – poczucie upokorzenia.

Rozwarstwieniu dochodów we współczesnej Ameryce towarzyszy malejąca mobilność społeczna, czyli tak bogactwo, jak i ubóstwo reprodukują się w coraz większym stopniu.

Charakterystycznym elementem petryfikacji nowego klasowego układu w Stanach jest system szkolnictwa ze szczególnym dla tego kraju modelem prestiżowych uniwersytetów zgrupowanych głównie w tzw. Ivy League, których ukończenie otwiera drogę do karier w innych wypadkach prawie niemożliwych. Sandel pokazuje umowność zyskiwanych w ten sposób kompetencji, a należy mu wierzyć nie tylko ze względu na obfitość danych, które przytacza, ale również na to, że sam jest jednym z najbardziej uznanych profesorów na uniwersytecie Harvarda stanowiącym sam szczyt amerykańskiej piramidy wykształcenia. Rewolucja przeprowadzona na prestiżowych uczelniach w połowie minionego wieku miała zlikwidować środowiskowo-klasowe przywileje i otworzyć je na ludzi utalentowanych z wszelkich grup społecznych. Okazuje się jednak, że zjawisko „dziedziczenia" ich tytułów wcale nie uległo zmniejszeniu, choć dotyczy dziś nieco innych elit. Zgodnie z merytokratyczną logiką interpretować należy to faktem, że widocznie zarówno talenty, jak i etos pracy są w tych towarzystwach dziedziczone i przechowywane.

Pojęcie merytokracji do obiegu publicznego wprowadził angielski socjolog Michael D. Young w opublikowanej w 1958 r. dystopii „The Rise of the Meritocracy". Demonstrował w niej, że o ile różnice klasowe postrzegane były wcześniej jako krzycząca niesprawiedliwość, o tyle układ merytokratyczny uznawany jest za wyraz sprawiedliwości. System stanowy, w którym pozycja była dziedziczona, nie jest do zaakceptowania przez nowoczesnych. Zamiast niego powołują społeczeństwo otwarte, w którym, w każdym razie teoretycznie, każdy dostaje to, na co zasłużył. Tworzy to jednak pułapkę. W społeczeństwie stanowym człowiek skazany na niższą pozycję odczuwał niesprawiedliwość tego stanu rzeczy i walczył o poprawę swojego statusu. W systemie merytokracji pośledniejsza kondycja oznacza egzystencjalną gorszość, co wywołuje głęboką frustrację i poczucie beznadziejności. Dla dużej części społeczeństwa merytokracja jest systemem nie do zniesienia, który rozsadza jego spoistość i niszczy jakiekolwiek poczucie wspólnoty.

ŚWIECKA PREDESTYNACJA

Debatę na temat merytokracji Sandel wywodzi z fundamentalnego chrześcijańskiego sporu o zbawienie. Protestantyzm wyrastał w dużej mierze z przeświadczenia, że człowiek w swojej małości i grzeszności nie może mieć wpływu na swoje pośmiertne losy. To zresztą powodowało odrzucenie Kościoła jako pośrednika między jednostką a Bogiem, który przecież suwerennie

eprasa.pl 65676c200f

decyduje o zbawieniu i potępieniu. Biorąc zaś pod uwagę Jego pozaczasowość i wszechwiedzę, wyznacza nieświadomemu tego człowiekowi całość jego przeznaczenia.

Niewiedza w tej kwestii była wszakże dla ludzi nie do udźwignięcia. Purytanie powodzenie w biznesie zaczęli uważać za wyraz łaski boskiej, co Maks Weber uznawał za motor kapitalistycznego rozwoju. W efekcie traktować można model merytokratyczny jako współczesną reprodukcję protestanckiego wyobrażenia przeniesionego na stosunki społeczne.

Swoją drogą od ponad 20 lat pokazuję swoiste, i to wyjątkowo radykalne, odrodzenie się identycznej interpretacji w odniesieniu do układu III RP wśród odwołujących się do liberalizmu jej ideologów. Polska po upadku komunizmu miała być miejscem, w którym każdy zasłużył sobie na pozycję, jaką zajmował. Wizji tej nie zakłócała oczywista prawidłowość, że jedni swój uprzywilejowany status i układy, a inni ich brak, zawdzięczali temu, co robili w PRL.

W USA absurd tego typu podejścia nie jest równie rażący, niemniej zakładać musi ono doskonałą harmonię istniejącego świata – to, czy jego rzecznicy zdają sobie z tego sprawę, ma znaczenie drugorzędne. Lekceważy ono niezwykle istotny czynnik przypadkowości i nie bierze pod uwagę wyjściowych nierówności, które wprawdzie nieformalnie, ale blokują awans zdolnych osób z niższych klas. Nie uwzględnia podstawowego znaczenia środowiska oraz innych, niezależnych od jednostek czynników, które mogą zasadniczo wpływać na dystrybucję dóbr. Czy np. astronomiczne zarobki inwestorów giełdowych, którzy arbitralnie dysponują powierzonymi sobie pieniędzmi, znajdują jakiekolwiek merytoryczne uzasadnienie?

Dominujące dziś w Stanach wyobrażenie, że wszyscy zasłużyli sobie na swoją pozycję w świecie konkurencji, rozbija każdą wspólnotę i jest źródłem rozlicznych patologicznych postaw.

Nawet co poważniejsi libertariańscy myśliciele, np. Friedrich Hayek, nie twierdzą, że wolny rynek stanowi doskonały mechanizm awansu najwyższych kompetencji i cnót. Uznają jedynie, że promuje on te talenty, które akurat w danym momencie są najbardziej użyteczne dla tworzących zbiorowość jednostek. W konsekwencji jednak kult rynku prowadzić musi do utożsamienia owych dyspozycji z optymalnymi zdolnościami człowieka i uznania ich za najwyższe cnoty.

NIE TYLKO PŁACE

Wydawać by się mogło, że Sandel dość zasadniczo odbiega od dominującej dziś mentalności. Nie jest to jednak prawda, co odsłania się choćby w proponowanych przez niego środkach zaradczych, które mają przeciwdziałać zmorze merytokracji. Jest to typowy dla współczesnej myśli politycznej plan intensywnej inżynierii społecznej, zwłaszcza rozbudowany system podatkowy. To także nacisk na szkoły wyższe, zwłaszcza najbardziej prestiżowe uczelnie, aby wprowadzały zasady preferencji dla uboższych skrzyżowane z systemem losowania miejsc dla kandydatów zaliczających wstępne egzaminy. Wszystkie te na papierze racjonalnie wyglądające rozwiązania proponowane są bez kalkulacji efektów, które znamy z rozmaitych modeli welfare state. W efekcie ich wprowadzenia merytokrację mogłaby zastąpić biurokracja, która stanowi koszmar opiekuńczego państwa.

Próby zaradzenia obecnym bolączkom ze strony Sandela demonstrują rys utopijny i mieszczą się w racjonalistycznych uroszczeniach, które wyrastają z wyobrażenia, że tu i teraz, mocą swojego indywidualnego rozumu jesteśmy w stanie ostatecznie uporządkować ludzką rzeczywistość. Wiąże się to z interpretacją zjawisk społecznych, które autor „Tyranii" postrzega zgodnie z obowiązującą dziś jednostronną wykładnią. Problemy nowej hierarchii sprowadza do petryfikacji majątkowych różnic i wywodzącej się z tego krzywdzącej dystrybucji szacunku między obywatelami. Pisze Sandel o godności pracy, ale widzi ją głównie poprzez płacową gratyfikację. Nie dostrzega innego, na pewno nie mniej znaczącego, zachowania elit, które zasadniczo uderza w poczucie godności licznych obywateli ich kraju, czyli zanegowania ich kultury i jej fundamentu, jakim jest religia.

Sprowadzenie wszystkiego do wymiaru ekonomicznego podważa republikański ideał i uniemożliwia rozpoznanie całości zagadnienia. Zasadniczy kłopot ze współczesną merytokracją nie jest bowiem wyłącznie efektem poczucia konkurencyjnej wyższości jej przedstawicieli, wywodzi się z ideologii, jaką jej przedstawiciele adaptują do swoich potrzeb i która stanowi legitymację ich status quo.

RÓŻNE NIERÓWNOŚCI

Próby zapewnienia konsekwentnej równości ostatecznie muszą natrafić na paradoks Szigalewa. Ta postać z „Biesów" Dostojewskiego wywodzi niezbicie, że równość osiągnąć można wyłącznie pod ręką despoty w niewolnictwie. Tylko tyrania może zredukować odmienności ludzi, które powodują, że różnią się oni miejscami w społecznych hierarchiach.

Tradycyjna arystokracja również rodziła się jako merytokracja, władzę zdobywali silniejsi, sprawniejsi, bardziej utalentowani. To, że pozycję przekazywać będą potomkom, było oczywiste, mniej oczywiste było, że w dłuższym ciągu czasowym prowadzić to będzie do degeneracji systemu. Arystokracja wpisana była jednak w określony ład świata, a swoje miejsce musiała uprawomocniać jego akceptacją. Wraz ze stanowiskiem musiała przyjmować na siebie zobowiązania. Wyrażało je wychowanie, które narzucało ideał i dyscyplinę. Z czasem model ten ulegał degradacji, ale pierwotnie miał poważne uzasadnienie. Osadzony był na porządku stanowym, w którym rozmaitym grupom przyświecały odmienne ideały. Wzorce kapłana, wojownika, kupca czy rolnika różniły się istotnie. Zwykle również one wpisane były w pionową hierarchię, ale ich przedstawiciele zachowywali swoją godność, a walka o miejsce w tym porządku nie była rozstrzygnięta raz na zawsze. Rywalizacja między cesarstwem a papiestwem do pewnego stopnia oddawała napięcia między stanem rycerskim a duchownym.

Chrześcijaństwo zapewniało optymalną równość między wiernymi. Nie przekładała się ona na praktykę społeczną, ale wpływała na ludzką świado-

eprasa.pl 65676c200f

mość, gdyż wskazywała najważniejszy dla człowieka stosunek z Bogiem i godność wszystkich ludzi. Wobec Boga wszystkie nasze różnice okazują się nieznaczące. W odniesieniu do tego pojąć można, że wprawdzie ludzie nie są równi, ale są wielowymiarowi i te same osoby w jednym aspekcie potrafią przewyższać inne, aby w innym oddawać im pola. To dopiero nowoczesność ze swoim kultem skuteczności i jednoznacznego „naukowego" uporządkowania rzeczy, sprowadziła wielorakie ludzkie dyspozycje do jednorodnego wymiaru ekonomicznej konkurencji. Tradycyjny ład, w którym było miejsce na różne cnoty i wartości, zastąpiony został jednorodnym porządkiem sukcesu.

Przekonani o swojej wyższości przedstawiciele współczesnej merytokracji walczą z tradycyjnym ładem cywilizacyjnym. Nowa ideologia staje się doskonałym uzasadnieniem ich pozycji i panowania. Walcząc o emancypację jednostek z wszelkich kulturowych ograniczeń, eksponują szczególną pozycję osób, które już tego dokonały, a więc wyzwoliły się z wszelkich tożsamości i nic nikomu poza samymi sobie (podobno) nie zawdzięczają. Stają się więc awangardą nowego ładu i z tego powodu należeć się im winny nie tylko wszelkie możliwe materialne gratyfikacje, ale i władza. Naturalnie po to, aby emancypować innych. W ten sposób rodzi się i zostaje uprawomocniony oligarchiczny model liberalnej demokracji.

O ile arystokracja, w każdym razie teoretycznie, odwoływała się do odpowiedzialności za wspólnotę i kultywowała dyscyplinę, którą zapewnić miał model rygorystycznego wychowania, o tyle merytokracja obecna swoją pozycję uzasadnia walką z takim właśnie etosem.

INNA TWARZ TYRANII

Współczesny liberalizm zasadniczo odrzuca ideał właściwego życia. Wolność polegać ma na konkurencji między rozmaitymi jego modelami i prawie do indywidualnego wyboru tego, który nam odpowiada. Zakłada, że jednostka dowolnie, zgodnie ze swoimi preferencjami, jest zdolna tworzyć swój świat, może więc powoływać swoją moralność, czyli normy, które obowiązują wobec wszystkich ludzi, a także etykę, czyli zespół powinności, które łączą człowieka z jego wspólnotą i nakładają na niego obowiązki. Założenie takie faktycznie likwiduje wspólnotę, a więc również tak akcentowane przez Sandela dobro wspólne. Chyba że rozumiemy je wyłącznie jako zespół doraźnych korzyści, które w danym układzie łączą jednostkę z innymi. Wspólnotę losu zastępuje wtedy kontrakt. Takie podejście prowadzi do atomizacji społeczeństwa, a więc anomii i rozpadu wszelkich więzi poza utylitarnymi umowami. Nic nie uzasadnia obrony przed kastowością merytokracji i jej oligarchiczną władzą.

> To dopiero nowoczesność ze swoim kultem skuteczności i jednoznacznego „naukowego" uporządkowania rzeczy sprowadziła wielorakie ludzkie dyspozycje do jednorodnego wymiaru ekonomicznej konkurencji. Tradycyjny ład, w którym było miejsce na różne cnoty i wartości, zastąpiony został jednorodnym porządkiem sukcesu

Każda forma życia zbiorowego osadzona jest na jakimś ładzie. Odwołuje się do niego również porządek liberalny. Ma on zapewnić optymalną przestrzeń rozwoju ludzkich jednostek, które w jego ujęciu traktowane są jako samostwarzające się monady. Przy tym podejściu wszelkie zbiorowe tożsamości postrzegane są jako ograniczenia podmiotowości jednostki i jej wolności. Specyficzny wyjątek zachowany jest dla „tożsamości" transgresyjnych, takich jak seksualne odmienności czy grupy imigrantów o innej kulturze z tego względu, że rozsadzają one istniejący porządek. Coraz bardziej dyskryminowana jest większość, jej kultura i religia, które stanowią zagrożenie dla liberalnej ideologii. Formalnie neutralne państwo i jego agendy stają się jej rzecznikami represjonując tradycyjny ład.

Takie państwo nie jest w stanie zbudować żadnej alternatywy dla merytokratycznej pychy. Skoro nie istnieje żadna uniwersalna miara, żadna obiektywna – choćby w obrębie danej wspólnoty – moralność ani etyka, co miałoby korygować indywidualne zapędy?

Pycha możnych zawsze stanowiła zagrożenie ludzkiego porządku. To główny grzech człowieka, hybris, jeden z motorów antycznej tragedii. Zawsze jednak przeciwstawiany był mu ład świata, który wskazywał człowiekowi należne mu miejsce, i to zarówno w wymiarze gatunkowym, jak i indywidualnym. Jeśli jednak przestają istnieć takie miary, co może stanowić ograniczenie dla merytokratycznej pychy, która uznaje się za autorkę sukcesów prezentujących ją osobników?

Emancypacyjna ideologia likwiduje bariery dla konsumpcyjnego modelu życia, co czyni ją atrakcyjną dla wielkiego biznesu, a także uzasadnia władzę merytokracji i powoduje, że staje się jej ideologiczną legitymacją. Jej przeciwnicy, a należą do nich ludzie przywiązani do tradycyjnej kultury i religii, zwalczani są za pomocą wszystkich dostępnych rządzącej klasie środków. Są dezawuowani przez media, dominującą kulturę, i to zarówno w elitarnym, jak i masowym wydaniu, przez opiniotwórczy establishment. Stosowany jest wobec nich najszerszy asortyment przemocy symbolicznej, są zawstydzani i poniżani. To rednecks (czerwone karki), mohery, populiści, ci, którzy nie nadążają za postępem, a ich działania powodowane są wyłącznie lękiem i resentymentem. O tym wymiarze tyranii merytokracji u Sandela nie przeczytamy.

eprasa.pl 65676c200f

Dwa ciała rektora

Król jako król nie umiera nigdy, ponieważ ma dwa ciała: jedno formalne, korporacyjne, państwowe, a więc nieśmiertelne, i ciało drugie – jak najbardziej śmiertelne, bo osobowe i ulotne – po prostu ludzkie. Formuła ta pozwalała w średniowieczu odróżnić urząd władcy od jego osoby. W tym sensie władca działał niejako podwójnie: raz jako osoba z krwi i kości, innym razem jako urząd – abstrakcja prawna, nieśmiertelna. Takie „podwojenie" odgrywało ważną rolę w momentach przejściowych. Na przykład, gdy król ginął lub umierał, „urząd króla" pozostawał niezagrożony. Rozgraniczenie prawdy o człowieku, jakim był władca, oraz użytecznej fikcji, jaką stanowiło jego „królewskie ciało", miało kapitalne znaczenie. Pozwalało np. oddzielić majątek osobisty władcy od fiskusa, bezosobowego skarbu, który stanowił własność Korony. Gdy władca prowadził się niemoralnie, nie musiało to oznaczać, że niemoralne jest całe królestwo.

Wspomnianą dystynkcję, którą zawdzięczamy książce Ernsta Kantorowicza „Dwa ciała króla", możemy z powodzeniem odnieść do pozycji rektora współczesnego uniwersytetu, który mierzy się z problemami, jakich często nie przeczuwał nawet jego poprzednik.

Rektor współczesnego uniwersytetu musi umieć rozwiązać zasadniczą sprzeczność między koncepcją masowego szkolnictwa wyższego a wykształceniem takiej elity, która zapewniłaby transmisję wartości głównych do wspólnoty narodowej. Przedmiotem troski rektora jest zasadnicza zmiana, jaka zaszła – jaka zachodzi nadal – w stosunkach pomiędzy nauką a wolnym rynkiem: jak ocalić niezależność i autonomię badań naukowych w świecie, w którym właściwie wszystko podlega natychmiastowej wycenie i komercjalizacji, następnie zostaje objęte patentem? Europeizacja szkolnictwa wyższego wymusza porównania z innymi uniwersytetami. Jak polski uniwersytet przedstawia się na ich tle? Co można w nim poprawić, by przywrócić mu konkurencyjność i polepszyć reputację? Jakie mechanizmy zastosować? Czy konkurencyjność jest słowem właściwym, które ma oddawać efektywność i doskonałość uniwersytetu? Jak rozprzestrzenianie się w życiu społecznym najróżniejszych ideologii i ekstremizmów wpływa na statutową neutralność wspólnoty akademickiej? Wreszcie the last but not least: czy wprowadzenie sztucznej inteligencji w relacje między uczniami a nauczycielami, wymuszenie na jednych i drugich zgody na zdalne nauczanie trwale odmieni charakter uniwersytetu, czy też jest to tylko czasowa zmiana formuły przekazywania wiedzy, którą unieważni powrót do normalności?

Są to pytania, które musi zadawać sobie rektor ponadczasowy, rektor abstrakcyjny, bezcielesny, nieposiadający poglądów. Jego powinnością jest zapewnienie ciągłości instytucjonalnej korporacji akademickiej, którą zarządza. Uniwersytet bowiem to instytucja długiego trwania, wolna od bieżących tumultów społecznych i politycznych. Rektor ma umieć tę trwałość zagwarantować.

Tymczasem z wielu stron słychać, że rektor ma jeszcze jedno ciało, to ludzkie, z krwi i kości. Usiłuje wymusić się na nim, aby zajął wyraźne stanowisko w toczącym się konflikcie ideowym i światopoglądowym. Rektor wszakże nie musi tego robić. Ma dwa ciała. Prywatnie może mieć – i na pewno ma – własną ocenę zdarzeń. Dlaczego jednak miałby się nią dzielić jako rektor, a więc ktoś, kto odpowiada za przeprowadzenie instytucji, na czele której stoi, między Scyllą ulicznych wieców i demonstracji a Charybdą polityki państwa?

Uniwersytet jako wspólnota studentów, nauczycieli akademickich, uczonych jest ciałem autonomicznym. Władze uniwersytetu wybierane są wedle zasad i procedur demokratycznych, podlegając jurysdykcji zewnętrznej w przewidzianych prawem sytuacjach. Nie można uczonym kazać robić czegoś, czego robić nie chcą; czy też zmuszać ich do podjęcia określonych zachowań, z jakimi kłóci się ich sumienie oraz powołanie. Nikt na to nie pozwoli. W pierwszym rzędzie nie pozwoli na to sam rektor. Nie te czasy. Sapere aude!

dr hab. Piotr Nowak

Autor jest profesorem UwB, filozofem, wykładowcą akademickim, tłumaczem, twórcą książek filozoficznych i programów telewizyjnych w TVP Kultura („Kronos", „Powidoki"). Laureat wielu nagród i wyróżnień, w 2019 r. m.in. Skrzydła Dedala za „Przemoc i słowa. W kręgu filozofii politycznej Hannah Arendt"

Reklama | 51/0820/F

eprasa.pl 65676c200f

KGHM
POLSKA MIEDŹ

Jesteśmy liderem w produkcji miedzi i srebra.
Umożliwiamy rozwój nowoczesnego świata.

KGHM Polska Miedź S.A. | ul. M.Skłodowskiej-Curie 48 | 59-301 Lubin | www.kghm.com

eprasa.pl 65676c2

„To będzie koniec Unii”

W ten sposób premier Słowenii Janez Janša opisał sytuację, w której Bruksela poprzez narrację o „praworządności” chce narzucić system kontroli nad Polską i Węgrami w sprawach, o których mogą decydować tylko ich obywatele

GORAN ANDRIJANIĆ

W krajach europejskich istnieje wyraźne albo obywatelskie, albo polityczne poparcie dla weta wobec łączenia przyznawania funduszy unijnych z rozwiązaniami prawnymi danego kraju, tzw. praworządnością, która w ogóle nie jest jasno zdefiniowana.

To wsparcie istnieje w całej Europie, ale w tym artykule skupiliśmy się tylko na tym, które płynie z krajów Europy Środkowej, bliskich nam historycznie i kulturowo. Z politykami i publicystami rozmawialiśmy o sytuacji w UE po tym, jak Polska i Węgry wstępnie zawetowały unijny budżet na lata 2021-27.

OBRONA PRZED SZANTAŻEM

Jože Biščak, redaktor naczelny słoweńskiego tygodnika konserwatywnego „Demokracija” i prezes Słoweńskiego Towarzystwa Dziennikarzy Patriotycznych, podziela zdanie swojego premiera. Uważa za „tragikomiczne, że ci postępowi politycy i media, które wczoraj uczyły Polskę i Węgry praworządności, dziś krytykują ich decyzję w sprawie weta”.

– Prawo weta jest słusznym prawem każdego państwa członkowskiego Unii Europejskiej, zgodnie z europejskimi umowami i traktatami. Warszawa i Budapeszt mają całkowitą rację, sprzeciwiając się szantażowaniu przez Brukselę – mówi słoweński publicysta.

– Większość krajów Europy Wschodniej przystąpiła do UE z przekonaniem, że jest to przede wszystkim unia gospodarcza suwerennych państw. Nie przyszło im do głowy, że ktoś mógłby narzucać im wypaczone agendy LGBT, a także migrantów, którzy tylko gwałcą i zabijają. I że ktoś będzie ich zmuszał do odrzucenia chrześcijaństwa, swojej tradycji i kultury. Staje się jasne, że elity w Brukseli chcą dowodzić innymi państwami, ograniczać ich suwerenność i łączyć to z warunkowaniem przyznawania funduszy – wyjaśnia Biščak.

– To czysty szantaż. Bruksela, a w szczególności niektóre kraje, takie jak Holandia i kraje skandynawskie, nie mają prawa ingerować i decydować za inne państwa, jak powinny one definiować rodzinę, na jakich warunkach ktoś może adoptować dziecko, jak definiować aborcję i ilu migrantów

eprasa.pl 65676c200f

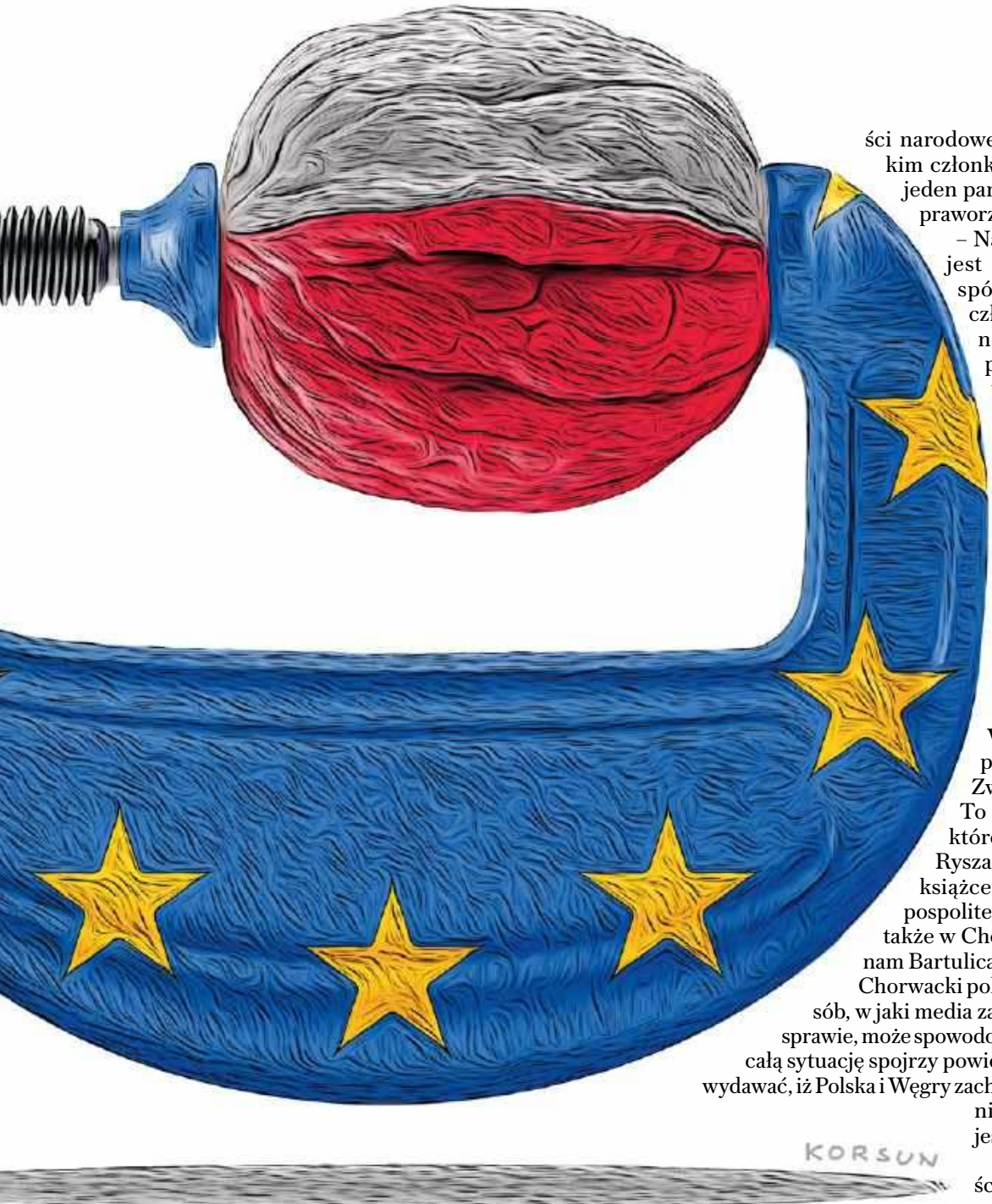

ści narodowej i tym, czy wszystkim członkom można narzucić jeden partykularny pogląd na praworządność.

– Na głębszym poziomie jest to fundamentalny spór dotyczący praw człowieka i praworządności. Dlatego wiele państw postrzega powiązanie przyznawania funduszy z praworządnością jako presję na Polskę i Węgry do zaakceptowania agend LGBT, które teraz odrzucają. Polityczna poprawność jest dziś narzucana wszystkim państwom, a sprzeciw nie jest dozwolony. Dlatego premier Węgier Viktor Orbán porównuje Unię do Związku Radzieckiego. To wszystko procesy, które znakomicie opisał Ryszard Legutko w swojej książce „Triumf człowieka pospolitego", przetłumaczonej także w Chorwacji – powiedział nam Bartulica.

Chorwacki polityk ostrzega, że sposób, w jaki media zachodnie piszą o całej sprawie, może spowodować, że komuś, kto na całą sytuację spojrzy powierzchownie, może się wydawać, iż Polska i Węgry zachowują się „irracjonalnie". A rzeczywistość jest zupełnie odwrotna.

– Jak pisał Orbán w liście do Angeli Merkel, „nie ma porozumienia o niczym, póki nie ma porozumienia o wszystkim". To naprawdę kluczowy moment dla Unii Europejskiej. Teraz się okaże, czy wszystkie państwa są rzeczywiście równoprawne, tak jak definiują to traktaty i dokumenty Unii Europejskiej – mówi Chorwat.

Podkreśla, że jego Ruch Ojczyźniany, obecnie trzecia partia w parlamencie, wspiera Polskę i Węgry w ich polityce unijnej. Dodaje jednak, że wątpi, czy uzyskają poparcie konserwatywnego rządu Andreja Plenkovicia.

– Plenković jest niezawodnym sojusznikiem Donalda Tuska w Europejskiej Partii Ludowej i zawsze stał po stronie europejskich federalistów. Stawka jest dla niego wysoka, bo Chorwacja ma dostać 22 mld euro z unijnego budżetu, kraje powinny przyjąć. Wszystkie powyższe kwestie są wewnętrznymi kwestiami każdego państwa członkowskiego. I możemy tylko pogratulować Polsce i Węgrom sprzeciwu wobec takiej polityki, która jest katastrofalna dla tradycji – podsumowuje Biščak.

PRESJA NA POLSKĘ I WĘGRY

Stjepo Bartulica, członek chorwackiej partii Ruch Ojczyźniany, poseł w parlamencie narodowym i doktor filozofii politycznej, mówi, że konflikt między Brukselą a Polską jest na pierwszy rzut oka związany z kwestią suwerenno-

eprasa.pl 65676c200f

a sam Plenković prezentuje ten wynik jako swoje prywatne zwycięstwo. Chorwacka gospodarka jest bardzo dotknięta kryzysem i dla Zagrzebia taka pomoc ma duże znaczenie, trzeba być tego świadomym – wyjaśnia chorwacki polityk.

* * *

Jaroslav Daniška, słowacki konserwatywny publicysta i redaktor naczelny portalu Štandard, ostrzega, że nie będzie łatwo zdobyć również poparcie tamtejszych polityków.

– Nasi politycy nie do końca wiedzą, o co Warszawa walczy w swoich relacjach z Brukselą czy Berlinem. PiS i Jarosław Kaczyński nie są satanizowani, poza niektórymi mediami głównego nurtu, ale nasi politycy nie wiedzą, co się dzieje w Polsce. Jednak słowacka polityka zawsze bardziej szanuje stanowisko polskie niż węgierskie. Dobrym przykładem jest prezydent Zuzana Čaputová, która często atakuje Orbána, ale nigdy rząd w Warszawie. Słowacy zawsze starają się unikać konfliktu z Niemcami i UE, chyba że jest to absolutnie konieczne, jak w przypadku imigrantów.

> Zoltán Kottász zwraca uwagę, że współpraca między Budapesztem a Warszawą jest w tej chwili kluczowa.
> – Bez Polski nie bylibyśmy w stanie wiele zrobić. Dwa weta są silniejsze niż jedno

Nasze elity nie chcą być karane przez przywódców UE. I dlatego nie interesuje ich wysłuchiwanie obaw Polaków. Z drugiej strony faktem jest, że staramy się pozostawać w dobrych relacjach z krajami Grupy Wyszehradzkiej, ale, jeśli to możliwe, unikamy walki z UE – mówi Słowak.

Daniška zwraca uwagę, że to zła sytuacja, ale można ją zmienić.

– UE przeżywa kryzys tożsamości i my, Słowacy, rozumiemy, że partnerów musimy szukać wśród naszych sąsiadów, a nie w odległych krajach zachodnich. Dlatego Słowacy muszą być lepiej poinformowani o tym, co dzieje się w polskiej polityce, bo to z pewnością może ich inspirować. Słowaccy czytelnicy i obywatele chcą wiedzieć, co się dzieje w Polsce. I dlatego ta walka nie została przegrana, wręcz przeciwnie – mówi Daniška.

NOWA BROŃ

Zoltán Kottász, publicysta węgierskiego dziennika „Magyar Nemzet", nie ma wątpliwości. Kwestia praworządności to

25 SALTUS
LAT UBEZPIECZENIA

Dobre pomysły
WYGRYWAJĄ NAGRODY!
Jubileuszowy konkurs na 25-lecie SALTUS Ubezpieczenia

ekspres do kawy DeLonghi DINAMICA

Thermomix

iPhone XS 64 GB

Skorzystaj z naszej oferty ubezpieczeń mieszkaniowych, zdrowotnych, NNW, podróżnych oraz na życie Optimum MAX

Odpowiedz na pytanie konkursowe i sięgnij po atrakcyjne nagrody!
Formularz konkursowy znajdziesz w placówkach **SKOK**

Szczegóły i regulamin konkursu dostępne na www.saltus.pl/konkurs
Materiał o charakterze reklamowym i marketingowym

WEŹ UDZIAŁ!

eprasa.pl 65676c200f

tylko nowa broń polityczna w rękach Parlamentu Europejskiego i lewicowo-liberalnych partii, która służy im do ataku na Węgry i rząd Viktora Orbána.

– Siły konserwatywne na Węgrzech już wiedzą – cokolwiek zrobi Orbán, nie będzie dobre dla Brukseli i europejskie elity liberalne będą to krytykować. Orbán był u władzy tylko przez kilka miesięcy, kiedy liberałowie w całej Europie krytykowali nową ustawę medialną. Twierdzili, że jest to szkodliwe dla wolności mediów i wolności słowa. A dziś scena medialna w naszym kraju jest bogatsza niż kiedykolwiek. W prasie, radiu, telewizji, internecie można usłyszeć różne głosy. Najczęściej czytane i najczęściej oglądane media mają orientację liberalną. Mówię to, ponieważ uważam, że to dobry przykład, który ilustruje prawdziwą naturę obaw związanych z „praworządnością". Na przykład to, co wydarzyło się wiosną tego roku, gdy Węgry zostały zaatakowane, ponieważ parlament przekazał rządowi władzę w walce z epidemią. To samo wydarzyło się w większości krajów europejskich, ale tylko Węgry zostały wyróżnione i ogłoszone dyktaturą – wyjaśnia węgierski dziennikarz.

Kottász twierdzi, że historie o „dyktaturze na Węgrzech" są całkowicie bezpodstawne. W ostatnich wyborach samorządowych w większości dużych miast zwyciężyła partia lewicowa i liberalna. To pokazuje, że węgierska demokracja jest w dobrej kondycji.

To, co najbardziej niepokoi Węgrów w powiązaniu funduszy europejskich z rządami prawa, to brak jasnej definicji tego terminu.

– Jak zdefiniować praworządność, gdy każde państwo członkowskie ma inny system prawny, któremu podlega? Prawa te są oparte na historii, tradycjach i zwyczajach, które są różne w każdym z nich. Węgry zmieniały swoje prawo za każdym razem, gdy zwrócił się o to europejski trybunał. To jest prawdziwa praworządność – mówi węgierski dziennikarz i kontynuuje: – Cała ta debata pokazała wielką przepaść między przeciwstawnymi ideologiami na Zachodzie i Wschodzie. Zachód nie chce tolerować drogi obranej przez Węgry i Polskę. Ta ścieżka jest sprzeczna z ich światopoglądem. Jeśli Węgry nie pozwalają homoseksualistom na adopcję dzieci, jeśli utrudniają aborcję, jeśli nie akceptują społeczeństwa wielokulturowego – to nie znaczy, że są złe. Oznacza to, że po prostu mamy inny sposób myślenia, który należy uszanować – powiedział dziennikarz.

Zoltán Kottász zwraca uwagę, że współpraca między Budapesztem a Warszawą jest w tej chwili kluczowa.

– Bez Polski nie bylibyśmy w stanie wiele zrobić. Dwa weta są silniejsze niż jedno. Myślę, że w tej chwili Polska jest naszym jedynym prawdziwym sojusznikiem – podsumowuje.

* * *

Wydaje się, że ocena węgierskiego dziennikarza jest jednak trochę zbyt surowa. Polska i Węgry mają w swojej walce i innych politycznych sojuszników, a niektórzy z nich są u władzy w swoich krajach. I ta walka w ogóle nie wydaje się niemożliwa do wygrania. Poza tym nie było innego wyjścia, trzeba było do niej stanąć. Za dużo było w grze.

Pani

Wioletcie Kożuch

wyrazy głębokiego współczucia
oraz szczere słowa wsparcia
w trudnych chwilach po śmierci

TATY

przekazują

Zarząd i Rada Nadzorcza
Saltus Ubezpieczenia

23/1120/F

Naszej Koleżance

Wioletcie Kożuch

wyrazy głębokiego współczucia i słowa wsparcia
z powodu śmierci

TATY

składają

Zarząd, koleżanki i koledzy
ze Spółdzielczego Instytutu Naukowego w Sopocie

24/1120/F

Reklama | 41/1020/F

eprasa.pl 65676c200f

Górski Karabach: lekcja realnej polityki

Wielką klęską Ormian zakończyła się najnowsza wojna na południowo-wschodnich rubieżach Europy. W ciągu półtora miesiąca ciężkich i krwawych walk, toczonych w górzystym i zalesionym terenie, azerskiej piechocie udało się odbić większość terytoriów, które w 1992 r. siłą zagarnęła Armenia, konstruując nieuznawaną w świecie, niby-niepodległą Republikę Górskiego Karabachu

Protest Ormian przed parlamentem w Erywaniu przeciwko podpisaniu rozejmu z Azerbejdżanem, 10 listopada 2020 r.

JAN ROKITA

Azerom udało się także zdobyć położone wysoko w górach miasto-twierdzę Szusza, z której rozpościera się widok na stolicę regionu Stepanakert, a co za tym idzie – łatwy jest również ostrzał artyleryjski tego miasta. W czasie wojny o Górski Karabach w 1992 r. to właśnie z Szuszy Azerowie bombardowali ormiański Stepanakert. A o ich ówczesnej wojennej klęsce, zaborze znacznej części terytorium kraju i wygnaniu zeń około miliona muzułmańskich mieszkańców zdecydowała właśnie przegrana bitwa o Szuszę. Teraz po odbiciu Szuszy 8 listopada azerską lekką piechotę oddzielało od stolicy regionu zaledwie jedno wzgórze i jeden oddział na gwałt zmobilizowanych ormiańskich ochotników.

INTERWENCJA KREMLA

Lecz kiedy dowodzący operacją szef azerskich wojsk specjalnych gen. Hikmat Mirzajew był już o krok od wkroczenia do stolicy i wzięcia w kocioł broniących się w Karabachu oddziałów ormiańskich, stanowczo zainterweniował Kreml. Putin zmusił osłabionego i pokonanego ormiańskiego premiera Nikola Pasziniana do zawarcia rozejmu, na mocy którego Armenia zgodziła się nie tylko na utratę wszystkich ziem zajętych już przez armię azerską, lecz także zobowiązała się do zwrotu przed 1 grudnia 2020 r. całej reszty terytoriów okupowanych od lat 90. XX w. Pod władzę Azerbejdżanu przechodzą więc teraz nie tylko obszary, które doń należały w czasach sowieckich, lecz także owa górująca nad Stepanakertem twierdza Szusza, która w ZSSR była częścią ormiańskiego autonomicznego Karabachu i przez którą wiedzie sławny „korytarz laczyński" (od nazwy miasteczka Laczyn), czyli główna droga łącząca Armenię z zamieszkaną przez Ormian północną, górzystą częścią Karabachu.

Wymuszony przez Putina rozejm nastąpił w momencie, w którym dalsza walka armii ormiańskiej utraciła militarny sens i byłaby już tylko mnożeniem bezsensownych ofiar. Rząd w Erywaniu doliczył się już 2317 ciał swoich żołnierzy, ale wiarygodny w tym przypadku prezydent Putin mówi, iż wojna pochłonęła ponad 5 tys. zabitych.

eprasa.pl 65676c200f

Fot. KAREN MINASYAN/AFP/East News

WOJNA ZAMIAST DYPLOMACJI

Te zdarzenia po raz kolejny dowiodły, że zwycięska wojna jest nadal skutecznym sposobem na zmianę granic, także w dzisiejszej Europie. Niewiele, czy zgoła nic się w tej mierze nie zmieniło w ciągu całej europejskiej historii. Oczywiście, takie wojenne zmiany granic następują jak dotąd nie w centrum, ale na obrzeżach Europy – na Bałkanach albo na Kaukazie.

Azerski prezydent Ilham Alijew zdecydował się na wojnę po tym, jak tzw. grupa mińska OBWE (czyli rządy USA, Rosji i Francji) okazała całkowitą bezsilność w wyegzekwowaniu wspólnie zaakceptowanych przez Baku i Erywań warunków pokoju w Karabachu, opartych na tzw. zasadach madryckich z 2007 r., spośród których kluczową miał być zwrot przez Ormian terytoriów siłą zajętych przeszło ćwierć wieku temu. W samym szczycie konfliktu – 30 października – owa „grupa mińska" raz jeszcze obradowała w Genewie, aby stwierdzić, że wszystko, do czego jest zdolna, to zachęta obu stron do wzajemnego wydania sobie ciał zabitych żołnierzy i wymiany jeńców. Ta wojna była więc prostym efektem podręcznikowego przykładu na bezowocność międzynarodowej czy – jak się zwykło mawiać – „wielostronnej" dyplomacji, tak często zachwalanej w gazetach i przemówieniach europejskich polityków.

Dopiero zwycięstwo wojenne Azerów sprawia, że tzw. zasady madryckie OBWE, będące przez wiele lat niczym więcej jak świstkiem papieru, mogą zostać teraz wprowadzone w życie. Ten fakt jest również dobrą lekcją politycznego realizmu we współczesnej Europie. Dyplomatyczne ustalenia w sprawie granic, owszem, mają swoje znaczenie, ale dopiero wtedy, gdy stają za nimi wojskowa siła i państwo gotowe zapłacić cenę życia tysięcy młodych żołnierzy.

Bo z militarnej perspektywy obecna wojna w Karabachu była konfliktem klasycznym, przede wszystkim z wykorzystaniem lekkiej piechoty, moździerzy i ograniczonego wsparcia artylerii, pierwsze zaś dostępne opisy walk o poszczególne wzgórza nie różnią się jakoś istotnie od polskich wspomnień o walkach o Monte Cassino. Bodaj kluczową militarną nowością było użycie przez Azerów dużej liczby dronów, tyle tylko, że mglista pogoda nad Karabachem w pierwszych dniach listopada ograniczyła ich przydatność, właśnie w chwilach decydujących zwycięstw wojsk gen. Mirzajewa.

ZYSKI I STRATY PUTINA

Rzecz jasna, najciekawsze i najczęściej dziś zadawane pytanie polityczne o tę wojnę dotyczy tego, dlaczego Rosja – sojusznik czy raczej faktyczny suzeren Armenii – pozwoliła na taką klęskę swojego wasala. Ba... wykorzystała ją nawet, aby zręcznie wprowadzić na terytorium Karabachu swoją armię, czyli liczącą 2 tys. żołnierzy 15 brygadę zmechanizowaną wraz z ciężkim sprzętem, oraz oddziały pograniczników. Ciężka rosyjska brygada ma kontrolować potencjalnie niezwykle zapalny „korytarz laczyński", który odtąd będzie jedyną lądową drogą zaopatrzenia Stepanakertu z Armenii, oraz jedyną szosą, którą Ormianie z Karabachu będą mogli podróżować do Armenii. Nawiasem mówiąc, wobec faktu, że położona przy tym szlaku Szusza staje się częścią suwerennego terytorium Azerbejdżanu, ów korytarz wymaga teraz budowy nowej „szosy laczyńskiej", omijającej Szuszę. Z kolei rosyjscy pogranicznicy będą pilnować przejść granicznych między Armenią oraz autonomiczną resztówką Karabachu i Azerbejdżanem.

Nie ulega wątpliwości, że prezydent Putin, który poza niebezpiecznym kotłem syryjskim nie osiąga zbyt wielkich sukcesów w polityce rozciągania rosyjskich wpływów, tym razem stał się nie tylko efektywnym arbitrem na terenie dawnego ZSSR, lecz poszerzył obszar trwałej zapewne obecności armii rosyjskiej na południowo-wschodnich rubieżach Europy.

eprasa.pl 65676c200f

Niemniej jednak Moskwa zapłaciła za ten zysk także sporą polityczną cenę. Po pierwsze, pośród Ormian upadło zaufanie, iż Rosja jest najlepszym gwarantem interesów politycznych ich kraju i musi ich wspierać w ich odwiecznym konflikcie ze światem muzułmańskim. A po drugie, muzułmański Azerbejdżan, sprzymierzony z Turcją i Ukrainą oraz zaopatrywany w broń przez Izrael, siłą zbrojną osiągnął po latach wszystkie swoje kluczowe geopolityczne cele. Jest zwycięski, silny i z pewnością nie ma na przyszłość żadnych powodów, aby wykazywać wobec Moskwy uległość. Na przykład w rozgrywce energetycznej, w której jest jednym z kluczowych partnerów dla Ukrainy i zachodniej Europy.

NIE DRAŻNIĆ ERDOĞANA

Powtórzmy więc rozsądne pytanie: czy Putinowi nie było lepiej wcześniej wstawić się za Armenią, nim jeszcze jej armia doznała tych wszystkich klęsk? Albo wręcz zagrozić zbrojną interwencją na rzecz Ormian, co zapewne zmitygowałoby prędko Ilhama Alijewa? Nie ma co prawda prostej odpowiedzi na to kluczowe pytanie, ale można wskazać kilka rozsądnych motywów, które Władimira Putina powstrzymały przed jakąś ostrzejszą rozgrywką.

Pierwszym z nich jest z pewnością wzgląd na reakcję Turcji, sojusznika i patrona Azerbejdżanu. Odkąd w Ankarze władzę sprawuje islamista Erdoğan, Moskwa używa wyrafinowanej gry politycznej, aby mimo oczywistych sprzeczności interesów obu krajów (m.in. w Syrii, Libii, Armenii etc.) odciągać Turcję od Ameryki i NATO, tak by stała się ona na przyszłość państwem izolowanym, a zwłaszcza skonfliktowanym z Ameryką.

Tymczasem zbrojna interwencja rosyjska w Karabachu, czyli formalnie na terytorium Azerbejdżanu, musiałaby zniweczyć tę grę, wplątując Moskwę w otwarty konflikt z wojowniczym Erdoganem, nawet bez pewności, że nie przerodzi się on w jakąś ograniczoną wojnę. Na dodatek zbrojna obrona ormiańskiego stanu posiadania w Karabachu byłaby jawnie sprzeczna z prawem międzynarodowym i wspominanymi tu już „zasadami madryckimi" OBWE, co Erdoganowi dawałoby niemal nieograniczone pole krytyki Rosji we wszystkich gremiach międzynarodowych. Łatwo zrozumieć, że Putin wolał uniknąć ryzyka zbrojnych starć Rosjan z dobrze wyposażoną i wspomaganą przez Turków armią azerską. A już z pewnością nie marzyło mu się jakiekolwiek zbrojne starcie z Erdoganem. Spróbował więc uzyskać przyzwolenie Erdoğana na wprowadzenie rosyjskich wojsk do Karabachu. I uzyskał je, ale za cenę wejścia w niespodziewaną rolę gwaranta tego, że klęska wojenna Armenii jest definitywna i sami Ormianie zostaną przymuszeni do jej uznania.

Fot. Shutterstock

SŁABA POZYCJA WASALI

I to jest jeszcze jedna fascynująca lekcja realnej polityki we współczesnej Europie. Dawno temu de Gaulle zasłynął bon motem, wedle którego „układy są jak dziewice, są tyle, ile są". Po wybuchu obecnej wojny Moskwa z niejakim nawet przytupem podtrzymała swoje gwarancje bezpieczeństwa dla Armenii, tyle tylko, że ograniczając ich moc do rdzennego terytorium państwa, bez Karabachu. Taka interpretacja gwarancji musiała przyjść rosyjskiemu MSZ z łatwością, zważywszy na to, że Azerom ani nie śniło się wkraczać do rdzennej Armenii. Przecieki w prasie światowej mówią, że premier Paszinian zabiegał w Moskwie o jakąś ostrzejszą reakcję od pierwszego dnia wojny, tzn. od 27 września. Bezskutecznie. Aż do chwili, gdy Ormianie ponieśli ostateczną wojskową klęskę. Wtedy dopiero Putin ostro wszedł do gry, nie pozwalając na otoczenie i pogrom armii ormiańskiej, w zamian za co zmusił Pasziniana do uznania klęski i dużych zmian terytorialnych.

Być może zresztą sama osoba ormiańskiego premiera odegrała tu pewną rolę, gdyż Nikol Paszinian jest przywódcą, który objął władzę w Erywaniu dwa lata temu, jako lider ludowej rewolty przeciwko wcześniejszej skorumpowanej władzy, bardzo blisko zaprzyjaźnionej z Moskwą. Na Kremlu takich „demokratów" przesadnie się nie ceni, zwłaszcza jak pojawiają się w krajach wasalnych wobec Rosji, na obszarze dawnego ZSSR. Zapewne na Kremlu z niejakim rozbawieniem obserwowano, jak teraz wściekły z powodu kapitulacji lud wdziera się do siedziby rządu i parlamentu Armenii, demoluje gabinet Pasziniana i poważnie obija przewodniczącego parlamentu. Armenia nie jest krajem suwerennym. Jest rosyjskim wasalem i dalej nim zapewne pozostanie. A z interesami wasali ani zbytnio nie zwykli się liczyć ich suzereni, ani tym bardziej świat, który wasali zawsze traktował po prostu jako wasali.

eprasa.pl 65676c200f

Święte brzemię korony

W serialu „The Crown" brytyjska monarchia portretowana jest przez zestawienia ze zjawiskami, a przede wszystkim z silnymi indywidualnościami z nią kontrastującymi. W najnowszym, czwartym sezonie tę rolę odgrywają Diana Spencer i Margaret Thatcher

Fot. Des Willie/Netflix

eprasa.pl 65676c200f

KLARA PAWLICKA

Cisza. Z mroku wyłaniają się połyskujące fragmenty złotego kruszcu. Skupiona na detalach kamera uniemożliwia zidentyfikowanie całego przedmiotu, przy którym nazwiska twórców wydają się nieznacząco małe. Przy majestatycznej muzyce tajemniczy obiekt ukazuje się w całej okazałości. To korona. Wielka, bogato zdobiona, wypełniająca cały kadr. Wspaniała.

Monarchia. Czym jest dziś? Odłamkiem baśni, który przedostał się do realnego świata, ucieczką przed globalną unifikacją czy anachronicznym reliktem? Bez względu na odpowiedź to ustrój obdarzony wyjątkowym magnetyzmem. Magia, która wciąż czaruje. Wielowiekowe tradycje, święte obrzędy, uroczyste ceremonie, olśniewające wnętrza i stroje. Instytucja poza czasem i ponad ludzką miarę. Ostoja moralnego ładu trwającego pośród chaosu współczesności. Sztafaż majestatu, na którym opiera swe istnienie monarchia, nadaje wrażenie obcowania z czymś pozaziemskim, obcym zwykłemu śmiertelnikowi. Ale mieszkańcy tej baśniowej krainy nie są bogami, posągami ani porcelanowymi lalkami. To istoty z krwi i kości. Ludzie, którym los przydzielił rolę jakby nadludzką.

Dla Brytyjczyków monarchia jest oczywista jak powietrze. Choć na co dzień odgrodzona w pałacu Buckingham, stanowi nieodłączny element ich świata. Definiuje sposób, w jaki postrzegają samych siebie oraz jak widzi ich świat. Historia brytyjskiego narodu jest zapisana ręką monarchów.

Do poznania i zrozumienia najdłużej panującej brytyjskiej królowej nie wystarczy kreowany przez media wizerunek dziarskiej staruszki w kolorowym kapelusiku, która przecina wstęgi, przypina ordery i wita gości. Elżbieta II Windsor to kobieta symbol. Symbol władzy urzędów i praw, wybierającej sędziów, nadzorującej wojsko, organizującej wybory, stanowiącej traktaty. A jednak, paradoksalnie – sama władzy nie posiada. Zgodnie z anglosaskim systemem monarchii parlamentarnej królowa nie rządzi. Królowa panuje. Jej zadaniem jest doradzać, zachęcać i ostrzegać. Nade wszystko zachowując bezstronność. Elżbieta II realizuje tę funkcję nieprzerwanie od 67 lat.

Gwarancją prestiżu Korony jest jej bezstronność. Elżbieta przez całe życie uczona była więc, by ukrywać własne emocje. Poddani nie mogą się dowiedzieć, z którą partią sympatyzuje ani co sądzi o najnowszym politycznym skandalu. Enigmatyczność buduje dystans niezbędny do zachowania odpowiedniej relacji z suwerenem. Monarcha ma być niedostępny, nieodgadniony, a przez to nadludzki.

Całe panowanie Elżbiety to poszukiwanie proporcji między tajemnicą a jawnością, obecnością i izolacją. Mur zbudowany wokół siebie przez Windsorów stał się wyzwaniem dla mediów, ochoczo komentujących wszelkie poczynania członków królewskiej rodziny. Świat plotek, spekulacji i skandali znalazł w Windsorach niewyczerpane źródło treści stanowiących karmę dla mediów, ale i inspirację dla twórców. Królowa jako element popkultury i symbol brytyjskości ramię w ramię z Jamesem Bondem otwiera igrzyska olimpijskie w Londynie. Ma konta na Instagramie i Facebooku, jest bohaterką powieści, gier komputerowych i wreszcie kina.

Nie sposób zliczyć filmów i seriali, w których umieszczono postać Elżbiety II. Czasem przybierały formę klasycznego biopicu, często były epizodem ubarwiającym. Od romansów, przez seriale, animacje czy komediowe szpiegowskie, aż po dzieła nagradzane Oscarami – „Jak zostać królem" (reż. Tom Hooper) czy „Królowa" (reż. Stephen Frears).

„The Crown" to stworzony przez Petera Morgana jeden z najdroższych seriali Netflixa. Powstał na podstawie wystawionej na West Endzie sztuki „Audiencja" o kilkunastu wizytach brytyjskich premierów u królowej – swoistej kroniki brytyjskiego półwiecza. Serial to rozpoczynająca się w dniu ślubu księżniczki Elżbiety z Filipem Mountbattenem opowieść o losach samej królowej, jej rodziny, a także ludzi decydujących o losach Wielkiej Brytanii. Wielość postaci (zwykle mających historyczne odpowiedniki), inscenizacyjny rozmach, złożoność, kompletność i wiarygodność wykreowanego świata czy społeczno-polityczna waga wydarzeń dla kształtowania narodu i państwa, jakie znamy dzisiaj, nadają serialowi epicki rozmach. „The Crown" to wyprawa za kulisy wydarzeń, które ukształtowały współczesną Wielką Brytanię.

Wymogi realizmu są nieubłagane, więc po dwóch sezonach cały zespół zastąpiony został aktorami kilkanaście

Fot. Des Willie/Netflix

eprasa.pl 65676c200f

lat starszymi. I choć widzowie żegnali pierwszą obsadę z żalem, to ekscytację związaną z ogłaszaniem nowej można porównać tylko z poruszeniem towarzyszącym ujawnianiu kolejnych reinkarnacji agenta 007, a nowa ekipa z Olivią Colman w roli królowej szybko zaskarbiła sobie sympatię widzów.

Siła serialu stworzonego przez Morgana nie tkwi w dopracowanym obrazie

Fot. Ollie Upton/Netflix

Fot. Sophie Mutevelian/Netflix

świata, zasiedlonego przez prawdziwych bohaterów, w narracyjnej sprawności, nawet nie w umiejętnym wykorzystaniu odcinkowej formy – choć serial stanowi spójną całość – składa się z samodzielnych, perfekcyjnie zakomponowanych historii. Największa wartość „The Crown" tkwi w finezji, z którą serial lawiruje między gorzką diagnozą anachroniczności marionetkowej i odbierającej wolność instytucji a fascynacją istotą arcystabilnego systemu, który dzięki trwaniu mimo wstrząsów stał się gwarantem siły i jedności narodu.

Monarchia portretowana jest w „The Crown" przez zestawienia ze zjawiskami, a przede wszystkim silnymi indywidualnościami, z nią kontrastującymi. Pierwszy sezon zestawiał młodą, oddaną swemu powołaniu monarchinię z królem Edwardem VIII, który wyżej niż służbę krajowi postawił uczucie do kobiety. W sezonie drugim pałac Buckingham odwiedzają John F. Kennedy wraz z żoną Jackie. Efektowne skontrastowanie egalitarnej prezydenckiej pary, swoistych gwiazd popkultury, ze światem brytyjskiego dworu budzi refleksje na temat systemów władzy i ich społecznych konsekwencji.

Sezon trzeci opisuje trudność porozumienia pomiędzy mieszkańcami pałacu a przybyłą z Aten matką Filipa, dla której służba nie oznacza przecinania wstęg, ale poświęcenie życia Bogu przez ascezę, modlitwę i pomoc potrzebującym.

Sezon czwarty rozpoczyna się w chwili zaprzysiężenia premier Margaret Thatcher i to właśnie ona jest ową wybitną indywidualnością, nowym przeciwstawnym królowej biegunem. Choć początkowo grze wcielającej się w nią Gillian Anderson bliżej do karykatury niż portretu, z odcinka na odcinek otrzymujemy coraz bardziej złożony wizerunek jej samej i roli, jaką odegrała. Elżbieta i Maggie skontrastowane są nie tylko w sposobach myślenia oraz działania (lub jego braku) w sprawach politycznych, lecz również jako żony, matki i kobiety.

Najnowszy sezon to także czas Diany. Jej pojawienie się doprowadziło do serii wydarzeń, których kulminacją był jeden z największych kryzysów w historii brytyjskiej monarchii. Nie zawiodą się szczególnie czekający na ten wątek. Zadziwia precyzja rozłożenia akcentów, ostrożność, ale i stanowczość stawianych oskarżeń. Twórcy z rozwagą wskazują winnych i pokrzywdzonych, zauważając, że często te same osoby należą do obu kategorii. Diana to druga w tym sezonie antyteza enigmatycznej królowej. Chłód i emocje, obowiązki i pragnienia, tradycja i nowoczesność – zderzą się czy zdobędą na dialog?

Twórcy „The Crown" przekonują, że właśnie owo twórcze napięcie pomiędzy trwaniem a zmianą, które wywołuje monarchia, staje się gwarantem utrzymania ładu w szybko zmieniającym się świecie. Aby postęp mógł służyć społeczeństwu, potrzebuje stabilności tradycji. Tradycja do utrzymania siły potrzebuje zaś konfrontacji, sprawdzania siły swych podstaw. Nie może się obyć bez odświeżenia, które przynosi presja zmian. Balansująca na granicy trwałości i zmiany monarchia przestrzega przed czarno-białym postrzeganiem świata. Uznanie przez Elżbietę zmieniającej się funkcji mediów uczestniczących w kształtowaniu jej wizerunku oraz zaakceptowanie przez medialny świat roli Korony i reprezentowanych przez nią wartości stanowią gwarancję istnienia harmonii niezbędnej do odnalezienia się wśród chaosu współczesności. Bo niekiedy ów majestatyczny blask korony – w obliczu konfrontacji z tak bardzo wzburzonym światem – okazuje się światłem latarni morskiej.

eprasa.pl 65676c200f

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

Miłość i polityka

W wielu sztukach Macieja Wojtyszki spotykają się znane postaci historyczne – w sytuacjach często wymyślonych albo przynajmniej naciągniętych. A to Piłsudski z Wyspiańskim i Żeromskim, a to Mrożek z Gombrowiczem. Wielką historię Wojtyszko splata z wymyśloną anegdotą – jak w „Fantazji polskiej", gdzie dowiadywaliśmy się, że Woodrow Wilson zajął się sprawą polską, bo żona wirtuoza i patrioty Ignacego Paderewskiego podarowała żonie amerykańskiego prezydenta odmładzający krem.

Jest Wojtyszko mistrzem w takich zabawach, które okazują się czymś więcej niż żonglerką. Nie inaczej jest ze sztuką „Ni z tego, ni z owego", którą sam wyreżyserował. To najnowsza premiera Teatru Telewizji.

Tytuł dotyczy Polski, która nieoczekiwanie odrodziła się ok. 11 listopada 1918 r. Rzecz jest jednak opowieścią o przeplatających się drogach twórców niepodległości, zaciekawionych sobą, a potem nienawidzących się rywali – Józefa Piłsudskiego i Romana Dmowskiego. Trzecią główną bohaterką jest Maria Piłsudska, pierwsza żona wodza rewolucji socjalistycznej, a potem Legionów. Była ona w latach 90. XIX w. przedmiotem amorów Dmowskiego. Ale wybrała Ziuka, który ją z kolei opuścił dla Oli Szczerbińskiej.

Pierwsze wrażenie było takie, że Wojtyszko się spóźnił. Gdyby sztuka powstała pięć lat temu, sam bym był zaskoczony niektórymi wątkami, a inne, wymyślone przez autora, uznałbym za nową ofertę odczytania niby znanych dziejów.

Ale Michał Rosa nakręcił dopiero co film „Piłsudski", a Jarosław Marszewski z Jarosławem Sokołem spróbowali zrekonstruować drobiazgowo życie tej postaci w serialu „Młody Piłsudski". Więc co i rusz doznawałem wrażenia: o, to poznaję, tamto też. Rosa wiele sytuacji pominął, nie odważył się choćby na rekonstrukcję japońskiej wyprawy Ziuka i spotkanego tam Pana Romana w roku 1904. Dmowskiego w filmie nie ma w ogóle. Ale już w serialu twórca endecji jest, i japońska kluczowa debata – także.

Od tej konkluzji blisko już do pytania, czy nasze historyczne poszukiwania nie stają się zbyt powtarzalne. Z drugiej strony... Zwłaszcza w pierwszych scenach postaci Piłsudskiego i Dmowskiego zarysowane są u Wojtyszki mocno inaczej niż w filmach. Ich dialogi są chwilami zabawne, kontrasty i napięcia między nimi ciekawe. Maria Juszkiewiczowa, później Piłsudska, posuwa się dalej niż w serialu w miłosnych relacjach z Dmowskim.

Wszystko to jest świetnie zagrane przez łódzkich aktorów: Mariusza Ostrowskiego jako Piłsudskiego, zaskakująco rozchwianego, bardziej niepewnego swoich racji, niż ten serialowy, przez Dariusza Kowalskiego w roli zgorzkniałego Dmowskiego, i przez Monikę Buchowiec, wiecznie rozdartą w swoich uczuciach i zranieniach Marię. Chcieć czegoś więcej jak ciekawe opowiedzenie nawet znanej już w ogólnych zarysach historii? Utwierdziły mnie jeszcze w sympatii dla „powtarzania" lamenty na Facebooku, gdzie wielu zbożnych patriotów opłakiwało „obrazoburstwo". Bo ojców niepodległości pokazano jako ludzi z krwi i kości, nie szczędząc im tu i ówdzie ironii.

Owszem, brak tu klarownych rozstrzygnięć w sprawie historycznych racji. Zamiast tego dostajemy na koniec monolog Marii krytykującej obu przywódców jako ludzi, którzy robiąc politykę bez państwa, stwardnieli i stali się brutalami goniącymi za władzą. Pojawia się w spektaklu nawet sugestia, że zwłaszcza Dmowski byłby politycznie trochę gdzie indziej, gdyby mu się spełniło w miłości. To chyba trochę taka sama prawda, jak ta o kremie Paderewskiej. Ale dlaczego czasem nie spojrzeć na historię i w taki sposób?

Piotr Zaremba

Reklama | 45/1020/F

eprasa.pl 6c200f

RMF FM

Numer 1

wśród opiniotwórczych stacji radiowych w 2020 roku

wg Instytutu Monitorowania Mediów

Najważniejsze słowa padają o 8:02 w RMF FM

Robert Mazurek zapraszam o 8:02

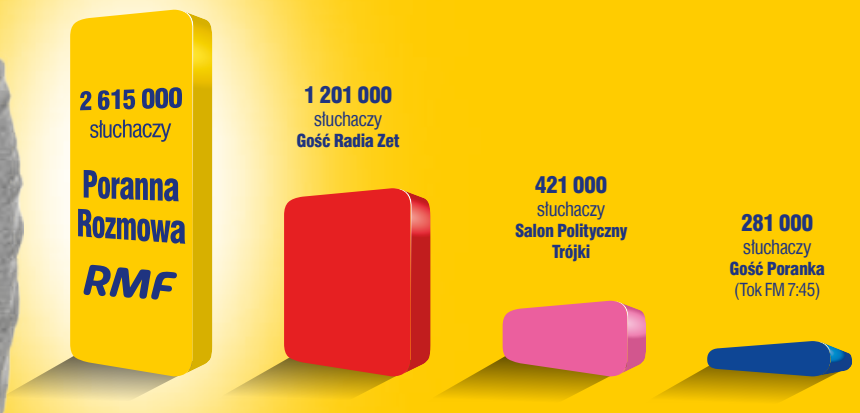

Źródło: Radio Track, Kantar Polska, 01-06.2020, audytorium średniego kwadransa (kwadrans z audycją), dni powszednie, wszyscy 15-75 lat

eprasa.pl 65676c200f

3 MIŁOŚCI

Pełna księgowość w NGO!

ROBERT TEKIELI

Jeszcze ciemno. Zza okna stłumiony dźwięk i błyszczące białka oczu kota. Barca wróciła z nocnej wyprawy. Tym razem nie przyniosła myszy ani nornicy, ani nawet zaskrońca. Chce ciepła domu, jedzenia i wsparcia. Najpierw to ostatnie. Ociera się o nogi, wskakuje na kolana. Głaskanie, mokry nos, zaczyna mnie udeptywać. Wracają wspomnienia kociej kołyski. I mamine wydeptywane mleko. Niedojrzali ludzie, by dostać podobny strzał neurotransmiterów, ssą kciuk. Uruchamiają układ przywspółczulny. A ktoś mając tę wiedzę, tworzy żenujące NLP czy metodę Dennisona.

Po pieszczotach czas na kocie żarcie i spanie. Już zwierzęta tworzą więzi. Związują się miłością biologiczną. U człowieka nazywamy to małpią miłością; zagarniającą, zawłaszczającą, prymitywną, zwierzęcą. Ale miłością. Od czegoś trzeba zacząć, pomyślał Bóg, tworząc ten rodzaj więzi. A nad nią budował kolejne, przez eros, filia aż po agape – oto człowiek. Niemiłościwie panująca nam na Zachodzie ideologia liberalna idzie przeciwko ludzkiej naturze. Społeczeństwo egoistów to jedna wielka dysfunkcja. Nie ma szczęścia w zbiorowości socjopatów. Liberalizm jest toksyczny, a co dopiero marksizm czy lesbianizm.

Jak napisał Wojciech Wencel: „Rewolucja kolejne cele osiąga przez rozbudzanie w ludziach afektów". I, dodajmy, przekuwa grzechy w instytucje. Nowożytność, era buntu, to wieki działań prowadzących do instytucjonalizacji grzechu. A grzech to zaprzeczenie miłości.

Teraz dwie wyliczanki w śmiesznym memie (copyright by John Atkinson).

Shakespeare spoilers: „Hamlet": everyone dies!, „Makbet": everyone dies!, „Król Lear": everyone dies!

Austen spoilers: „Duma i uprzedzenie" – everyone gets married! „Emma": everyone gets married, „Rozważna i romantyczna": everyone gets married. Dwie wersje opowieści o ludzkim losie. Obie fascynujące. Tak. Przecież wszyscy szukają drugiej połówki, „Everybody Needs Somebody to Love". Ale, żeby wszechświat był maszyną do wychowania ludzi, potrzebny jest nie tylko cel, miłość, potrzebna jest też śmierć. Czas.

W szpitalu onkologicznym nagle wszyscy są równi, ateiści i wierzący, byli milicjanci i kryminaliści, amanci i pogubione dziewczyny, chłopaki z sąsiedztwa i fotomodelki, wschodzące gwiazdy show-biznesu – to ze skrzydełka powieści byłego „kajdaniarza", recydywisty, a w końcu gangstera. I pytanie: czy miłość chłopaka i dziewczyny przetrwa? To akurat nie jest interesujące, jedyna wartość literatury pięknej w wypowiadaniu uniwersalnej prawdy za pomocą obrazów, symboli. Tylko książka, która skłania do refleksji nad własnym życiem, ma sens. Jeśli w dziele sztuki nie ma życiowej prawdy, to po co ono jest? I w tej powieści mamy taką myśl faceta, który handlował śmiercią i żywym towarem, a potem się nawrócił: „Kiedy tracisz wszystko, to nic, kiedy tracisz nadzieję, to wszystko". Wiara, nadzieja, miłość. Wymiana wartości. Obdarowywanie siebie nawzajem talentami, które podarował nam Bóg. Miłością, czasem.

Miłość ojczyzny za gardło chwyta. Za serce miłość do kobiety, do mamy, do taty, do braci i sióstr, do dzieci – ludzka kondycja. Miłość do Boga, do społeczności Kościoła. Miłość do ojczyzny, do wspólnoty porozumiewającej się tym samym kulturowym kodem.

I znów do konkretu: Open Society Foundations, Fundacja Batorego to instytucje wymierzone w porządek prawny naszej ojczyzny. Jeśli zostanie wprowadzona pełna księgowość u ich kilkuset polskich beneficjentów nastąpi koniec ostrej dywersji ideologicznej w Polsce. Koniec nieuczciwego lobbingu w stylu Greenpeace. Zatrzymanie wrogiej ideologicznej fali.

Zielona i tęczowa presja. Upadające oparte na węglu spółki skarbu państwa w wyniku przyjęcia przez UE „zielonego ładu", którego nie akceptują ani Chiny, ani Indie, ani USA. Co oznacza, że jest to tylko niemieckie narzędzie kolonizacji, wyzysku. Teraz Berlin pyta już Bidena, czy za dozbrojenie własnej (!) armii dostanie zgodę na uczynienie z Mitteleuropy/Międzymorza swego protektoratu. Czy Trump wywróci stolik i przywróci demokrację, bo trzyma dobre karty przy orderach? Sugerował to niedawno Beniamin Netanjahu.

Fala, która nadchodzi, zalewa już powoli Polskę. Gdyby ktoś ze Zjednoczonej Prawicy doprowadził do wcześniejszych wyborów nosi na czole znamię targowicy. Obóz zdrowego rozsądku ma obowiązek wygrywać kolejne kadencje. I przynajmniej jedną z nich większością konstytucyjną. Musimy bronić wspólnoty. Bronić krzyża, bronić ojczyzny, bronić rodziny. Apeluję do premiera Morawieckiego, by natychmiast zmienił polskie prawo i wprowadził pełną księgowość w NGO. Publicznie musi być wiadome, skąd na antypolską, antyrodzinną, antykościelną propagandę idą pieniądze. Kwoty, daty, donatorzy. I nie słuchać krzyków p. Kataryny Sadło, że to działanie jak Putin. Co z tego? Nawet Hitler oddychał. Czy w związku z tym mamy się udusić?

eprasa.pl 65676c200f

WOJNA CYWILIZACJI

Warte

„Ratuj planetę, jedz dzieci. Musimy zacząć je jeść. Za dużo jest tego dwutlenku węgla". Tak zareagował na radykalnie lewicowe hasła członkini Izby Reprezentantów USA Alexandrii Ocasio-Cortez jeden z uczestników jej wiecu. „Czy świat zachodni zwariował?" – pyta Wojciech Roszkowski w swojej nowej książce „Bunt barbarzyńców", która jest kontynuacją doskonałego „Strzaskanego lustra" tego samego autora. Jako pomysłodawca i redaktor przełomowej antologii wierszy z 1991 r. „Przyszli barbarzyńcy", jestem specjalistą w omawianej tematyce i mówię: nie! Wielki biznes nie promuje dziś głupoty ani dewiacji, jak wydawałoby się na pierwszy rzut oka. Promuje szaleńczą ideologię przydającą mu konsumentów, ludzi bezwolnych, podążających za każdą wytworzoną przezeń modą.

Moda to tylko narzędzie akceleracji popytu. Proszę o tym pamiętać.

Czytając „Bunt barbarzyńców", sięgamy do samych korzeni nowożytnego kryzysu. Prof. Roszkowski pyta: „Ale kto miał rację: Kościół czy Luter?". I dokonuje subtelnego rozbioru stojących w sprzeczności katolickich i luterańskich racji. Ja dodam, że Lutrowa filozofia buntu i zaprzeczenia autorytetowi stoi u fundamentów dzisiejszego świata chaosu i bezprawia. Patrząc na symptomy rozpadu naszej cywilizacji, najpierw szukajmy przyczyn zła. Potem symptomów nadziei na jedność chrześcijaństwa.

A oto kolejne tytuły niektórych ze 105 haseł pytań, z których składa się ten 300-stronicowy esej. „Wojna kulturowa, kto ją wywołał i dlaczego?", „Czy rzeczywiście nie ma już »wielkich narracji«", „Dlaczego gospodarki zachodnie pozostają w tyle?".

„Czym jest dziś niewidzialna ręka rynku?" – pyta też Roszkowski i odpowiada: „Jest ona odziana dziś najczęściej w rękawicę państwa lub wielkich korporacji międzynarodowych". Pyta dalej: „Jakie są cele »edukacji seksualnej«?". I odpowiada: zabijanie kultury i mordowanie wrażliwości oraz niewinności edukowanych dzieci. I przywołuje dla ilustracji dowcip: „Obecnie promuje się zachowania znane z dawnego kawału rosyjskiego. W przedziale siedzi mężczyzna i kobieta. On pyta: »Daleko jedziecie?«. Ona odpowiada: »Do Moskwy, a wy?«. »Też do Moskwy« – odpowiada mężczyzna i po chwili dodaje: »Chwatit flirta, łożyś«".

Są w książce również pytania retoryczne: „Czy istnieje wolność badań naukowych?". A w końcu dochodzimy do pytania zasadniczego: „Cywilizacja upada czy jest niszczona?".

Gdy czytam: „W czym islam zagraża Zachodowi?", zastanawiam się, czy za 10 lat będzie można wystawić choć jedną dywizję złożoną ze zdeklarowanych obrońców naszej cywilizacji. Kto zechce za jej uniwersalne wartości umierać? Jak zakończy się starcie młodszego o 600 lat od chrześcijaństwa islamu z zatęchłą, starzejącą się starą Europą?

Proszę popatrzyć na otwierające książkę zdjęcie z homodemonstracji z 2011 r. Europride pod rzymskim Koloseum – miejscem męczeństwa chrześcijan. I na zamykający esej obraz pędzla Thomasa Cole'a przedstawiający gwałt, śmierć i zniszczenie z podpisem: „Zdemoralizowane Imperium Rzymskie nie jest już w stanie obronić się przed najazdem barbarzyńców".

Powszechne przyjęcie przez młodzież Zachodu bolszewickiego hasła „Lepiej być czerwonym niż martwym" zwieńczyło w latach 80. ubiegłego wieku wieloletni proces dezintegracji jej patriotyzmu. Jane Fonda wygrała dla Moskwy wojnę w Wietnamie. Amerykanie przegrali ją w mediach, wcale nie w dżungli. Dzisiejszym odpowiednikiem tego niewolniczego sloganu jest hasło „Każdy ksiądz to pedofil", które słyszę codziennie w katolickiej Polsce.

Prof. Roszkowski zadeklarował we wstępie „Buntu barbarzyńców", że omawianą książką szuka źródeł pociechy. I znalazł: „Lustra strzaskanego przez ludzi oni sami skleić już nie potrafią. Może je skleić tylko Ten, który jest Miłością".

Jest też druga opcja. Po prostu barbarzyńcy muszą wymrzeć. Nie rozmnażają się systemowo, więc wystarczy odebrać im przewagę kulturową. Lustra nie musimy sklejać. Przetrwają te obszary Zachodu, na których mieszkają integralni ludzie, mieszkańcy Christianitas, którzy nie dali sobie wmówić propagandowej tezy oświeceniowej szkoły tyleż powszechnej, co ideologicznej, że rozum i wiara stoją w sprzeczności.

Roszkowski pyta: „Jak zawrócić z drogi ku upadkowi?". I odpowiada, podając przykłady nawróceń: niemieckiego lewaka, Manfreda Kleine-Hartlage, który zerwał z „logiką permanentnego niszczenia" reprezentowaną przez jego dawne środowisko, Johna Newtona, żeglarza zarabiającego na handlu niewolnikami, i Abby Johnson, która była współodpowiedzialna za kilkaset tysięcy aborcji dokonywanych w USA co roku.

Bożej pomocy nie odrzucajmy. I z jej pomocą czas przestać się bronić.

*Wojciech Roszkowski, **„Bunt barbarzyńców. 105 pytań o przyszłość naszej cywilizacji"**, Biały Kruk, Kraków 2020*

Robert Tekieli
Polskie Radio

eprasa.pl 65676c200f

Epitafium z Orszą w tle

„Ars moriendi", oprócz setek nazwisk, obrazów i wymownych scen, ma w sobie nieuchronność i smutną urodę „Lamparta" Lampedusy

Wojciech Stanisławski

Czego jak czego, ale tekstów o Kresach nam w piśmiennictwie nie brakuje, na dowolną w zasadzie nutę: tragiczną i sentymentalną, nostalgiczną i erudycyjną. Chcesz o wzięciu przez Żółkiewskiego Kremla, znajdziemy coś o wzięciu Kremla. Chcesz sielanki, w której białoruscy włościanie i czeladź niczym dziatwa słuchają pani z dworu, łaskawie rozdającej cukierki, płótno i medykamenty? Będzie sielanka. Może być i o rzezi wołyńskiej, i o Korpusie Ochrony Pogranicza, i o winobraniu w Zaleszczykach, i reprint „Nadberezyńców", o których znów ktoś napisze jako o „nieznanej, zapomnianej powieści". O tamtych ziemiach można zawsze. A jednak „Kresy. Ars moriendi" stanowią, nawet na tak bogatym tle, zupełnie nowe zjawisko. Nie tylko ze względu na szczegółowość, można by powiedzieć: szczodrość ośmiu opowieści biograficznych, z których najobszerniejsza liczy blisko sto stron i ponad sto przypisów. To sposób opowiadania, który drobiazgowością przypomina „Polski Słownik Biograficzny". Nieskrępowane jednak gorsetem szpalt, w których biogramy PSB muszą się zmieścić, autorki sięgają do kolejnych relacji, listów, anegdot. Opowieść o lwowskiej bibliotece Baworowskich, jedna z barwniejszych, potrafi zmieścić historię przyznawania tytułów arystokratycznych w zaborowej Galicji, urocze szaleństwo szlachcica Marchockiego, który wzniósł osobne królestwo z siedzibą w Minkowicach, dzieje teatru Bogusławskiego, kilka smacznych epitafiów, starość i agonię Józefa Maksymiliana Ossolińskiego – i tak przez półtora stulecia, aż po zagładę i rozproszenie zbiorów na sowieckiej Ukrainie, czemu nie zdołał zaradzić ani „świecki święty" Mieczysław Gębarowicz, który dobrowolnie został po sowieckiej stronie jałtańskiej granicy by, póki da radę, chronić księgozbiór, ani endek, co skumał się z KRN, Stanisław Grabski. „Zawsze było za dużo Lwowa, nikt nie umiał / zrozumieć wszystkich dzielnic, usłyszeć / szeptu każdego kamienia, spalonego przez / słońce, cerkiew w nocy milczała zupełnie / inaczej niż katedra, Jezuici chrzcili / rośliny, liść po liściu, lecz one rosły, / rosły bez pamięci,

Ziemskie i niebieskie raje

Wiele osiągnięto w dziedzinie „historii wyobrażeń", wszystkich tych wzorów i nadziei, krystalizujących się w literaturze, w wizjach mistycznych, w obrazach; ale nikt chyba nie osiągnął w tej dziedzinie więcej niż Jean Delumeau, zmarły w tym roku historyk średniowiecznej i nowożytnej mentalności europejskiej.

O raju, jego odmianach, szczegółach, związanych z nimi herezjach i próbach „uziemienia" go, związania bodaj jedną nitką nadprzyrodzonego z realnym, pisał ze szczególną pasją i swadą. Powracał do tego tematu kilkukrotnie, w dwutomowej „Historii raju" i w „Poczuciu bezpieczeństwa w duchowości człowieka Zachodu". Ale w „Poszukiwaniu raju", jednej ze swoich ostatnich książek, raz jeszcze przepracował całe marzenie, ukazując nie tylko jego obecność w ludzkiej wyobraźni religijnej od najdawniejszych czasów, nie tylko jego przemiany – raj na złoto, na tęczowo, raj grzmiący od anielskich chórów, raj jako dziedzina Maryi – ale rzecz może najważniejszą dla świadków współczesnych wstrząsów: raj jako marzenie o rzeczywistości doskonałej, spełnionej i niesprzecznej, dostatniej i wolnej od cierpienia.

Taki raj wyrysowywany był na marginesach średniowiecznych map, dążyli doń poszukiwacze królestwa Księdza Jana i Krzysztof Kolumb. Delumeau śledzi, jak wizja ta, niczym niesforny latawiec, ulatuje coraz dalej w miarę, jak podróżnicy dotarli do Nowego Świata, opłynęli Ziemię i przemierzyli dżungle, i jak zarazem sekularyzuje się, z Bożego Ogrodu przemieniając się w wizję dostatniego i dobrze zorganizowanego świata. Jest to lektura niezastąpiona dla każdego, kto ciekaw jest dziejów europejskiego millenaryzmu. Wielu badaczy wskazywało na szczątkowe, pokiereszowane, lecz rozpoznawalne wyobrażenia religijne obecne w myśli Hegla czy Mao. Delumeau idzie krok dalej, pokazując, jak z wizji Raju uleciały pneuma i blask, aż stał się on niemal projektem niemal buchalteryjnym; i to zetlałe, dziwnie pozbawione blasku, ale nadal potężne marzenie do dziś rządzi wyobraźnią społeczeństw, które zapomniały już o Edenie.

Jean Delumeau, „W poszukiwaniu raju", tłum. Agnieszka Kuryś, Oficyna Wydawnicza Volumen, 2020

eprasa.pl 65676c200f

a radość kryła się / wszędzie, w korytarzach i młynkach do / kawy, które obracały się same" – można by podsumować pysznym cytatem z Zagajewskiego tę namiętność opowiadania, furor loquendi, która opanowała autorki „Kresów" tak, że niemal za dużo jest w ich opowieściach Lwowa, Brewików, Mołodowa.

A jednak nie. O jakości tej książki, o napiętej w niej strunie, która przez cały czas lektury brzmi strasznie i spiżowo, jak akord rozdąsany, przesądza inny cytat, najcelniej wybrany na jej motto: „Orsza zła stacja. W Orszy pociąg może stać i dobę". Tak celny jest ten wiersz, że pozwólmy sobie na jeszcze kilka wersów: „Triepiet małogo pieried bolszim. Przed Imperium / Które idzie i idzie na zachód, zbrojne w łuki, arkany, pepesze / A ja nic tylko uciekam, od stu, trzystu lat / (...) Zostawiając nad rodzinną rzeką pancerz dziurawy i kufer z nadaniami króla / Za Dniepr, potem za Niemen, za Bug, za Wisłę".

Miłosz, ze swoim talentem do dostrzegania wielkich nurtów historii w jednostkowych losach, nazwał wielką trwogę sześciolatka, od której nigdy się nie wyzwolił, która zapędziła go w różne, zgoła nieoczekiwane miejsca. Anna Smółka

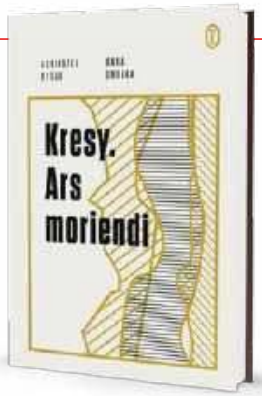

Agnieszka Rybak, Anna Smółka, „Kresy. Ars moriendi", Wydawnictwo Literackie, 2020

i Agnieszka Rybak opisały, dzielne hydrografki, ten wielki nurt, przerzucający i mielący na żwir otoczaki ludzkich losów. Opisały wypieranie, zagładę, zniszczenie cywilizacji Rzeczypospolitej, dokonujące się – od kiedy? Może już od rozejmu andruszowskiego, kiedy ostatecznie odpadł od Korony Kijów? Może dopiero od pierwszego rozbioru, może od kolejnych usmirenij polskich mjateżej, a może dopiero od rozjeżdżania spychaczami Cmentarza Orląt? Spór w literaturze i historiografii o to, czy „czerwony carat" był zaledwie modyfikacją „białego", czy jego zaprzeczeniem, trwa od blisko stulecia i niełatwo go rozstrzygnąć. Jeśli jednak za punkt odniesienia przyjąć stan zachowania „cywilizacji polskiej" między Dnieprem a Bugiem, wątpliwości jest mniej. Ukazy Murawiewa rymują się świetnie z operacją polską i z rewoltą z września 1939 r., choć naturalnie Murawiew mniej był skuteczny niż Jeżow.

Zarazem jednak tych osiem epitafiów nie jest prostym pamfletem ani aktem oskarżenia „Moskali": Rzeczpospolita ginęła także przez rozpad, słabość, zatrutą krew pobratymczą. Nic nie ukazuje tego lepiej niż opowieść o braciach Narutowiczach, z których pierwszy, prezydent odrodzonej Rzeczypospolitej, zginął z ręki rodaka, drugi z własnej, obaj w smutku, niepewności, niepowodzeniach rodzinnych tak determinujących, że słowo „fatum" nie byłoby chybione. „Ars moriendi", oprócz setek nazwisk, obrazów i wymownych scen, ma w sobie nieuchronność i urodę „Lamparta" Lampedusy. Lodowiec sunął, pochłaniając dwory i cmentarze, jednych mordując, drugich zsyłając, trzecich pozbawiając pamięci i języka: a nam pozostaje patrzeć na to, osłupiałym, z wysokiej skarpy Narwi, chwilowo jeszcze polskiej.

Pielgrzym, drzazga smolna

Najmniej znany? Najbardziej zagubiony, to pewne. „Coraz to z ciebie, jako z drzazgi smolnej / Wokoło lecą szmaty zapalone". Ani szkół, ani tomów sążnistych, ani udziału w bitwach. Wieczny niedostatek, tułaczka, ale bez świtów na Alp szczytach; burszowie warszawscy, Rzym, Berlin, Paryż, Nowy Świat, marzenie o Florencji i znów Paryż, dogasanie w nim. Więzienia i przytułki, chude stypendia, odczyty i arkusze poetyckie. Norwid, z ciemnym krzesiwem ironii, zawsze jakby ustylizowany, schowany za przebraniem – czy na młodzieńczym autoportrecie „z bródką Mefista", czy na najbardziej znanym dagerotypie Delintraza, w czamarce, w której nie ruszy do powstania, czy okutany starzec na płótnie Pantaleona Szyndlera.

Wraca do nas stale. Różnych miał promotorów i protektorów, to spalał się w walce oń Miriam, to Senat ogłasza „Rok Norwidowski" i obiecuje dofinansowanie dziesięciu tomów „Dzieł wszystkich"; ale czy kiedyś na dobre do nas dotarł? Nie wydaje się; kilka cytatów grzechoce lepko i chaotycznie jak landrynki.

Tymczasem zamiast ognia (milionowych dotacji, konkursów, monet oraz, również przewidzianej uchwałą Senatu, „ławeczki z Bluetooth albo Wi-Fi z utworami poety po francusku") czasem lepiej słychać, jak wiadomo, łagodny powiew. Jest nim „Życie Cypriana Norwida" wydane przez Pewne Wydawnictwo, z taką urodą i skromnością, na jaką ta oficyna potrafi się, jako jedna z niewielu, zdobyć. Miękka okładka, mały format, sepia kilku szkiców piórkiem i autografów; i życiorys, wiernie spisany przez jednego z najwybitniejszych badaczy. To świetny początek serii.

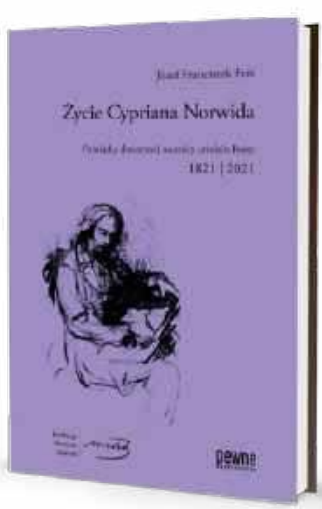

Józef Franciszek Fert, „Życie Cypriana Norwida", Pewne Wydawnictwo, 2020

eprasa.pl 65676c200f

Polska ważnym miejscem japońskich inwestycji

Z *Andrzejem Skubiszewskim*, prezesem Japan Tobacco International Polska, o warszawskim centrum usług biznesowych w „rodzinie JTI" i potężnych inwestycjach globalnej firmy w Polsce, rozmawia Grażyna Raszkowska („Gazeta Bankowa")

Panie prezesie JTI co kilka lat otwiera kolejną dużą inwestycję w Polsce. O jakiej skali mówimy i czy obecny kryzys wywołany pandemią może pokrzyżować dotychczasowe plany rozwoju firmy w naszym kraju?

Andrzej Skubiszewski: Od 2008 r. grupa JTI zainwestowała w Polsce ponad 1 mld dol. Nasze fabryki w Starym Gostkowie pod Łodzią są w tej chwili największym centrum produkcyjnym JTI na świecie, wyroby stąd trafiają na ponad 70 rynków. Tylko w tym roku znalazło tu pracę ponad 200 osób i obecnie zatrudnionych jest tu przeszło 1,8 tys. pracowników. Jesteśmy z tego dumni i możemy śmiało powiedzieć, że pod względem inwestycyjnym Polska ma dla firmy strategiczne znaczenie. To do naszego kraju sprowadzamy technologie, które do tej pory były wytwarzane tylko w Japonii. Korzysta na tym polska gospodarka oraz blisko 800 partnerów biznesowych, z którymi współpracujemy w regionie.

Pandemia spowodowała, że wiele rzeczy robimy inaczej niż jeszcze kilka miesięcy temu. Przede wszystkim uruchomiliśmy znaczne środki, aby zapewnić naszym pracownikom bezpieczeństwo. W wielu przypadkach nasze zasady bezpieczeństwa są bardziej restrykcyjne, niż wynikałoby to z wytycznych. Robimy więc wszystko, aby pandemia nie stała na drodze naszego rozwoju.

Jak ocenia pan dialog z administracją rządową? Na ile przewidywalność regulacyjna i podatkowa wpływa na decyzje biznesowe i aktywność firmy w Polsce?

W sytuacji niepewności i nagłych zmian, w której obecnie działają firmy, co wiąże się z koniecznością bardzo elastycznego reagowania na wyzwania powodowane pandemią, przewidywalność prawna i podatkowa nabierają jeszcze większego znaczenia. Od wielu lat apelujemy o wprowadzenie planu, który będzie określał kierunki polityki fiskalnej państwa w kontekście wyrobów tytoniowych w kilkuletniej perspektywie. Na cenę papierosów w ponad 80 proc. składają się podatki. Z tego powodu nasza branża jest szczególnie narażona na działalność grup przestępczych, które zajmują się nielegalnym handlem i kontrabandą papierosów ze Wschodu. W latach 2010–2014 akcyza na wyroby tytoniowe rosła w sposób skokowy. Wówczas legalny rynek się załamał, żniwa były zbierane w szarej strefie, a wpływy budżetowe z tytułu akcyzy na wyroby tytoniowe spadały. Takich błędów nie należy popełniać. Liczymy, że nasze argumenty zostaną dostrzeżone przez administrację państwową.

Grupa JTI inwestuje jednak nie tylko w produkcję w Polsce. W 2019 r. firma ogłosiła utworzenie Globalnego Centrum Usług Biznesowych w Warszawie. Za jakie międzynarodowe obszary działalności będzie odpowiedzialna ta placówka i kto ma tutaj szansę na znalezienie pracy i rozwój kariery?

Centrum, które aktualnie rozwijamy w Warszawie, jest kolejnym dowodem na kluczowe znaczenie Polski na inwestycyjnej mapie JTI – tym bardziej że będzie to największe z trzech takich globalnych centrów JTI. Warto podkreślić, że będzie ono obsługiwało działalność biznesową JTI na całym świecie. Znajdzie tu zatrudnienie ponad 850 osób, w tej chwili mamy już na pokładzie 350 pracowników. Obecnie centrum działa w trybie pracy zdalnej, ale mamy nadzieję powrócić do nowoczesnego – i niezwykłego! – biura w zrewitalizowanej Fabryce Norblina, w samym centrum stolicy.

eprasa.pl 65676c200f

W nowoczesnych fabrykach JTI w Starym Gostkowie k. Łodzi pracuje ponad 1800 osób. W całej Polsce JTI zatrudnia już przeszło 2600 pracowników

Szukamy przede wszystkim specjalistów z doświadczeniem w dziedzinie finansów, HR, marketingu i sprzedaży, obsługi globalnego łańcucha dostaw oraz obsługi prawnej. Co ważne, zależy nam nie tylko na ekspertach w tych dziedzinach, lecz również na osobach przedsiębiorczych, lubiących przejmować odpowiedzialność i mieć realny wpływ na biznes. I przede wszystkim – na graczach zespołowych. Chcę też mocno zaznaczyć, że to nie jest po prostu centrum usług wspólnych, ale organizacja będąca częścią „rodziny JTI", a jej pracownicy mają takie same przywileje, jak wszyscy pracownicy JTI, czy chodzi o dostęp do szkoleń, czy możliwości rozwoju.

Koronawirus burzy dotychczasowe relacje, również te związane z organizacją pracy – na ile japońskie tradycje samorozwoju i wartości pracy zespołowej mogą być przydatne w dzisiejszych warunkach?

Rzeczywiście pochodząca z Japonii filozofia kaizen, czyli ciągłego doskonalenia się, wprowadzania drobnych usprawnień każdego dnia, na pewno pomogła nam mierzyć się z wyzwaniami, które przyniosła pandemia. Takie podejście angażuje pracowników na każdym poziomie naszej działalności. Proszę też zauważyć, że nim nastąpił lockdown, my już mieliśmy bardzo wysokie standardy organizacji. W uznaniu wyróżniającej się kultury zarządzania ludźmi jesteśmy drugi rok z rzędu pracodawcą numer 1 w renomowanej certyfikacji Top Employers. W czasie pandemii, kiedy przeszliśmy na tryb pracy zdalnej, wprowadziliśmy wiele rozwiązań wspierających naszych ludzi: szkolenia online, wsparcie dla rodziców czy Program Pomocy Pracowniczej, w którego ramach można skorzystać z profesjonalnej pomocy zewnętrznej. Ale gdyby nie wypracowany długo przed pandemią duch pracy zespołowej, nie udałoby nam się utrzymywać wzrostu firmy. Nasze udziały rynkowe rosną systematycznie: zaczynaliśmy od 5 proc. w 2007 r., a obecnie to już ponad 25 proc. I to jest zasługa naszych ludzi, taki sukces osiągnęliśmy dzięki nowoczesnemu podejściu do zarządzania, systematyczności i umiejętności współpracy.

Dziś dla pracowników, zwłaszcza młodego pokolenia, dobre wynagrodzenie i warunki pracy to nie wszystko. Chcą także identyfikować się z wartościami firmy. Jakie atuty pod tym względem ma do zaoferowania JTI?

Nasi pracownicy często mówią, że bycie w JTI to coś więcej niż tylko praca. To zdobywanie doświadczenia na różnych polach, poznawanie ludzi z całego świata i możliwość ciągłego rozwoju. I nie są to puste słowa: aż 80 proc. kierowników pozyskujemy z wewnętrznych rekrutacji, a nasi pracownicy biorą udział w międzynarodowych stażach i szkoleniach m.in. w Genewie czy w Londynie. W naszym działaniu kierujemy się szacunkiem – do pracowników, do naszych partnerów biznesowych, do społeczności, wśród której działamy. Ludzie są w centrum naszych działań i wierzymy, że aby rozwijać biznes, trzeba najpierw inwestować w ludzi.

eprasa.pl 65676c200f

Biało-czerwony marketing robi furorę

Działania marketingowe wielu firm w naszym kraju wskazują, że Polacy chętnie sięgają po rodzime produkty, a etykieta „made in Poland" jest kojarzona z wysoką jakością. Ma to szczególne znaczenie zwłaszcza w przypadku żywności, której jakość ma istotny wpływ na nasze zdrowie. Nic zatem dziwnego, że wielkie sieci handlowe bardzo chętnie akcentują posiadanie w swojej ofercie polskich produktów

W jakim stopniu jednak jest to chwyt marketingowy, a w jakim realne wsparcie ze strony handlowców dla polskich dostawców? Postanowiliśmy sprawdzić to na przykładzie najnowszej kampanii medialnej Biedronki, która w swoich reklamach prezentuje współpracujących z siecią polskich dostawców.

Warto przyjrzeć się uważnie, co daje polskiemu dostawcy współpraca z dużą siecią handlową i kto na niej faktycznie korzysta. W ostatnich latach udało się bowiem obalić frazes o tym, że kapitał nie ma narodowości. Ciekawe, co na ten temat dziś sądzą głoszący ten pogląd liberałowie, gdy obserwują, że oto mamy w marketingu prawdziwą modę na... polskość.

KLIENCI CHCĄ POLSKICH TOWARÓW

Co oczywiste, prekursorami akcentowania mody na polskość w reklamach są spółki należące do skarbu państwa. Nie będziemy tu przywoływać ich przykładów, bo wystarczy spojrzeć na łańcuch wartości, by doskonale zrozumieć, że takie działania muszą być po prostu wpisane w DNA tych firm. Jak ta sprawa wygląda jednak w przypadku podmiotów prywatnych? Jak realnie wygląda ich współpraca z polskimi, rodzimymi dostawcami i jakie korzyści daje polskim producentom?

Jakiś czas temu przyglądaliśmy się nowej akcji marketingowej Biedronki, która postanowiła łączyć ekologię z akcentami patriotycznymi. Można przypuszczać, że klienci docenili starania sieci handlowej, a ta postanowiła pójść za ciosem i nadal akcentować polskie pochodzenie swoich produktów. Tym razem Biedronka zorganizowała kampanię reklamową, którą specjaliści określają jako wizerunkową – mniej w niej chodzi o sprzedaż konkretnego produktu, bardziej o budowanie pozytywnego obrazu konkretnej firmy. Dostaliśmy zatem w telewizji oraz internecie serię krótkich, 30-sekundowych spotów, w których sieć handlowa prezentuje swoich największych dostawców. Co w tym zaskakującego? Otóż wszystkie te firmy powstały w Polsce. Wśród nich się tak znane marki jak Mlekovita czy Citronex.

– Pracujemy z Biedronką od 25 lat. Dzięki temu, że udało nam się nawiązać współpracę strategiczną, byliśmy w stanie zbudować wyjątkową w skali Europy Środkowo-Wschodniej firmę mleczarską. Jesteśmy w 100 proc. polską spółdzielnią mleczarską. Dostarczamy produkty nie tylko do każdego zakątka Polski, a także do 167 krajów na świecie – mówi Dariusz Sapiński, prezes Spółdzielni Mleczarskiej Mlekovita.

Jak podają przedstawiciele Mlekovity, spółdzielnia ma aż 21 zakładów na terenie naszego kraju, ale centrum firmy pozostaje czyste ekologicznie i nieskażone przemysłem Podlasie. Spółdzielnia zrzesza ponad 15 tys. polskich rolników (!), którzy każdego dnia dostarczają surowce do produkcji mleka, masła, śmietany i innych wyrobów mleczarskich. Dzięki 25-letniej współpracy z Biedronką Mlekovita mogła zatrudnić ponad 4,3 tys. nowych pracowników i uruchomić aż 165 linii produkcyjnych. Firma zdobyła nie tylko bardzo silną pozycję na polskim rynku, ale mogła rozpocząć eksport swoich produktów prawie na cały świat.

NIE BOJĄ SIĘ INWESTOWAĆ

Sprawdziliśmy również innego bohatera tych 30-sekundowych historii – firmę Citronex. Jej nazwa kojarzy się raczej z cytrusami, ale jak się okazuje, to jeden z największych w Polsce producentów... pomidorów. Myliłby się jednak ten, kto uzna, że to żadna sztuka tanio kupić gdzieś w Trzecim Świecie owoce i zakontraktować dostawę do sieci handlowej.

– Gdy stawialiśmy pierwsze kroki jako niezależna firma rodzinna 30 lat temu, polski rynek wyglądał zupełnie inaczej. Wtedy większość owoców i warzyw w sklepach pochodziła z bazarów. Biedronka była jedną z pierwszych sieci, które podjęły z nami rozmowy i tak zaczęliśmy wspólnie pracę dla

eprasa.pl 65676c200f

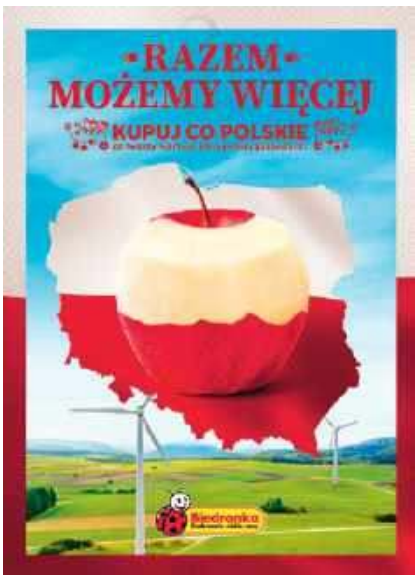

polskich klientów. W 2011 r. w firmie Citronex podjęliśmy wyzwanie zbudowania nowych, najnowocześniejszych w Polsce, szklarni w Siechnicach i Bogatyni. Wymagało to olbrzymich nakładów finansowych, ale mając po drugiej stronie odpowiedzialnego i wiarygodnego partnera, podjęliśmy się tej inwestycji. To, co nas łączy z Biedronką, to przede wszystkim wzajemne zaufanie oraz odpowiedzialność. Obie firmy są zbudowane na etosie ciężkiej pracy dla naszych wspólnych polskich klientów. Cechuje nas elastyczne dopasowywanie się do zmieniających się potrzeb rynku – mówi Rafał Zarzecki z zarządu firmy Citronex.

Firma cały czas się rozwija, a dzisiaj jest już jednym z największych przedsiębiorstw tego typu w Europie, a zajmuje się również uprawą pomidorów malinowych. Gdy Citronex rozpoczynał współpracę z Biedronką, szklarnie z pomidorami zajmowały 23 ha, zatrudniano 250 osób. Obecnie uprawy pod szkłem zajmują już 54 ha, a zatrudnienie wzrosło trzykrotnie. Obroty firmy zwiększyły się ponadsiedmiokrotnie od 2013 r. i przybyły cztery nowe szklarnie. Przykład Citronexu pokazuje, że ze stabilnym i wiarygodnym partnerem można w Polsce budować duży, nowoczesny biznes w światowym wydaniu.

Potwierdza to również historia firmy Graal. To polskie rodzinne przedsiębiorstwo, które zdecydowało się nawiązać współpracę z Biedronką. Dzięki temu mogli postawić na rozwój w niezwykle wymagającej branży, jaką jest przetwórstwo rybne. W ciągu 25 lat w Graalu przybyło tysiąc nowych miejsc pracy, powstało 20 kolejnych linii produkcyjnych i pakujących w trzech zakładach.

– 25 lat temu nawiązaliśmy strategiczną współpracę z Biedronką. Przez ten czas dynamicznie się rozwijaliśmy. Dzisiaj mamy cztery duże fabryki, w których zatrudniamy ponad 2,5 tys. pracowników i produkujemy w nich przeróżne wyroby rybne oraz dania obiadowe. Jedna z naszych fabryk, w której produkujemy prawie 1 mln puszek dziennie, jest jednym z największych producentów konserw rybnych w Europie. Tak, Biedronka jest wymagającym partnerem, ale takie podejście jest zbieżne z naszą filozofią biznesu. Dla nas także najważniejsza jest jakość i bezpieczeństwo produktów, więc cele te wspólnie realizujemy – mówi Bogusław Kowalski, prezes Grupy Kapitałowej Graal.

Powyższe przykłady pokazują, że trwały układ biznesowy, oparty na dużym graczu rynkowym, jakim jest Biedronka, pozwala polskim firmom na rozwój, i to nie tylko na ojczystym rynku, lecz także na rynkach eksportowych. Dodatkowo polskie firmy potrafią rywalizować nie tylko atrakcyjną ceną, ale również wybitną jakością, co jednocześnie przekłada się na realny rozwój naszego kraju i tego, jak jest on postrzegany za granicą.

To krzepiące, kiedy wielka sieć handlowa dostrzega potencjał w przedstawianiu polskich firm w swoich reklamach. Bogacenie się polskich przedsiębiorców leży bowiem w interesie każdego mieszkańca naszego kraju.

MW

eprasa.pl 65676c200f

IWONA BLECHARCZYK TRUCKING GIRL

Dokąd koła poniosą

Fot. Shutterstock, archiwum prywatne

Od dziewięciu lat jest kierowcą wielkich ciężarówek. Jej kanał na YouTube subskrybuje ponad 300 tys. osób, a najpopularniejszy film ma już ponad 10 mln wyświetleń. Czas lockdownu wykorzystała na napisanie książki, która ukazała się właśnie nakładem Wydawnictwa Muza. Nosi tytuł „Trucking Girl. 70-metrową ciężarówką przez świat".

Przyznaje w niej, że po drodze spotkała wielu niedowiarków. Dziwiła ich młoda blondynka jako zawodowy kierowca ciężarówki, a gdy jeszcze dowiadywali się, że jej specjalizacją jest przewóz załadunków tak wielkich, że nie mieszczą się na drodze, nieraz widziała, jak „zbierają szczękę z ziemi".

Żadna reakcja nie była w stanie jej zatrzymać. „Świat stał się mój" – pisze. „Zjeździłam całą Europę, podróżowałam po Stanach Zjednoczonych i Kanadzie. Przede mną jeszcze tak wiele miejsc, do których nie dotarłam. Mijają lata, a mój apetyt na podróże stale rośnie. Dokąd koła poniosą, tam będę szczęśliwa".

W niezwykle ciekawej podróży, w jaką zabiera czytelników, znalazło się też miejsce na niewielki kulinarny rozdział. Atrakcyjna, dbająca o formę dziewczyna, zaczyna go bez ogródek: „Lubię jeść, lubię gotować, lubię, żeby mi smakowało. Wielu kierowców ma tak samo. Pewnie dlatego, że to nareszcie jest jakieś zajęcie, w którym wszystko zależy tylko od nas. A poza tym jest to najczęściej tak zwana mała wielka przyjemność dnia".

Niestety skutkiem takich przyjemności bywa nadwaga. I chociaż młode pokolenie kierowców o wiele bardziej dba o zbilansowaną dietę w trasie niż starsi koledzy, na stacjach paliwowych zbyt wiele się nie kupi, a wielką ciężarówką w Europie pod dyskont się nie wjedzie. Zupełnie inaczej niż w USA, gdzie największa sieć sklepów spożywczych na każdym parkingu ma strefę dla ciężarówek.

„Gotowanie w kabinie, gotowanie na naczepie, gotowanie na świeżym powietrzu. To wszystko ma swój niepowtarzalny urok" – pisze Iwona Blecharczyk. „Pewnego razu kierowca z Włoch częstował nas swoimi daniami. Facet od razu ugotował dla kilku osób, ponieważ chciał się podzielić swoim jedzeniem. Miał dodatki, które nadawały potrawie taki aromat, że naprawdę czułam się, jakbym była we Włoszech (a wspominałam, że to moja ulubiona kuchnia). Albo pewien Turek, którego obserwowałam – tak wspaniale odprawiał wszystkie kuchenne rytuały, że było widać, że gotowanie pochłania go w całości. Kolega z Polski wyspecjalizował się z kolei w robieniu pizzy i jednego popołudnia wyżywił chyba połowę parkingu.

Kierowcy najczęściej gotują na kuchenkach gazowych jednopalnikowych. Część wozi ze sobą małe butle, część – do tej grupy należę ja – woli palniki na naboje. Czajnik, patelnia, zestaw naczyń i mały komplet garnków. Do tego miska do zmywania i płyn do naczyń. Gotuje się najczęściej na wodzie źródlanej albo mineralnej, czasem na kranowej, ale nie zawsze jest dostęp do kranówki dobrej jakości".

Można też korzystać z rozwiązań niestandardowych. Autorka zdradza, że przez dłuższy czas woziła ze sobą... prodiż. Mała wersja tego urządzenia pozwalała na szybkie przygotowywanie różnych posiłków na ciepło, ale też na... pieczenie ciast, „które w prodiżu zawsze wychodzą".

Dziś szuka innych kulinarnych rozwiązań. Zapewnia, że w kuchni na trasie potrafi zrobić nawet sushi! Przede wszystkim jednak nauczyła się rozpoznawania potrzeby organizmu, tak by dostarczać mu tego, czego w danej chwili potrzebuje. W końcu, spędzając tyle godzin za kółkiem, trzeba dobrze czuć się ze swoim ciałem.

Jolanta Gajda-Zadworna

Jabłecznik na drogę

Składniki: W wersji jednoosobowej wystarczą 2–3 jabłka, 1/2 szklanki mąki, 1/4 szklanki cukru, 1/2 cukru wanilinowego, 2 jajka, 2 łyżki oleju, 1 łyżeczka proszku do pieczenia, cynamon.

Wykonanie: Jajka ucieramy z cukrem (także wanilinowym). Dodajemy powoli olej i wsypujemy mąkę zmieszaną z proszkiem do pieczenia. Wypełniamy masą wysmarowaną tłuszczem niewielką formę. Układamy na górę pokrojone jabłka. Posypujemy cynamonem. Pieczemy przez 35-40 min.

eprasa.pl 65676c200f

SŁODKO-SŁONY

Kuskus i suszona pietruszka

ANNA MONICKA

Kuskus – jedno z wakacyjnych odkryć sprzed laty. Drobna „kaszka", która powstaje z łamanej i mielonej pszenicy durum. Jest charakterystyczna dla kuchni arabskiej, ale też świetnie dopasowały się do niej swojski mielony czy schabowy. Nie pamiętam już, co świętowałam z koleżanką w libańskiej knajpce, ale gdy zamówiłyśmy sałatkę tabbouleh, okazało się, że będzie to moje ulubione danie. Kuskus, posiekana pietruszka (dużo), pomidor, cebula, czosnek, sól, pieprz, oliwa i sok z cytryny. Niby nic, a smak wspaniały. Zwłaszcza pietruszki, której wcześniej nie lubiłam.

Miałam go odtąd w szufladzie w biurku, bo gdy głośne burczenie w brzuchu przypominało nam, że znowu zapomniałyśmy w pracy o jedzeniu, można było po prostu zalać kukskus wrzątkiem z odrobiną soli, pokroić na wierzch pomidory, oliwki, rukolę, dodać fetę albo ser pleśniowy i obiad gotowy.

Teraz restauracje pozamykane, ale można spróbować w domu odtworzyć wakacyjne smaki. Zwłaszcza że ostatnio odkryłam perłową odmianę tej pysznej kaszy. Ziarna wielkości pęczaku, ale zachowujące się zupełnie inaczej – delikatne dla żołądka, zero wzdęć czy innych rewolucji. Robione z mąki durum i wody. Gotuje się je kilka minut, podobnie jak dobre włoskie makarony, żeby perełki pozostały al dente. Potem przelewa wodą i mamy bazę do rewelacyjnych zimowych sałatek. Jakich? Bierzemy to, co akurat nawinie się pod rękę – na przykład gotowane na parze fasolka szparagowa, kalafior czy brukselka. Do tego zielony groszek (kupuję tylko taki, ten z puszki ma bury kolor i jest za miękki), kapary, czarne oliwki, zblanszowana cebulka i sos.

Sos też wymyśliłam nowy. Jeszcze latem kupiłam puder z liofilizowanej pietruszki. Pomyślałam sobie, że może przemycę jakoś trochę zielonych witamin do moich kremowych zup czy zapiekanek ziemniaczanych. Tymczasem okazał się wprost idealnym dodatkiem do sosów, którymi polewam sałatki, zarówno pomidorowe, jak i ogórkowe czy cukiniowe. Wystarczy wymieszać zielony proszek z oliwą, cytryną, solą i pieprzem. A ponieważ jemy oczami, warto taką sałatkę posypać czerwonymi koralikami żurawiny. Idealne jedzenie na bure dni.

Fot. Shutterstock, archiwum autorki

WILCZYM OKIEM

Papirus nieśmiertelności

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Czy istnieje roślina mogąca zapewnić człowiekowi nieśmiertelność? Według relacji starożytnych autorów jest nią *Cyperus papyrus* cibora papirusowa.

Cibora papirusowa pochodzi z Afryki. Z wyglądu przypomina nasz oczeret jeziorny, z którym jest zresztą spokrewniona. Gęstymi, kilkumetrowej wysokości zaroślami, zwieńczonymi zwiewnymi pióropuszami kwiatostanów, pokrywa rozlewiska i bagienne brzegi rzek. W dawnych czasach szczególnie obficie występowała nad Nilem. Cibora miała wiele zastosowań. Jej kłączami palono, z łodyg budowano łodzie trzcinowe, maty, liny i ubrania, a także ją spożywano.

Nieśmiertelność korzystającym z cibory ludziom zapewniło jednak inne zastosowanie: papirus, materiał, na którym można pisać, przekazując swoją wiedzę współczesnym i kolejnym pokoleniom.

Wiadomo, że papirus z łodyg cibory produkowano już 3000 lat p.n.e. Swoją dominującą pozycję, jako nośnika informacji – przynajmniej w naszej części świata – dzierżył przez tysiąclecia. Dopiero w II wieku p.n.e. rywalizacja władcy Egiptu Ptolemeusza V Epifanesa i króla Pergamonu Eumenesa o to, która biblioteka: Aleksandryjska czy Pergamońska, jest wspanialsza, przyczyniła się do nałożenia przez Egipt embarga na papirus. Skutkiem ograniczeń było udoskonalenie i upowszechnienie produkcji pergaminu ze skór zwierzęcych.

Papirus, materiał pisarski, wyrabiano, dzieląc kanciastą łodygę igłą na cienkie, możliwie szerokie paski. Najlepszy surowiec, używany do produkcji papirusu najwyższej jakości przeznaczonego na księgi religijne, nazywany hieratycznym, pochodził ze środka łodygi. Papirus kupiecki o najniższej jakości nie nadawał się do pisania, używano go do pakowania.

Włókniste paski łączono w większe powierzchnie, zależnie od przeznaczenia o różnej szerokości, sklejając na desce zwilżonej wodą nilową, przy użyciu kleju z mąki lub z chleba. Później papirus rozpłaszczano, smarowano jeszcze raz klejem i wygładzono muszlą, kłem dzika lub kością słoniową.

Jak ceniony był papirus, świadczy uwaga Pliniusza, że gdy w okresie nieurodzaju tej rośliny za czasów cesarza Tyberiusza stał się deficytowy, w senacie rzymskim musiano wyznaczyć komisję specjalną do jego rozdziału, by uniknąć zamieszek.

eprasa.pl 65676c200f

W ŚWIECIE LUSTER

HANNA KARP

Powtórki z rozrywki

Wszystko, co dziś obserwujemy w kraju, już było. W latach 2005–2007 medialne fabryki topiły w smole nienawiści Jarosława i Lecha Kaczyńskich, aż napaści przerodziły się w rodzaj szkalowania nazwanego później przemysłem pogardy. Prawdziwy szok przyszedł jednak później, okazało się, że wszystko, co było wcześniej, stanowiło dopiero preludium tego, co zdarzyło się w kwietniu 2010 r. Kraj zmroziła tragiczna dekapitacja polskiej elity, udającej się pod przywództwem prezydenta RP do Smoleńska.

Po katastrofie, w sierpniu 2010 r., na Krakowskim Przedmieściu byliśmy świadkami dantejskich scen wokół smoleńskiego krzyża. Erupcja szaleństwa i nienawiści rozlały się na cały kraj. Te same złe energie i siły, co dziś, krążyły wokół zgromadzonych na modlitwie, a rynsztok, także jak dziś, wylewał się na wszystko, co święte. Już wtedy na zgromadzonych przy krzyżu wylewano ten sam ściek i kloakę, którą obecnie uliczna rebelia pod pozorem walki o prawo do zabijania nienarodzonych dzieci maże swoje rewolucyjne sztandary.

REBELIE I PUCZE

Kolejny akt rozegrał się pod osłoną nocy w grudniu 2016 r. Tym razem za karę, że to nie Platformę Obywatelską wybrano na siłę, która miałaby oświecać i prowadzić polski lud ku świetlanej przyszłości. A jeszcze większą wściekłość wzbudziło to, gdy ta sama wola ludu wskazała na prezydenta Andrzeja Dudę. Wydaną wojnę nazwano w mediach ciamajdanem. I można było wydarzenie obśmiewać. Ale dopiero wtedy, kiedy okupacja Sejmu przez opozycję zmieniła się w groteskę. A prowadzący ją politycy przypominali patologiczną rodzinkę na zimowych wczasach w Zakopanem. Rozochoceni, dogadzali sobie na wszelkie sposoby. Jedli, pili i śpiewali. „Nie pucz, kiedy odjadę" w wykonaniu poseł Joanny Muchy brzmi na sejmowych korytarzach do dziś.

O ukaranie rebeliantów spod Sejmu wnioskowała policja. Symboliczną kropką nad i okazały się wyniki procesu w tej sprawie. Sąd uniewinnił 13 osób oskarżonych o rozkręcanie zamieszania stanowiącego przede wszystkim zagrożenie dla życia posłów opuszczających Sejm. Oskarżeni rzucali się pod auta wyjeżdżające nocą z Sejmu, agresywnie blokowali publiczną drogę, powodowali zakłócanie miejsca publicznego. „Przyszli skorzystać z prawa, które gwarantuje im konstytucja, aby w przestrzeni publicznej wyrażać swoje zdanie i poglądy" – orzekł sędzia. Jak można zobaczyć także dziś na zdjęciach z tych wydarzeń, policja przyglądała się wszystkiemu biernie, reagując tylko w sytuacjach drastycznych, gdy manifestanci rzucali się pod koła i na maski aut.

Sędzia Łukasz Biliński z Sądu Rejonowego dla Warszawy-Śródmieścia, uniewinniając wszystkich oskarżonych, tłumaczył, że nie znalazł w ich zachowaniu znamion czynów wskazanych przez policję ani innych czynów zabronionych. Na zarzuty blokowania przez obwinionych wyjazdu kolumny samochodów z terenu Sejmu sędzia orzekł, iż „niektóre osoby starały się w jakiś sposób wchodzić przed te pojazdy, dotykać ich [...] te pojazdy w końcu przejechały, ale z trudnościami [...] z materiałów przedstawionych przez oskarżyciela nie sposób ustalić tożsamości osób czy stwierdzić, że wśród nich byli obwinieni w tej sprawie. Nie można im przypisać tych działań i odpowiedzialności za wy-

eprasa.pl 65676c200f

kroczenie". Tyle orzekł sędzia Łukasz Biliński.

Zanim Sejm uchwalił tej nocy budżet i ustawę dezubekizacyjną, komercyjne stacje na żywo relacjonowały wydarzenia spod Sejmu, podkręcając napięcie z godziny na godzinę. Katarzyna Kolenda-Zaleska tego wieczoru w „Faktach" zapowiedziała, że jeśli poleje się krew, to będzie miał ją na rękach Jarosław Kaczyński. Od tamtej pory Jarosław Kaczyński winien jest już wszystkiemu. Łącznie z tym, że COVID-19 mutuje i nie zdradza, kiedy sobie od nas pójdzie.

TRZY RAZY WOJNA

Dziś na ulicach antykaczyści wrzeszczą wprost: „To jest wojna!". No i to kloaczne zawołanie: „Wypierd...ć!". Gołym okiem widać, że hasła skandują osobniki zaburzone. Od czasu katastrofy smoleńskiej, przez całą dekadę, nieszczęśnicy zmienili się w potencjalnych pacjentów psychiatrycznych klinik. Z tym że, co ciekawe, za ich plecami stoją dawni generałowie, wcześniej często służący za ramię zbrojne Czesława Kiszczaka. I dziś razem maszerują do wieczności, skandując: „Jeb...ć PiS!". Układa się z tego wszystkiego jakaś pokraczna i niepokojąca powtórka stanu wojennego, której kolejne filmowe odcinki mógłby wymyślać Stanisław Bareja. Choć nie wiem, czy nawet jego wyobraźnia potrafiłaby stworzyć scenariusz, który przychodzi obserwować nam już niemal każdego dnia.

Inną odsłoną był 11 listopada. Radosne wydarzenie i Święto Niepodległości zmieniło się w zadymę i groźną nawalankę żywcem wyjętą z czasów rządów Platformy Obywatelskiej i PSL. Policja, strzelając z broni gładko lufowej, trafiła w policzek fotoreportera Tomasza Gutrego. W 1999 r. podczas demonstracji pracowników radomskiego Łucznika strzelono w oko gumową kulą fotoreporterowi „Naszego Dziennika". Reporter stracił oko.

Od czasu jak warszawskie ulice zalały hasła „wypie...laj" i „jeb...ć", żule z warszawskiej Pragi preferują powrót do zapomnianych słów z gatunku savoir-vivre'u: „dziękuję" i „przepraszam". Dodatek „Wyborczej" „Wysokie Obcasy" zamieścił artykuł z pytaniem: „Skąd ta rewolucja?". I dalej umieszczono odpowiedzi na pytanie: „Wychodzę na ulice, bo...". Ale czy to takie skomplikowane? Tam, gdzie słowo „jeb...ć" jest motorem życiowych działań, słowo „aborcja" zmienia się w sprawę życia i śmierci.

ZDOBYCZE SOWIECKIEJ REWOLUCJI

Właśnie mija setna rocznica legalizacji aborcji przeprowadzonej na skalę międzynarodową. Wszystko zaczęło się od Marksa i Lenina. Włodzimierz I. Lenin już w 1913 r. pisał, że „klasa robotnicza potrzebuje koniecznej zmiany wszystkich ustaw, które zakazują aborcji i antykoncepcji". Na marginesie warto przypomnieć, że w 1924 r., trzy dni po śmierci Lenina, Joseph Goebbels, późniejszy minister oświecenia narodowego i propagandy III Rzeszy, odnotował w swoim „Dzienniku": „21 stycznia zmarł Lenin. Największy duch komunistycznej myśli. Nikt go nie zastąpi. Przywódczy umysł Europy. Może później stanie się bohaterem legend".

> Tam, gdzie słowo „jeb...ć" jest motorem życiowych działań, słowo „aborcja" zmienia się w sprawę życia i śmierci

Sowiecki komunizm niszczenie życia, tradycyjnej rodziny oraz wiary chrześcijańskiej uznał za największe „zdobycze" rewolucji bolszewickiej. Ustawodawstwo legalizujące aborcję, przyjęte w ZSRR 18 listopada 1920 r. decyzją Narodowych Komisji Ochrony Zdrowia, opatrzono tytułem: „O ochronie zdrowia kobiet w sowieckich szpitalach". Aleksandra Kołłontaj, zwana apostołką wolnej miłości, ikona sowieckiego ruchu rewolucyjnego, pełniąca obowiązki ministra i ambasador Rosji sowieckiej, broniąca zbrodniczej polityki Józefa Stalina, zasłynęła z powiedzenia, że seks jest jak szklanka wody. Po rewolucji październikowej i przejęciu władzy przez bolszewię jako komisarz ludowy doprowadziła do depenalizacji prostytucji w Rosji. Na łamach prasy przedstawiała porady dla młodych obywateli w „zakresie pożycia płciowego". Głosiła ich prawo do nieskrępowanego życia seksualnego we wszystkich możliwych wariantach. Jako komisarz ludowa, a potem jako przewodnicząca Żenotdiełu, utworzonego przez Kołłontaj i Inessę Armand przy Radzie Komisarzy Ludowych w porewolucyjnej Rosji, pierwszego na świecie urzędu do spraw kobiet, popierała nieograniczoną żadnymi barierami prawnymi możliwość usuwania ciąży. Ustawodawstwo aborcyjne wymuszano najpierw w republikach ZSRR, w 1921 r. przyjęła je Ukraina, Gruzja, Armenia.

Po II wojnie światowej ruszyła lawina. „Prawo" aborcji wprowadzono w Szwecji (1946), Japonii (1948). W latach 1955–1957 aborcyjne ustawodawstwo narzucono krajom przyłączonym do Związku Radzieckiego, czyli Litwie, Łotwie i Estonii. Następnie pod naciskiem Rosji Sowieckiej zmieniono prawo w krajach tzw. bloku wschodniego: w Bułgarii, na Węgrzech, w Polsce, Słowacji, Czechach i Rumunii (1956 r.). W latach 60. i 70. XX w. kolejno legalizowały aborcję kraje Europy Zachodniej i Azji. W USA stało się to w 1973 r. I tak szaleństwo przetacza się przez świat. Dzisiaj aborcji dokonuje się nieodmiennie w ramach usług zdrowotnych.

WHO od lat 70. oficjalnie szacuje liczbę aborcji na świecie na ok. 50 mln rocznie. Do chwili obecnej daje to liczbę 2,5 mld zabitych nienarodzonych. Przy tym nie uwzględnia się przypadków dotyczących wcześniejszych 50 lat, nie obejmuje także skutków działania pigułki aborcyjnej RU-486, środków wczesnoporonnych oraz aborcji nieraportowanych (wykorzystano dane za publikacją Human Life International – Polska).

Autorka jest medioznawcą, religiologiem, prof. WSKSiM w Toruniu

eprasa.pl 65676c200f

„Notoryczny oszust" i modyfikacja genetyczna

Mianem „notorycznego oszusta", a nawet „notorycznego przestępcy" określili federalni prokuratorzy USA farmaceutyczny koncern Pfizer podczas konferencji prasowej w Waszyngtonie w roku 2009. A to dlatego, że wielokrotnie dopuszczał się on „przestępstw przeciwko bezpieczeństwu pacjentów" przyjmujących wyprodukowane przez niego medykamenty. Tylko w latach 2002–2009 koncern Pfizer ukarano czterokrotnie, zaledwie kilka miesięcy wcześniej zapłacił 75 mln dol. kary za nielegalne testowanie antybiotyków na dzieciach w Nigerii.

W roku 2009 Pfizer przyznał się do winy i zapłacił 2,3 mld dol. kary za wprowadzanie w błąd w kwestii zastosowania leku Bextra oraz leków – Geodon, Zyvox, Zoloft, Lipitor i Lyrica. Lek Bextra został wycofany z rynku w roku 2005, gdy wykazano, że zwiększa ryzyko ataku serca, zakrzepów i zawałów. Prokuratorzy oskarżyli też Pfizera o korumpowanie lekarzy za przepisywanie pacjentom dziewięciu innych leków. Zarzucili, że promował swoje produkty, zapraszając lekarzy do luksusowych ośrodków na rzekome szkolenia, fundując im m.in. grę w golfa, masaże i wycieczki. By uniknąć postępowania prokuratorskiego, koncern zgodził się zapłacić grzywnę w wysokości 2,3 mld dol. – największą w historii przemysłu farmaceutycznego. Pfizer został też zobowiązany do informowania na swojej stronie internetowej o wszystkich przypadkach wynagradzania lekarzy, nawet jeśli miało ono postać refundacji kosztów podróży. Wydający wyrok sędzia Michael K. Loucks powiedział, że kara jest wysoka, gdyż koncern jest recydywistą i nie wykazuje ochoty, by odejść od przestępczych praktyk.

Kara z roku 2009 nie była ostatnia. W roku 2012 rząd USA ponownie ukarał Pfizera grzywną 55 mln dol. za promocję leku Protonix niezgodnie z zatwierdzonym przeznaczeniem, a w roku 2013 Pfizer zgodził się zapłacić 491 mln dol. kary za nielegalny marketing leku Rapamune, co – zdaniem śledczych – było celowym działaniem, by „zwiększyć wyniki sprzedaży, nie licząc się ze zdrowiem i bezpieczeństwem pacjentów".

* * *

9 listopada br. Pfizer poinformował, że rozwijana przez niego szczepionka na COVID-19 ma ponad 90 proc. skuteczności i nie stwierdzono nic, co rodziłoby obawy o bezpieczeństwo jej użycia. Kilka dni później 94-proc. skuteczność ogłosił konkurent, firma Moderna. Szczepionki koncernów Pfizer i Moderna są nowatorskie – do organizmu wszczepia się fragment informacji genetycznej. Ma ona wytworzyć białko antygenowe zwalczające wirusa. To absolutnie eksperymentalny wariant szczepionki, dotąd nigdy niestosowany .

Koncern Pfizer rozpoczął masową produkcję szczepionki, zanim zakończył testy, zanim przekonał się o jej skuteczności i zanim uzyskał zezwolenia. Do końca tego roku sprzeda 50 mln dawek, do końca roku przyszłego sprzeda 1,3 mld dawek.

Do niedawna wszyscy specjaliści zgodnie twierdzili, że produkcja szczepionek trwa 10–15 lat, a minimum 5 lat. Dlaczego tak długo? Bo niektóre efekty ujawniają się po latach. Szczepionki na COVID-19 powstały w 8–9 miesięcy. Zarówno koncern Pfizer, jak i jego konkurenci: AstraZeneca, Moderna, Sanofil, Johnson & Johnson, jako warunek stawiają całkowite zwolnienie ich z jakiejkolwiek odpowiedzialności za działanie szczepionki, jej faktyczną skuteczność i jej bezpieczeństwo, czyli ewentualne powikłania i efekty uboczne u osób zaszczepionych.

Prof. Włodzimierz Gut o eksperymentalnej szczepionce: „Dopiero szuka się późnych efektów jej działania, a w historii sporo szczepionek się »wyłożyło« na tzw. późnych efektach".

W sprawie szczepionek, jakie mają być zaoferowane Polakom i na jakich warunkach, czas rozpocząć poważną – POWAŻNĄ – dyskusję. Dwa punkty są najważniejsze. Po pierwsze, sprzedawca zachwala swój towar, ale to nie jest żadna ewaluacja jego prawdziwej jakości. Zgodnie z rozumem, etyką i prawem szczepionka – zanim zostanie zaoferowana Polakom – musi być starannie, zgodnie z procedurami i wiedzą o szczepionkach przebadana przez polskich specjalistów zatrudnionych przez państwową instytucję do tego powołaną. W badaniu uczestniczyć winni tylko specjaliści, którzy nie pobierali wynagrodzeń, grantów czy innych świadczeń od koncernów farmaceutycznych lub ich firm zależnych.

Po drugie, w niemal wszystkich krajach Europy od kilkudziesięciu/kilkunastu lat istnieją instytucje, które finansują leczenie osób dotkniętych powikłaniami poszczepiennymi. Finansowane są z przymusowych wpłat koncernów farmaceutycznych. Tylko w Polsce takiej instytucji nie ma, lobbyści skutecznie blokują jej powstanie, politycy są niezainteresowani lub bezsilni.

No to przyszedł czas, by byli silni. Apeluję o powołanie takiej instytucji natychmiast.

Maciej Pawlicki

Reklama | 25/1020/F

eprasa.pl 65676c200f

niedziela

TYGODNIK KATOLICKI OD 1926

do Twojego domu

w prenumeracie na 2021 r.

TERAZ
BEZ OPŁATY POCZTOWEJ

PROMOCJA DO **30 LISTOPADA**

ZAMÓW: na kwartał ◆ na pół roku ◆ na rok
- u listonosza
- w placówkach Poczty Polskiej
- na stronie **www.prenumerata.poczta-polska.pl**

szczegóły dotyczące prenumeraty:
www.niedziela.pl/prenumerata

Poczta Polska

eprasa.pl 65676c200f

Trudno pojąć

Alina Czerniakowska

Listopadowe dni zwykle skłaniają do refleksji nad otaczającym światem, sensem naszych działań i postępowań, ale listopad 2020 r. jest wyjątkowy nie tylko z powodu pandemii, noszonych maseczek, strachu przed chorobą i śmiercią. Najbardziej przerażająca jest obecnie kondycja narodów, państw, ludzi, którzy w imię celów trudnych do pojęcia dla zwykłego człowieka burzą świat oparty na odwiecznych prawach Bożych i ludzkich. Bez najmniejszego wstydu demonstrują swój brak kultury, wiedzy, brak wszelkich zasad. A przecież ci wszyscy wykrzykujący na ulicach miast wulgarne słowa, noszący jakieś beznadziejne hasła i plakaty (Niemcy śmieją się, że Polakom coś się pomieszało w głowach, bo używają symboli Hitlerjugend, żądając aborcji (!)), wyzywający innych w odrażający sposób, nieoszczędzający żadnego autorytetu, też mieli rodziców, krewnych, ktoś ich wychował. Jak to się stało, że dla tych ludzi nie ma granicy, której zwyczajnie przekroczyć nie wolno.

Na te i podobne pytania najtrudniej odpowiedzieć ludziom, którzy mają we krwi zasady dobrego wychowania, kultury bycia, dla których „Bóg Honor Ojczyzna" to nie są tylko hasła wypisane na kombatanckich sztandarach. Wyrośli w takich domach i nauczani byli w szkołach tych świętych zasad i starali się tak żyć, by nigdy się im nie sprzeniewierzyć.

Obserwowałam wielokrotnie spotkania uczestników powstania warszawskiego z młodzieżą w szkołach i widziałam, jak byli dumni, że mogą liczyć na następne pokolenia, ufali i wierzyli, że ci młodzi są tacy sami jak oni. A to, co zobaczyli teraz, pod koniec swojego życia, to nie jest tylko smutek, to rozpacz trudna do ogarnięcia. Gdy rozmawiam z takimi ludźmi, widzę, jak naprawdę cierpią, próbują znaleźć przyczyny obecnego stanu. Często wymieniają bezstresowe wychowanie na zasadzie zawołania Owsiaka „Róbta, co chceta", brak odpowiedzialności i wymagań.

Żyjący jeszcze przedwojenni nauczyciele podkreślają, jak wielką rolę może odgrywać szkoła, zarówno w solidnym nauczaniu historii, literatury, sztuki, jak i zasad dobrego wychowania. Wszystko to zostało zaprzepaszczone przez powojenne lata, ale niestety trwa do dzisiaj.

Znam dziennikarzy, którzy pracowali w telewizji w latach 60. i 70. ubiegłego wieku. Wspominają, że ten kto używał wulgarnych słów, kto był przebiegły, więcej kłamał, kradł, kombinował, ten był podziwiany, nagradzany posadami dyrektorskimi i różnymi innymi przywilejami. Oni już wychowali swoje kolejne pokolenia i mamy dzisiaj pokaz tego wszystkiego na ulicach. Dziewczyna czy chłopak używający najbardziej wulgarnych słów nie wstydzą się, dorośli dają im przykład – prawnik, który kradnie, kłamie, jest bezkarny, pani profesor stojąca wśród młodzieży krzyczy najgłośniej „wypier...". Polityk, który dopuścił się strasznych czynów, bryluje w UE i bezkarnie rzuca oszczerstwa na innych. Takie mają przykłady.

„Dyktatura motłochu – powiedziała znajoma doktor medycyny – tolerujemy coś niewyobrażalnie strasznego". Ktoś powie „smutne czasy", znacznie gorzej, bo jak teraz naprawić ludzi, którzy nie odróżniają dobra od zła, nie znają granic hańby własnego postępowania, którym się wydaje, że są bardzo mądrzy, nowocześni i naśladują tzw. Zachód w tym najgorszym wydaniu, z dużym opóźnieniem, bo teraz tam młodzi zaczynają szukać wartości, wracają do korzeni chrześcijańskich. Ten powrót jest jeszcze niewielki, dzieje się z trudem, ale symptomy są. We Francji coraz większe grupy, modląc się, żądają otwartych kościołów i mszy świętych. Brakuje autorytetów, ludzi świętych o wielkich umysłach i charakterze, jakim był Jan Paweł II, który potrafił porwać młodych na całym świecie, nie tylko w Polsce. Prowadził Bożą drogą i wołał: „Tylko Jezus, On jest Drogą, Prawdą, Życiem! Abyście nigdy od Niego nie odstąpili, nie wzgardzili tą Miłością, która jest największa, która wyraziła się przez Krzyż, a bez której życie ludzkie nie ma ani korzenia, ani sensu... Człowiek jest wielki nie przez to, co posiada, lecz przez to, kim jest, nie przez to, co ma, lecz przez to, czym dzieli się z innymi (...) Prawo do życia od poczęcia do naturalnej śmierci nie jest tylko kwestią światopoglądu, nie jest tylko prawem religijnym, ale jest prawem człowieka!".

Te wszystkie słowa tkwią w nas razem z wizerunkiem „Papieża, jakiego jeszcze nie było", ale od śmierci Jana Pawła II minęło już 15 lat. Rośnie pokolenie, które go nie zna, bo żadne filmy, książki ani opracowania nie są w stanie oddać wielkości Jego osoby. André Frossard już na początku pontyfikatu po napisaniu książki wywiadu z Janem Pawłem II powiedział: „Ten człowiek promieniuje wielką świętością, niespotykaną mądrością i miłością do człowieka, musi być wysłannikiem Boga".

Dzisiaj warto przytoczyć słowa wypowiedziane w 1976 r. w Stanach Zjednoczonych przez wówczas jeszcze kardynała Karola Wojtyłę: „Stoimy dziś w obliczu największej konfrontacji, jaką kiedykolwiek przeżyła ludzkość. Nie przypuszczam, by szerokie kręgi społeczeństwa amerykańskiego ani najszersze kręgi wspólnot chrześcijańskich na świecie zdawały sobie z tego w pełni sprawę. Stoimy w obliczu ostatecznej konfrontacji między Kościołem a anty-Kościołem, Ewangelią a jej zaprzeczeniem. Ta konfrontacja została wpisana w plany Boskiej Opatrzności. To czas próby, w który musi wejść cały Kościół, a polski w szczególności. Jest to próba nie tylko naszego narodu i Kościoła. Jest to w pewnym sensie test na dwutysiącletnią kulturę i cywilizację chrześcijańską ze wszystkimi jej konsekwencjami: ludzką godnością, prawami osoby, prawami społeczeństw i narodów".

Autorka jest reżyserem filmowym, scenarzystką i dziennikarką

eprasa.pl 65676c200f

Kryzysowe zarządzanie kulturą

Lech Makowiecki

„Sztuka jest niezbędna dla pełnego życia narodowego. Państwo jest zobowiązane do jej podtrzymywania i wspierania" – powiedział Winston Churchill w wystąpieniu przed Royal Academy 30 kwietnia 1938 r. Gdy już podczas II wojny światowej doradcy sugerowali mu obcięcie wydatków na kulturę, rozdrażniony brytyjski premier miał ponoć zapytać: „To właściwie o co my tę wojnę prowadzimy?". I żadnych drastycznych cięć w resorcie kultury nie przeprowadzono. Cóż, prawdziwi mężowie stanu objawiają się w pełni w czasach ekstremalnych (wojny, zarazy, kataklizmy, klęski żywiołowe itp.). Pamiętam tych, którzy radzili się ubezpieczać. Albo czekać na samoistne spłynięcie powodzi do morza.

W związku z ogłoszeniem globalnej pandemii koronawirusa (niektórzy mówią już nawet o hybrydowej wojnie biologicznej!) gospodarka światowa gwałtownie wyhamowała, a wprowadzony lockdown doprowadził do bankructwa liczne jej sektory. Ludziom wybranych profesji grozi dziś nędza. Zanim zdążą się przekwalifikować i znaleźć nową pracę, państwo musi pomóc im przetrwać. Wszystkim, bez wyjątku! I wesprzeć w miarę sprawiedliwie. Ostatni, kuriozalny podział Funduszu Wsparcia Kultury skłócił zarówno artystów, jak i publiczność.

PS Swego czasu MKiDN zasilało dotacjami obrazoburcze spektakle i performance („Klątwa", „Nóż w piździe" etc). A może by tak (kryzys!) zacząć wreszcie ogłaszać konkursy na tożsamościowe piosenki? Jestem ciekaw, jak skuszeni wysokimi nagrodami twórcy zlewicowanego mainstreamu poradziliby sobie z pięknym opiewaniem (zamiast zwyczajowego opluwania) naszej historii, tradycji i świata wartości. Stworzenie wrażliwego, wzruszającego lub euforycznego utworu (np. o Auschwitz, Wołyniu, Katyniu, Bitwie Warszawskiej, Pileckim czy Ince) jest trudniejsze niż profanacja ojczyzny, deptanie Krzyża czy rwanie Biblii. Ale może ich krzywdzę? Może powstałyby genialne dzieła na miarę współczesnej „Roty"?

To jak, panie ministrze? Startujemy?

Z życia Kościoła

relacjonuje **Agnieszka Ponikiewska**

1. Z dnia na dzień pojawia się coraz więcej analiz ekspertów i teologów, którzy przeczytali uważnie obszerny raport Stolicy Apostolskiej na temat byłego kard. McCarricka. Wyraźnie stwierdzili, że nie dotyczy on św. Jana Pawła II. Pokazuje za to, że papież niczego nie tuszował i nie można obwiniać go za zło wyrządzone przez McCarricka. Wrogie papieżowi środowiska 449-stronicowy raport zamieniły w oskarżenia Jana Pawła II, który sam został przez amerykańskiego kardynała oszukany.

✠ ✠ ✠

2. W ostatnich tygodniach w Polsce jest coraz więcej przypadków znieważania przedmiotów czci religijnej. Zniszczenie figury dzieci fatimskich w Mogilnie, profanacja pomnika św. Jana Pawła II w Warszawie to jedne z wielu aktów wandalizmu. Oprócz całej sfery duchowej i bólu wierzących to chuligaństwo. To też czas próby i weryfikacji dla Kościoła oraz wierzących. Trzeba sobie powiedzieć jasno, że osłabienie Kościoła prowadzi do osłabienia więzi społecznych, wspólnoty i w konsekwencji całego narodu.

✠ ✠ ✠

3. 16 listopada zmarł kard. Henryk Gulbinowicz, były metropolita wrocławski. Tuż przed jego śmiercią usłyszeliśmy o zakazie uczestniczenia kardynała w jakiejkolwiek celebracji lub spotkaniu publicznym, używania insygniów biskupich, pozbawieniu prawa do nabożeństwa pogrzebowego w katedrze. Wiemy o karach, ale Stolica Apostolska nie podała ich konkretnej przyczyny. Brak jasności w tej sprawie może budzić nieufność. To ostatnia rzecz, której potrzeba Kościołowi.

✠ ✠ ✠

4. Caritas Polska i stołeczna straż miejska po raz szósty pospieszą z zimową pomocą dla osób bezdomnych. Chodzi o dostarczenie osobom poza schroniskami m.in. ciepłej zupy i innych odpowiednio zabezpieczonych produktów spożywczych. Wśród darów znajdą się też koce, skarpety i potrzebne podczas pandemii środki ochrony osobistej. Jesienno-zimowa akcja od kilku lat jest prowadzona w Warszawie. W innych miastach podobne inicjatywy podejmują diecezjalne Caritas.

✠ ✠ ✠

5. Z inicjatywy Rady ds. Duszpasterstwa Kobiet KEP powstała platforma online www.kierunekniebo.pl. Jest to pierwsza w Polsce platforma do duchowej formacji kobiet, na której będzie można znaleźć różnego rodzaju materiały formacyjne. Jest to także miejsce spotkań, wymiany poglądów, wsparcia.

eprasa.pl 65676c200f

JAN POSPIESZALSKI

Powrót do barbarzyństwa

Jesteśmy świadkami przejścia świadomego człowieczeństwa do ery zbydlęcenia

Próba narzucenia Polsce przez niemiecką prezydencję i Parlament Europejski regulacji wiążących wypłatę środków z tzw. przestrzeganiem praworządności zbiega się w czasie z trwającymi od miesiąca protestami pod wdzięcznym hasłem „Wy...ć".

Nie tylko koincydencja czasowa łączy owe wydarzenia. Skala ulicznych protestów i spore poparcie aborcjonistów przez młodych ludzi nie wzięły się znikąd. Obok kilku innych powodów paliwem rewolty jest przekonanie, że aborcja jest europejską normą, a więc każda próba przywrócenia czy poszerzenia ochrony życia (czyli ograniczanie dostępu do aborcji) jest oddalaniem Polski od „europejskich standardów".

Karkołomna misja wmówienia młodym ludziom, że zabijanie niepełnosprawnych „jest OK", nie byłaby tak skuteczna, gdyby nie zaangażowanie tzw. aktorów zewnętrznych. Począwszy od codziennego biuletynu aborcyjnej rewolty, jakim stała się „Gazeta Wyborcza" (udziałowcem jest fundacja George'a Sorosa), poprzez proaborcyjne organizacje finansowane m.in. przez fundusze norweskie, a nawet wprost przez koncerny farmaceutyczne (co potwierdziło orzeczenie sądu w procesie Nowicka przeciw Najfeld) i zaangażowanie niemieckich mediów, cała ta potężna machina propagandowa latami zatruwała wyobraźnię moralną Polaków.

Przymusowy eksport moralnej dekadencji odbywa się wraz z coraz powszechniejszym zjawiskiem pogardy dla przeszłości. Dla arcykapłanów nowego porządku – historia, tradycja, tożsamość, pamięć zbiorowa – stanowią przeszkodę w ulepieniu nowego człowieka i nowego społeczeństwa. Jednym z wyróżników wszelkich rewolucji jest nienawiść do historii. Tradycja, religia, a w końcu wartości muszą zostać pogrzebane przez usunięcie ich z programów szkolnych lub reinterpretację. W tym kontekście widać, dlaczego liberalne i zagraniczne media z taką mocą angażują się, a właściwie organizują napaść na ministra nauki Przemysława Czarnka.

Młodzi licealiści, często dzieciaki, maszerujący w rytm wulgarnych haseł ujawnili, jak silny jest mechanizm wyparcia, a właściwie zaparcia się samego siebie. Tak działa policja jednolitego myślenia. Próby rozmów dziennikarzy TVP z uczestniczkami protestów, pytania o argumentację kwitowane były powtarzanymi sloganami i wulgaryzmami. Dyskusje w mediach społecznościowych obnażały nieznajomość podstawowych wiadomości z zakresu wiedzy o społeczeństwie, biologii, historii, brak zdolności logicznego myślenia, rozumienia związków przyczynowo-skutkowych, elementarnej wiedzy. Ci młodzi ludzie przecież chodzili do polskich szkół. Gdzie są źródła takiej skali zapaści kulturowej? Kryzys pamięci rodzi kryzys kultury. Stąd wulgaryzmy, stąd napaść na kościoły, agresja wobec katolików, wiary, świętych symboli. Jesteśmy świadkami przejścia świadomego człowieczeństwa do ery zbydlęcenia.

Urągające traktatom UE naciski Parlamentu Europejskiego wobec polskich i węgierskich władz to inna odsłona anarchistycznej awantury, która miała czy ma miejsce na polskich ulicach. Uzurpacja, jaką jest chęć decydowania przez najsilniejsze kraje Unii o kierunku polskich reform i polityce wewnętrznej, przez dyscyplinowanie ekonomiczną maczugą, to próba ograniczenia naszej suwerenności. Nie będzie to jednak możliwe, dopóki Polacy, ale też Węgrzy (a pewnie też Rumuni, Słowacy, mieszkańcy republik bałtyckich) będą trwali przy swojej tradycji. Zatem konieczne jest kulturowe wykorzenienie krajów Europy Środkowo-Wschodniej na modłę krajów Zachodu, które same przeżywają śmiertelny kryzys tożsamości.

Za kryzysem tożsamości idzie kryzys demokracji i właśnie kryzys rządów prawa. Jaki to ma związek z plagą aborcji? Uznane za standard w krajach Zachodu tzw. prawo do aborcji jest radykalnym zagrożeniem dla praw człowieka i podważa sam sens demokracji. Nie zmienia tu nic to, że w kolejnych parlamentach to prawo przyjmowano większością głosów. Czynnikiem, który w ostateczności kształtuje współżycie społeczne, staje się bowiem siła. Jan Paweł II nazwał to dosadnie: to powrót do barbarzyństwa i zaprzeczenie tego, do czego dążyło państwo prawa jako wspólnota, w której „racja siły" zostaje zastąpiona przez „siłę racji".

eprasa.pl 65676c200f

Michał Korsun prezentuje:* *Niewierny Kazimierz

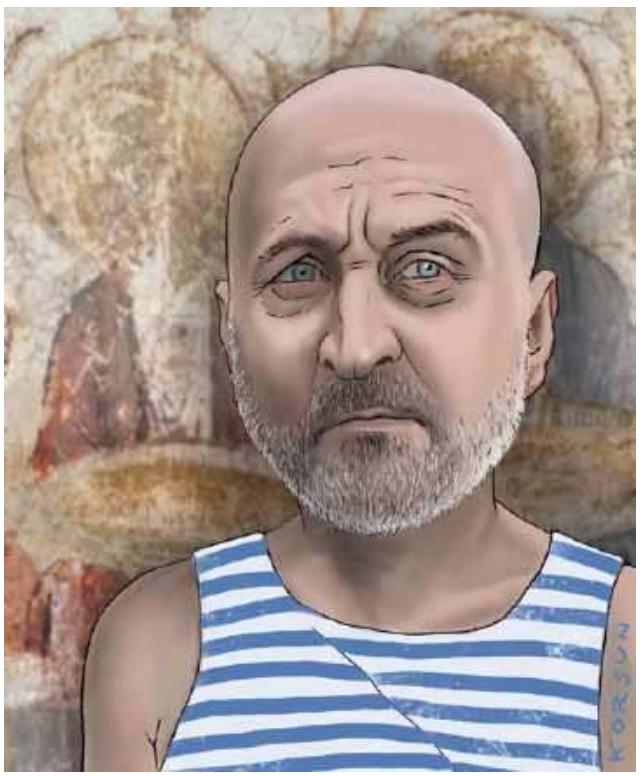

Wycinki z przeszłości

Takim kunsztownym obrazem reklamował się w grudniu 1916 r. w „Tygodniku Ilustrowanym" sklep Bogusława Hersego, mającego w Warszawie salony przy Marszałkowskiej 15 i Szkolnej 15. Placówka chwaliła się długą historią, założono ją bowiem w roku 1868. Jak czytamy w ogłoszeniu, oferta zawiera „wykwintne podarki gwiazdkowe dla pań", w tym „koronki stare i nowożytne", „jedwabie, aksamity, wełny", „szale gazowe i koronkowe", „pióra, kwiaty", „suknie, kostiumy, płaszcze, okrycia, futra", „kapelusze, boa, stroje głowy, czapeczki, wykwintną bieliznę, żaboty, wachlarze" oraz „torebki i rękawiczki". Do tego „dywany, kobierce wschodnie, wytworne firanki". Sklep informował też, że „wyszedł już z druku ilustrowany katalog kap, dywanów, firanek", a po napisaniu na adres sklepu otrzyma się także bezpłatnie próbki materiałów czy kosztorysów.

Może było nieco trudniej niż dziś z zakupami w internecie, ale za to rzeczy były trwalsze, a nabytki – w tym podarki dla pań – bardziej przemyślane.

(mk)

W złotych strzępach liści...

Leszek Długosz

W połowie lat 60. złączyłem te trzy miniatury i skomponowałem z nich piosenkę śpiewaną w Piwnicy pod Baranami. Było to bodaj pierwsze wprowadzenie poezji Lechonia w obręb piosenki. Śpiewałem ją na Zaduszkach Poetyckich zorganizowanych w 1966 r. w auli Uniwersytetu Warszawskiego. To była komentowana nowość. Tak się przecierało szlaki.

Jan Lechoń (1899–1956)
Z tomu „Srebrne i czarne"

Na niebo wypływają białych chmurek żagle,
Od twojej płynie strony niebieska fregata
Nie do mnie, nie od ciebie. I poczułem nagle,
Że już nigdy nie będzie jak zeszłego lata.

Noc przyjdzie księżycowa i w twoim ogrodzie
Na srebrnej trawie cienie ułoży ogromnie.
A później będzie koła rysować na wodzie,
Gdy będziesz szła ogrodem nie ze mną, nie do mnie.

* * *

W złotych strzępach liści drzewa nocą stoją,
Księżyc srebrne smugi po ziemi rozwłóczy,
Nic mi nie pomoże na tęsknotę moją,
Już mnie żadne szczęście od niej nie oduczy.

Pobielały domy od srebrnej poświaty,
Jesienny przymrozek słabe ciało krzepi.
Tylko zeschłe liście, tylko zwiędłe kwiaty!
Może być jak było, może nie być lepiej.

* * *

Co noc, gdy już nas nuda bezbrzeżna ogarnia,
Gdy czczość jałową w myśli, w sercu pustkę mamy,
Wypluwa nas na miasto knajpa lub kawiarnia
I błądzimy bez celu po zamknięciu bramy.

A potem: łomotanie czasem półgodzinne,
Nim wreszcie stróż zaspany obudzić się raczy,
I myśl: zabłądzić w końcu przed drzwi jakieś inne,
Co prowadzą do „Lepiej" lub choćby „Inaczej".

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	75 zł	139 zł	245 zł
wSIECI HISTORII	–	29 zł (3 wydania)	54 zł (6 wydań)
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	–	158 zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	280 zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

**dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

eprasa.pl 65676c200f

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Jedna z głupszych myśli

W epoce internetu nie ma już barier komunikacyjnych – tak brzmi jedna z głupszych, zwodzących na manowce myśli, jaką znamy. To myśl zaburzająca nasze rozumienie współczesności. Jej błędność ma wiele wymiarów, ale teraz skupimy się na dwóch. Na przeszkodach w drodze do zdobycia prawdziwej wiedzy oraz na barierze skutecznego dotarcia ze swoim przekazem do odbiorców.

WIELKIE PRZEMIESZANIE

Pierwszą barierą, na jaką napotyka ktoś, kto chce z ogromnego internetowego zbiornika informacji uzyskać przydatną wiedzę, jest Wielkie Przemieszanie. Przemieszanie wszystkiego ze wszystkim: ważnego z nieważnym, poważnego z ironicznym, prawdziwego z kłamliwym, rzeczywistego z fikcyjnym, dobrodusznego ze złośliwym itd., itd.

Na przykład z tego, iż jakaś porcja informacji wygląda wiarygodnie, wcale nie wynika, że są one prawdziwe. Mogą być tak spreparowane bądź spontanicznie same się tak skonfigurować, że trafiają w gusta określonej grupy odbiorców. Na tym przecież polega robota marketingowców, piarowców, spin doktorów, nie wspominając już klasycznych propagandystów. Działać tak, by ich przekazy jawiły się jako wiarygodne.

Dobrze wyszkolony analityk, zwłaszcza gdy nie działa pod presją czasu, z przeszkodą informacyjnego grochu z kapustą potrafi się uporać. Zna typowe pułapki poznawcze. Potrafi dotrzeć do wartościowych źródeł informacji, np. portalu renomowanej uczelni. Co może, to sprawdzi sam, a w innych kwestiach wie, z kim się konsultować. Potrafi samodzielnie uzupełnić brakujące ogniwa danych i następnie wytworzyć nową wiedzę wysokiej jakości. Czyli z internetowego oceanu Wielkiego Przemieszania wyłuska to, co jadalne i sporządzi zdrową potrawę przydatną dla decydentów lub szerszej opinii publicznej, mającej wpływ np. na kierunki polityki zdrowotnej w jakimś kraju.

Internet zaburzył nasze zdolności rozumienia świata. Wytworzył stan już przewlekłej poznawczej ułomności ludzkości

Ale nawet analityk nie powie, że barier nie ma. Może jest wygodniej, mniej trzeba się ruszać z miejsca, dzwonić, spotykać. Ale bariery, które trzeba pokonać, cały czas istnieją.

DOTRZEĆ Z PRAWDĄ…

Przyjmijmy, że zdrowa potrawa, czyli wartościowa wiedza, już jest wytworzona. Ale teraz trzeba doprowadzić do tego, by dotarła do odbiorców. W tym momencie mamy odwrotny kierunek przedzierania się przez Wielkie Przemieszanie. Owo przemieszanie to przecież nic innego jak strukturalnie zatruta infosfera. Infozgiełk, w którym pełno jest odwracaczy uwagi: okazje, obniżki, kuszenie erotyką, drażnienie przemocą oraz dezinformacje, spam, trollowanie itd.

Nawet jeśli nowa wartościowa wiedza już powstała, to wcale nie musi się ona przez zatrutą infosferę przedrzeć. Prawdzie niełatwo wygrać w konkurencji z innymi bodźcami (w tym z interesami różnych grup), dotrzeć do umysłów osób, które nową wiedzę powinny przyswoić. Może to być wąska grupa decydentów, może to być cała warstwa społeczna, której fałszywe wyobrażenia należałoby zmienić.

PORZUCIĆ DOGMAT

Społeczeństwa demokratyczne zaczną sobie ze światem nieco lepiej radzić dopiero wtedy, gdy porzucą szkodliwy dogmat: „W epoce internetu nie ma już barier komunikacyjnych". Internet bowiem wyewoluował w taki sposób, że stał się jedną wielką barierą komunikacyjną! Gdy zaś w zatrutej infosferze nie możemy reagować racjonalnie – reagujemy czysto instynktownie.

Niedawno w Polsce mogliśmy obserwować, jak bariera infozgiełku została przebita. Przebita lokalnie, bo przecież nieprzełamana na dłuższy czas, nie mówiąc już, że na stałe. Przebicia tego dokonały, chyba tak należy je nazwać, „kobiety wypierdalaczki". Środowisko, które sięgnęło po – otwarcie łamiącą dobre obyczaje i ważne kulturowe tabu – technikę mobilizacji przez publiczny bluzg. Czy gdyby internet faktycznie obalił bariery komunikowania się między ludźmi, to dziewczyny i kobiety musiałyby masowo sięgać po przekleństwa?

W istocie internet zaburzył nasze zdolności rozumienia świata. Wytworzył stan już przewlekłej poznawczej ułomności ludzkości. Jakby mało było pandemii, społeczeństwa dodatkowo uginają się pod ciężarem spiskowych obsesji oraz hiperwolnościowych iluzji.

Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Autopromocja x2

eprasa.pl 65676c200f

Sieć Przyjaciół

JEDNA SUBSKRYPCJA - TRZY TYTUŁY

SIECI + wSIECI HISTORII + wPolityce.pl

• WYGODNIE • W DNIU WYDANIA

- tygodnik Sieci i magazyn wSieci Historii w wersji cyfrowej (pdf)
- archiwum obu tytułów od 2017 r.
- dostęp do strefy Premium portalu wPolityce.pl

1 miesiąc TYLKO 9,99 zł

ZAMÓW JUŻ DZIŚ: www.SiecPrzyjaciol.pl

eprasa.pl 65676c200f

PLEBISCYT DLA CZYTELNIKÓW

Człowiek Wolności tygodnika SIECI

VIII EDYCJA PLEBISCYTU

Już po raz ósmy wybieramy **Człowieka Wolności**, czyli osobę, dla której wolność jest wartością najważniejszą, a jej obrona i szerzenie codzienną powinnością

2019
Premier **Mateusz Morawiecki**

2018
Minister Kultury i Dziedzictwa Narodowego **prof. Piotr Gliński**

2017
Prezes Trybunału Konstytucyjnego **Julia Przyłębska**

2016
Prezes PiS **Jarosław Kaczyński**

2015
Prezydent RP **Andrzej Duda**

2014
Poeta i pisarz **Jarosław Marek Rymkiewicz**

2013
Historyk z IPN **prof. Krzysztof Szwagrzyk**

Zapraszamy Czytelników, by razem z nami wybierali **Człowieka Wolności 2020**.
Prosimy wypełnić kupon i **przesłać go do 11 grudnia 2020 r.** na adres: Fratria Sp. z o.o., ul. Finlandzka 10, 03-903 Warszawa, z dopiskiem „Plebiscyt".
Regulamin plebiscytu dostępny na www.wsieciprawdy.pl.

KUPON ZGŁOSZENIOWY – Plebiscyt Człowiek Wolności 2020 tygodnika SIECI

imię i nazwisko kandydata .....

uzasadnienie .....

.....

.....

☐ Akceptuję Regulamin plebiscytu „Człowiek Wolności 2020 tygodnika Sieci" dostępny na stronie www.wsieciprawdy.pl i oświadczam, że zapoznałam/em się z jego treścią.*

* pole obowiązkowe

Partnerzy plebiscytu

LOTOS · ORLEN · PKO Bank Polski · TOTALIZATOR SPORTOWY

Organizator plebiscytu

SIECI

eprasa.pl 65676c200f

Polskie kobiety będą chronione jak nigdy wcześniej

PRAWDZIWA TROSKA O PRAWA KOBIET A HUCPA POLITYCZNA

Prawda przestała mieć jakiekolwiek znaczenie w brutalnej walce politycznej, a zakłamywanie rzeczywistości i ignorowanie faktów doszły do nienotowanej bodaj nigdy w historii skali. Do tak smutnego wniosku można dojść, zestawiając chociażby niedawną akcję organizacji Ogólnopolski Strajk Kobiet na Giewoncie, w czasie której sprofanowano stojący na szczycie góry krzyż, wieszając na nim baner „Przemoc domowa to nie tradycja" opatrzony symbolem czerwonego pioruna, z faktem, że już tylko dni dzielą nas od wejścia w życia przełomowej ustawy antyprzemocowej, która w sposób bezprecedensowy wzmocni pozycję ofiar i zadba realnie o ich bezpieczeństwo.

Wydawać by się mogło, że w uczciwym świecie listopad 2020 r. powinien być świętem wszystkich, którym na sercu leży przeciwdziałanie zjawisku przemocy domowej w naszej ojczyźnie. 30 listopada wejdzie bowiem w życie tzw. ustawa antyprzemocowa, której przepisy w sposób radykalny zadbają o natychmiastowe przerwanie patologicznych, opartych na przemocy relacji pomiędzy osobami zamieszkującymi pod jednym dachem. Statystyki nie kłamią – to wciąż kobiety, głównie żony i matki, stanowią zdecydowaną większość ofiar przemocy domowej. Można zatem z pełną odpowiedzialnością ogłosić, że to głównie panie będą beneficjentkami nowych przepisów prawa, a ich prześladowcy i oprawcy mogą już dziś drżeć przed nowymi przepisami, zgodnie z którymi będą musieli natychmiast opuścić mieszkanie, w którym dopuszczają się wspomnianych wyżej przestępstw.

OBELGI ZAMIAST WDZIĘCZNOŚCI

Tymczasem obserwując to, co dzieje się obecnie na polskich ulicach i wsłuchując się w głosy płynące ze strony przedstawicielek organizacji roszczących sobie prawo do reprezentowania kobiet, można dojść do wniosku, że w sferze legislacyjnej dzieje się coś zupełnie przeciwnego. Ordynarne, wulgarne, a często także brutalne i ofensywne protesty, jakie wybuchły po ostatnim orzeczeniu Trybunału Konstytucyjnego, niosą falę przeróżnych postulatów, wśród których wybija się i ten wzywający do walki z przemocą domową. Kulminacją jego zaakcentowania było zawieszenie na krzyżu stojącym na szczycie Giewontu wielkiej płachty z symbolem strajku kobiet i hasłem „Przemoc domowa to nie tradycja". W głowie się nie mieści, że osoby, którym rzekomo tak bardzo leży na sercu walka z przemocą domową, są w stanie w jej imię sprofanować ważny dla większości Polaków symbol, nie wiedzą nic o tym, że właśnie odliczamy dni do wejścia w życie ustawy antyprzemocowej. Zamiast jednak poparcia i wyrazów wdzięczności, na jakie zasługują autorzy tego projektu związani z obecnym kierownictwem Ministerstwa Sprawiedliwości i rządem Zjednoczonej Prawicy, są oni piętnowani przez organizatorów wspomnianych protestów jako rzekomi oprawcy, ciemiężyciele czy wrogowie kobiet.

NOWA USTAWA TO RACJA STANU

Na powyższym przykładzie widać wyraźnie, jakie są tak naprawdę inspiracje i cele organizatorów i organizatorek ulicznych burd. Trudno przyznać im rację, że chodzi tu o prawdziwe prawa i ochronę polskich kobiet, a należy raczej zgodzić się z komentatorami politycznymi wskazującymi, że prawdziwą intencją jest doprowadzenie do przewrotu politycznego w naszej ojczyźnie poprzez wywoływanie coraz większych niepokojów społecznych. Każdy, komu leży na sercu dobro Polski, powinien przypominać, że już 30 listopada Polska dołączy do krajów, w których troska o zapewnienie bezpieczeństwa ofiarom przemocy domowej będzie jednym z priorytetów działań służb porządkowych, takich jak policja czy żandarmeria wojskowa. Polskie kobiety, narażone dotąd na życie z oprawcą pod jednym dachem, zyskają narzędzie i wparcie, które błyskawicznie przerwie przemocową relację, gdyż to oprawca będzie musiał natychmiast opuścić wspólne mieszkanie i szukać sobie dachu nad głową. W kontekście ostatnich wydarzeń na ulicach polskich miast przypominanie o nowym prawie jest po prostu racją stanu. ●

PARTNERZY DODATKU

FUNDUSZ SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI
www.ms.gov.pl

eprasa.pl 65676c200f

Już nie będziesz musiała uciekać z własnego domu!

Osobom, które w swoim życiu nigdy nie zetknęły się ze zjawiskiem przemocy domowej, trudno nawet wyobrazić sobie, co przeżywają ofiary, które nie mogą się czuć bezpieczne we własnym domu. Dom, który dla każdego powinien być bezpiecznym azylem i oazą spokoju, często staje się miejscem prześladowań i permanentnego lęku.

Pani Karolina z Siedlec dobrze wie, co to znaczy uciekać z własnego domu. Lęk, poniżenie, ból, a przede wszystkim poczucie bezsilności przez lata towarzyszyły jej nieustannie. Wszystko przez męża, który pastwił się nad nią bez żadnego powodu. Pani Karolina często uciekała z domu przez okno, czasem nie zdążyła nawet założyć ciepłych butów czy chwycić choćby kurtki. Musiała się ratować ucieczką, gdy sadysta wpadał w szał i pozostawanie z nim pod jednym dachem stanowiło dla niej realne niebezpieczeństwo utraty zdrowia lub nawet życia. Po kilku godzinach pani Karolina musiała wrócić do mieszkania, na jej barkach spoczywała jeszcze bowiem opieka nad niepełnosprawnym synem, którym mąż sadysta – jak łatwo się domyślić – wcale się nie zajmował.

Na przykładzie pani Karoliny możemy zauważyć, co zmieni się 30 listopada w Polsce, po wejściu w życie ustawy o przeciwdziałaniu przemocy domowej, zwanej po prostu ustawą antyprzemocową. Jeżeli po tym terminie pani Karolina zdecydowałaby się wezwać do swojego mieszkania policję, by poprosić o interwencję w związku z agresywnym zachowaniem męża, to funkcjonariusze po przyjeździe nakazaliby mężowi natychmiastowe opuszczenie lokalu. Oprawca dostałby jedynie kilka minut na spakowanie najpotrzebniejszych rzeczy oraz listę ośrodków, w których mógłby poprosić o nocleg. Generalnie jednak to na jego barkach spoczywałby problem znalezienia sobie dachu nad głową. Patologiczna relacja oprawcy i ofiary zostałby natychmiast przerwana. Warto zauważyć, że nie ma tu znaczenia, czy oprawca posiada tytuł prawny do zajmowanego lokalu. Jeżeli istnieje uzasadnione podejrzenie, że jest on sprawcą cierpień swoich współdomowników, musi się natychmiast wyprowadzić.

Co oczywiste, dramat pani Karoliny rozgrywał się w czasie, kiedy ustawa antyprzemocowa jeszcze nie obowiązywała. Kobieta nie została jednak bez pomocy i wsparcia dzięki Funduszowi Sprawiedliwości, który finansuje działalność ośrodków pomocy ofiarom w całej Polsce. Pomoc pani Karolinie została udzielona konkretnie przez Okręgowy Ośrodek Pomocy Pokrzywdzonym w Siedlcach, który jest prowadzony przez Caritas Diecezji Siedleckiej. W takich miejscach ofiary mogą liczyć na wsparcie psychologiczne, materialne oraz prawne. Z czasem dzięki zajęciom z terapeutami udaje się przywrócić im poczucie godności, stają na nogi materialnie, a pomoc prawna pomaga w ukaraniu sprawców i zaprowadzeniu sprawiedliwości. Ofiary pozbywają się lęku i zaczynają dochodzić zadośćuczynienia za swoje krzywdy. Tak właśnie jest w przypadku pani Karoliny.

Dzięki pomocy specjalistów z ośrodka udało się doprowadzić do zakończenia procesu karnego wyrokiem skazującym męża kobiety na karę pozbawienia wolności. Oprócz tego w stosunku do niego został orzeczony zakaz zbliżania się do żony i syna. Wsparcie psychologiczne oraz psychiatryczne pani Karolina otrzymuje cały czas. Koszty przepisywanych przez lekarzy leków również pokrywa ośrodek. Niedawno zdecydowała się także na dochodzenie swoich roszczeń o zadośćuczynienie z tytułu doznanych krzywd, w czym pomagają jej prawnicy ośrodka. ●

Więcej informacji na temat pomocy uzyskasz w najbliższym ośrodku pomocy dla osób pokrzywdzonych przestępstwem, prowadzonym dzięki wsparciu Funduszu Sprawiedliwości. Informacje o ośrodkach znajdziesz pod adresem: https://www.funduszsprawiedliwosci.gov.pl/pl/znajdz-osrodek-pomocy/

eprasa.pl 65676c200f

Teraz to oprawca ma problem

USTAWA ANTYPRZEMOCOWA ZMIENIA REGUŁY

Poniższe liczby pokazują, jak bardzo zmieni się polska rzeczywistość w obszarze zwalczania przemocy domowej po 30 listopada, kiedy ustawa antyprzemocowa wejdzie w życie. Nowe regulacje prawne będą miały znaczący wpływ na całe społeczeństwo, według statystyk policji bowiem rocznie prawie 250 tys. osób w Polsce może być dotkniętych lub zagrożonych przemocą domową.

Funkcjonowanie przygotowanego przez Ministerstwo Sprawiedliwości nowego prawa zakłada, że wezwani do interwencji w mieszkaniu funkcjonariusze policji rozpoznają, czy doszło do przemocy, czy zaszła groźba użycia niebezpiecznego narzędzia lub czy sprawca groził swoim współmieszkańcom pozbawieniem życia.

„Dzięki rozwiązaniom zawartym w tzw. ustawie antyprzemocowej Polska stanie się krajem, w którym standard ochrony osób pokrzywdzonych przemocą domową będzie należał do najwyższych" – wiceminister sprawiedliwości Marcin Romanowski, nadzorujący także działanie Funduszu Sprawiedliwości

Teraz dzięki zmianie prawa koszmar ofiar ma realną szansę na szybkie zakończenie. Sprawca dostanie też zakaz zbliżania się do domostwa. Sankcje natychmiast wyegzekwuje policja, a sądy w błyskawicznym trybie zajmą się sprawą – w ciągu miesiąca od złożenia wskazanego wniosku. Sąd wskaże obszar lub odległość od wspólnie zajmowanego mieszkania, którą osoba stosująca przemoc w rodzinie jest obowiązana zachować. Postanowienie wydawane przez sąd będzie skuteczne i wykonalne z chwilą ogłoszenia; sąd może je zmienić lub uchylić w razie zmiany okoliczności, nawet gdy jest prawomocne. Rozwiązania zawarte w nowelizacji mają doprowadzić do natychmiastowej izolacji sprawców od osób dotkniętych przemocą. Do czasu wejścia w życie ustawy antyprzemocowej zasądzenie izolacji było możliwe jedynie poprzez sprawy cywilne i trwało wiele tygodni, a nawet miesięcy. W tym czasie ofiary przemocy były zmuszone do życia pod jednym dachem z prześladowcą lub musiały szukać schronienia poza własnym domem. ●

1

Jeśli wystąpi któraś z powyższych okoliczności, ten sam patrol policji dopilnuje, by agresor natychmiast opuścił mieszkanie. Podkreślmy, że stanie się tak już przy **pierwszym** wezwaniu policji.

14

Po zabraniu niezbędnych rzeczy to zmartwieniem sprawcy będzie znalezienie dachu nad głową, a policja może mu jedynie przekazać listę dostępnych noclegowni lub ośrodków opieki. Nowe przepisy zakładają, że sprawca otrzyma wstępny zakaz powrotu, a nawet zbliżania się do opuszczonego domostwa, na **14** dni. Warto podkreślić, że nie będzie miało znaczenia to, czy sprawca jest właścicielem nieruchomości, którą musi opuścić.

Fundusz Sprawiedliwości wspiera ofiary przestępstw, ich bliskich, innych pokrzywdzonych i świadków. Ze środków Funduszu Sprawiedliwości:

- Organizowana jest pomoc prawna.
- Zapewniane wsparcie psychologiczne.
- Zapewniane wsparcie tłumacza i tłumacza języka migowego.
- Wsparcie materialne.
- Pokrywane są koszty świadczeń zdrowotnych, rehabilitacji oraz związanych z edukacją i aktywizacją zawodową.
- Mogą być finansowane przejściowe problemy ze zobowiązaniami czynszowymi.

Więcej informacji na stronie FunduszSprawiedliwosci.gov.pl

Fot. Shutterstock x2

eprasa.pl 65676c200f

Nie musisz płacić, by walczyć o alimenty

USTAWA ANTYPRZEMOCOWA LIKWIDUJE WYKLUCZENIE FINANSOWE

Przemoc domowa polega nie tylko na fizycznym czy psychicznym znęcaniu się sprawcy nad ofiarą. Jej katalog należy rozszerzyć także o sytuacje, kiedy jeden ze współdomowników, małżonków lub partnerów uchyla się od obowiązku utrzymania materialnego swoich podopiecznych.

Zjawisko uporczywego uchylania się od płacenia należnych alimentów to kolejny poważny problem społeczny, którego ofiarami padają głównie kobiety i wychowywane przez nie dzieci. Jak zjawisko wygląda w praktyce, dobrze obrazuje przykład pani Krystyny, która jest matką 14-letniej Oliwii.

KOMORNIK ZLEKCEWAŻYŁ SPRAWĘ

Dziewczynka od najmłodszych lat swojego życia cierpi na wiele chorób. Oprócz dolegliwości takich jak alergia, wada wzroku i skrzywienie kręgosłupa, niedawno zdiagnozowano u niej także bardzo rzadką chorobę genetyczną. Przeciwdziałanie skutkom tej choroby wymaga stałego leczenia i rehabilitacji, bez której nie uda się zapobiec niepełnosprawności dziewczynki. W związku z tą straszną diagnozą kobieta zwróciła się do sądu rodzinnego o podwyższenie alimentów przysługujących Oliwce od jej ojca. Niestety kobieta nie była w stanie samodzielnie sprostać finansowaniu leków córki. Sąd podzielił argumentację pani Krystyny, podwyższając kwotę alimentacyjną. Mimo realnych potrzeb córki ojciec nie dokonał ani jednej wpłaty. Prowadzący egzekucję komornik uznał jego sprawę za bezskuteczną, gdyż ojciec dziecka nie posiadał żadnego majątku ani źródła dochodu. Wypłacana przez Fundusz Alimentacyjny kwota była o wiele niższa od tej ustalonej przez sąd. Z pomocą prawnika z Ośrodka Pomocy Pokrzywdzonym, działającego dzięki wsparciu Funduszu Sprawiedliwości, pani Krystyna skierowała także zawiadomienie do prokuratury o popełnieniu przestępstwa niealimentacji. Wskutek procesu ojciec dziewczynki został skazany na karę pozbawienia wolności, lecz pani Krystynie najbardziej zależało na tym, by mężczyzna podjął pracę i zaczął opłacać część leków Oliwki. W związku z tym rozpoczęła liczne starania: wnioskowała o odbycie kary w systemie dozoru (umożliwiającym pracę zarobkową), o zatrudnienie mężczyzny w warunkach więziennych, a także wielokrotnie namawiała go do znalezienia pracy. Niestety mężczyzna wciąż uchylał się od spełniania swojego obowiązku. W przypływie złości wykrzyczał pani Krystynie, że nie dostanie od niego niczego. Przypadkiem wspomniał także o odziedziczonym w spadku gospodarstwie rolnym, o którym nie poinformował komornika. Jak ustalono, zamierzał przekazać majątek w drodze darowizny osobie trzeciej w celu uniknięcia egzekucji. Niestety komornik prowadzący sprawę nie podjął w tym kierunku żadnych działań.

SYSTEMOWA DARMOWA POMOC

W tej sytuacji pani Krystyna otrzymała od ośrodka pomoc prawną – adwokat prowadzący jej sprawę pomógł w sporządzeniu skargi na działanie komornika. Obecnie sąd uznał przewlekłość postępowania, a pani Krystyna wraz z reprezentującym ją prawnikiem oczekuje na końcowe rozstrzygnięcia pełna nadziei na korzystne dla siebie rozwiązania.

Pani Krystyna wiedziała, gdzie należy szukać pomocy, także prawnej, na którą normalnie nie byłoby ją stać. To właśnie wykluczenie finansowe często pogłębia poczucie bezsilności ofiar. Aby temu zapobiec, Ministerstwo Sprawiedliwości przygotowało specjalne rozwiązania w ustawie antyprzemocowej, która już 30 listopada zacznie obowiązywać w naszym kraju.

Dzięki ustawie osoby zagrożone przemocą domową, które zdecydują się na podjęcie kroków prawnych, zostaną zwolnione z wszelkich kosztów sądowych. Konieczność ich poniesienia została przez autorów ustawy także zidentyfikowana jako jeden z powodów ograniczających dotąd skuteczną obronę ofiar przed swoimi prześladowcami. ●

20

Według szacunków Ministerstwa Sprawiedliwości dotąd jedynie tyle procent ofiar przemocy domowej odważyło się wystąpić na drogę sądową przeciwko swoim oprawcom. Ustawa antyprzemocowa ma to zmienić

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 65676c200f